

**Rosiak: Co przegrał Izrael ■ Flis: Czego nie wygrał Tusk ■ Poker Macrona
Strefy bez dzieci ■ Papież nie musi być pierwszy ■ Everest: pan tu nie stał**

Kraków 19 – 25 czerwca 2024 nr 25 (3911)

cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Wojciech Mann: Jak być tatą

**24 EKSTRA STRONY
O KSIĄŻKACH
NA FESTIWAL CONRADA**



A photograph of Stefan Chwin, an elderly man with a white beard, wearing a white shirt and a dark jacket. He is standing on a stone wall overlooking a canal in Gdańsk, with the city's historic architecture visible in the background. The title 'Stefan Chwin' is written in large, orange, serif font, and 'MÓJ GDAŃSK' is written in white, serif font below it.

Stefan Chwin

MÓJ GDAŃSK

Wśród współczesnych pisarzy polskich tylko Stefan Chwin (ur. 1949) poświęcił tyle energii literackiej jednemu miastu. Tak charakterystyczne dla tej twórczości intensywność i odwaga intelektualna, rozległość tematyczna, różnorodność gatunkowa oraz niewyczerpane talenty narracyjne, którymi posługuje się autor legendarnego już *Hanemanna* (1995), są dzisiaj zjawiskiem absolutnie wyjątkowym i – dodajmy natychmiast – zachwycającym!



WOJEWÓDZKA I MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
IM. JOSEPHA CONRADA
KORZENIOWSKIEGO
W GDAŃSKU



INSTYTUCJA KULTURY
SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA
POMORSKIEGO



GDAŃSK

KS. ADAM

Boniecki: Tylko dla dorosłych

TEMAT JEST SZERSZY, BO DOTYCZY SAMEJ WIARY i jej praktykowania, ale można o nim mówić – jak my w tym numerze „Tygodnika” – zaczynając od bierzmowania. Wpisano je na listę sakramentów późno (czy Państwo wiecie kiedy?), co niekoniecznie znaczy, że nie było wcześniej w ten właśnie sposób rozumiane. Zaznaczam tu tylko, że ustalanie listy sakramentów to osobna, ciekawa i skomplikowana historia. Renata Radłowska w tekście „Sakrament niezrozumienia” zajmuje się innym aspektem bierzmowania. Okazuje się, że pozostała z nami praktyka wiary, bardziej lub mniej masowa, tradycyjna, ale zniknął istotny element przeżycia indywidualnego, nie mówiąc o przeżyciu wspólnotowym.

Masowe przeżywanie aktów wiary niepostrzeżenie przechodzi bowiem do historii. Oczywiście, są i będą nadal obecne, jednak decydujące stają się przeżycia indywidualne. Przeżycia zbiorowe bywały wstępem, bodźcem, tłem, ale ostatecznie wiara zawsze była czymś ugruntowanym wewnątrznie. Dziś to jej zewnętrzne decorum w szybkim tempie odpada. Pozostają tam, gdzie towarzyszy im wewnętrzne przeżycie, które bywa trudne, bo wymaga refleksji i świadomych decyzji.

Dlatego sędzę, że również lekcje religii, zbyt łatwe dziś na tle innych zajęć, prędzej czy później odejść do historii. Łatwe? To nie jest jedyny zarzut. Nie zgodzę się z tymi biskupami (tak), którzy uważają, że religii w szkole może z natury rzeczy uczyć każdy ksiądz. Z mojej własnej praktyki wiem, że miewałem nauczycieli religii (księży) fascynujących i miewałem nudnych jak flaki z olejem. Nie kuszę się o wskazywanie przyczyn, ale wiem na pewno, że nudziarze nie są predestynowani do nauczania religii w szkole. Nie jest prawdą, że sam fakt bycia księdzem dysponuje do jej nauczania.



Świat staje się w naszych czasach bardziej laicki. Nie ubolewam nad tym, bo ubolewanie nic tu nie da. A laicki nie znaczy odwrócony od spraw ducha i religii. Czy np. średniowiecze z mnóstwem kościołów i ważnymi duchownymi nawet na czele państw, było w oczach Bożych drogą bardziej ewangeliczną niż dzisiejszy świat, znacznie mniej w swojej organizacji „nabożny”?

Artykuł Renaty Radłowskiej nie jest ubolewaniem ani nie niesie wizji katastrofy wiary.

Pisze ona m.in. o dokumencie „Nowe drogi i kierunki formacji młodzieży w Polsce – propozycja Rady ds. Duszpasterstwa Młodzieży”. Dokument powstał na zlecenie Rady Konferencji Episkopatów Europy (CCEE). Najważniejsze, zdaniem autorki, jest w nim to, że „w polskiej sytuacji eklezjalnej dokonuje się przejście od duszpasterstwa masowego do duszpasterstwa, a nawet lepiej powiedzieć, towarzyszenia, osobistego...”.

Powiedzmy jasno – w Polsce to przejście dokonuje się powoli. Zresztą tego rodzaju zmiany z natury rzeczy nie mogą następować szybko. Nie mogą, bo personel (duchowny) w takich operacjach nie ma wprawy. Niewątpliwie zmiany nastąpią w widocznym stopniu, ale nie szybko. Przejdziemy przez czas klęski. Klęska zresztą zaczęła się znacznie wcześniej, ale jej doświadczenia jeszcze przyjdą. Nie będzie to jednak klęska totalna. Nie biorąc nawet pod uwagę ewentualnej ingerencji Pana Boga, warto pamiętać, że odrodzenia (różne) w Kościele dokonywały się, nachodziły na czas klęsk. Coś umierało (niekoniecznie całkiem i definitywnie) i jednocześnie rodziło się coś nowego. W moim przekonaniu żyjemy właśnie w czasach umierania jakiegoś sposobu wierzenia i rodzenia się nowego sposobu. Bóg sobie z tym świetnie poradzi. Czas wizjonerów się nie skończył. ©P

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



• **zapytaj
Adama**

Ks. Adam Boniecki obchodzi w lipcu dziewięćdziesiąte urodziny

Poprosiliśmy redaktora seniora naszego pisma, żeby przy tej okazji zrobił nam wszystkim prezent i odpowiedział na kilka pytań. Nie naszych – Twoich.

Żeby je zadać, napisz na: zapytajAdama@tygodnikpowszechny.pl

W treści maila powinno znajdować się oczywiście pytanie do Jubilata, ale i kilka słów o Tobie. Wybrane pytania i odpowiedzi na nie przeczytacie na www.TygodnikPowszechny.pl | **Jubilat czeka na pytania do 10 lipca 2024 r.! Nie zwlekaj!**

31 Ojców obcowanie ROZMOWA Z WOJCIECHEM MANNEM:

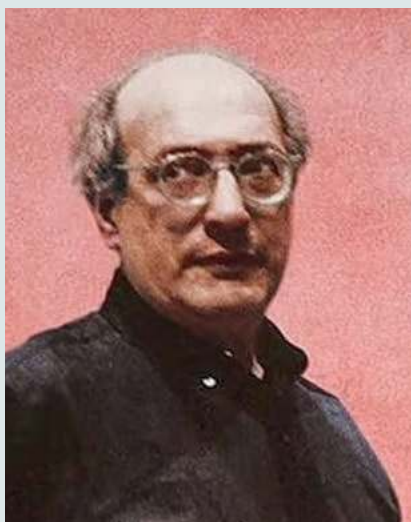
Nie dotyczą mnie te lukrowane anegdoty, że ktoś nauczył syna grać w piłkę, łowić ryby i zbijać stolki. Nie nauczyłem.

**BOHATER
Z OKŁADKI**

36 Teologia na niby ARTUR SPORNIAK Słynna prowokacja profesora AGH z publikowaniem udawanych artykułów obnażyła mizერიę polskiej teologii.



93 Czterdzieści zasłoni MAREK BIEŃCZYK Jego malarstwo przeżywa się jednostkowo i tłumnie zarazem. Mark Rothko wart jest mszy.



18 Robimy za dużo hałasu

ROZMOWA Z JAROSŁAWEM FLISEM:

Gdyby przełożyć wybory europejskie na krajowe, to sojusznicy KO, Trzeciej Drogi i lewicy nie miałby raczej szans na utrzymanie większości.

48 Sprintem po władzę SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

Po miażdżącym zwycięstwie w eurowyborach radykalna prawica pod przywództwem Marine Le Pen może już za miesiąc współrządzić Francją.



104 Everest all inclusive BARTEK DOBROCH

Zaryzykowałem, choć nie miało być za to nawet nagrody, po którą zmierzali tu prawie wszyscy: zdjęć na szczycie, lajków na Instagramie i chwały zdobywców Dachy Świata.



■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Pierwsze 200 metrów Polski
KRZYSZTOF STORY**7-9 Komentarze****10-11 Informacje**

■ ■ CZYTANIA

16-17 MAŁGORZATA KORDOWICZ,
O. WACŁAW OSZAJCA,
PIOTR SIKORA,
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

18 Robimy za dużo hałasu
ROZMOWA Z JAROSŁAWEM FLISEM**22 Nieustające wakacje Roberta Biedronia**
PIOTR ŚMIŁOWICZ: *Buławę lidera zamienił na wygodną posadę i wysoką pensję w euro***25 Tylko dla dorosłych**
SZYMON ŻYŚKO
o strefach wolnych od dzieci

■ ■ Z ODDECHEM

31 Ojców obcowanie
ROZMOWA
Z WOJCIECHEM MANNEM

■ ■ WIARA

36 Teologia na niby
ARTUR SPORNIK**40 Czy papież musi być pierwszy**
PIOTR SIKORA: *Nowy dokument watykański przynosi śmiałe propozycje przemyslenia na nowo prymatu papieskiego***42 Sakrament niezrozumienia**
RENATA RADŁOWSKA:
Trzeba odwrócić kolejność: najpierw doświadczenie Boga żywego, potem bierzmowanie. Wtedy może się udać

■ ■ ŚWIAT

48 Sprintem po władzę
SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA**52 Duchy przodków**
ANTONINA PALARCZYK Z OBWODU
DONIECKIEGO *o ukraińskim*
Kulturalnym Desancie

TEMAT TYGODNIKA

**12 Czy można zasypać przepaść**

DARIUSZ ROSIAK

Czy wojna w Gazie jest wystarczająco tragiczna, by liderzy z obu stron opamiętali się i zweryfikowali swoje aspiracje?

■ STRONY SPECJALNE ■

69 MAGAZYN CONRAD

■ FELIETONY ■

29 TOMASZ STAWISZYŃSKI
45 ZUZANNA RADZIK **59** ELIZA KĄCKA
108 OLGA DRENDA **109** PAWEŁ BRAVO
110 STANISŁAW MANCEWICZ
110 BARTOSZ MINKIEWICZNA OKŁADCE: WOJCIECH MANN, CZERWIEC 2024 R.
FOT.: GRAŻYNA MAKARA

Redaktor prowadzący: MACIEJ MÜLLER

54 Kiedys będzie przepięknie
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z BERLINA:
*Choć rosyjskie rakiety wciąż spadają na Ukrainę, Zachód planuje już wielką odbudowę***56 W sieci kłamstw**
ROZMOWA Z EVANNA HU,
EKSPERTKĄ NATO: *Narzędzia sztucznej inteligencji dają wielkie możliwości autorom dezinformacji. Ale nie jesteśmy bezbronni*

■ ■ HISTORIA

60 Korekta biografii
WŁADYSŁAW BUŁHAK,
MARIUSZ OLCZAK: *Jest uważany za asa wywiadu AK. Tymczasem z naszych ustaleń wynika, że Kazimierz Leski znacznie podkręcił swoją legendę*

■ ■ NAUKA

64 Podróże małe i duże
KALINA WĘGRZYN: *Bakterie potrafią aktywnie poszukiwać pokarmu, unikać antybiotyków, a nawet pamiętać i się uczyć*

■ ■ KULTURA

93 Czerdzieżci zastłon
MAREK BIENIŹYK**98 W międzyczasie**
DARIUSZ KOSIŃSKI:
*Odchodząca dyrekcja w Narodowym Starym Teatrze nie otworzyła nowych perspektyw, ale zamknęła czas wielkiej smuty***101 Warsztat komedii**
MONIKA OCHEŁDOWSKA:
*Serial „Fantasmas” to szalona baśń, którą frustrujące pozwala zamieniać w zabawne***102 Horror na wrotkach**
ANITA PIOTROWSKA o filmie
„Wake Up” kolektywu RKSS**103 Pod znakiem wirusa**
LEKTOR o książce „Uśpione”
Anthony’ego Passerona

■ ■ ZMYSŁY

104 Everest all inclusive
BARTEK DOBROCH

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

📺 Euro 2024: Serwis specjalny

Wielki turniej nigdy nie jest wydarzeniem tylko sportowym.
MICHAŁ OKOŃSKI traktuje go jak lustro, w którym przegląda się współczesny świat | TygodnikPowszechny.pl/euro-2024

➡ Męczennik z Tenczyna

Gdy komunistyczna bojówka prowadziła go do lasu w 1946 r., ks. Michał Rapacz, beatyfikowany 15 czerwca, modlił się: „Niech się dzieje Twoja wola, Panie” – pisze **PATRYK STANIK** | powszech.net/rapacz**Wybierz swoją prenumeratę... 28**
... na stronie

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



PIERWSZE 200 METRÓW POLSKI

PRZEZ DWA TYGODNIE CZERWCA PODLASKI oddział Straży Granicznej odnotował 2600 prób przekroczenia granicy. To naturalne, bo na szlakach migracyjnych największy ruch panuje wiosną i latem. Z drugiej strony: od kilku tygodni mamy do czynienia z eskalacją agresji na granicy, która boleśnie przypomina nam, że mamy do czynienia z operacją zaplanowaną przez Putina i Łukaszenkę, w której migranci bywają jedynie narzędziem.

O SPOKÓJ coraz trudniej, zwłaszcza po śmierci żołnierza Mateusza Sitka. Ale to właśnie spokoju i odpowiedzialności oczekujemy zarówno od rąk, które piszą ustawy, jak i od tych, które trzymają broń tuż przy granicy z wrogim nam państwem. Tymczasem nowy rząd działa tak jak stary. Rozbudowuje graniczne umocnienia i elektronikę (brzegi rzek granicznych – Bugu, Świsłoczy, Istoczek)

Na granicy z Białorusią znów obowiązuje zamknięta strefa buforowa, a nowa władza robi prawie to samo, co stara. Prawie.

KRZYSZTOF STORY

POWYŻEJ: Protest mieszkańców Białowieży przeciwko planom wprowadzenie strefy buforowej na obszarze przygranicznym. Puszcza Białowieńska, 4 czerwca 2024 r.

– ma wkrótce obserwować m.in. ponad 5,5 tys. kamer termowizyjnych) i wprowadził strefę buforową, którą dzisiejsi ministrowie ochoczo krytykowali za czasów PiS.

Miała wejść w życie 4 czerwca (o, ironio). Dzień przed rząd wycofał się i naprędce zorganizował konsultacje społeczne, choć dwa spotkania – w Hajnówce i Białymstoku – chyba nie zasługują na to miano. Ostatecznie granica jest zamknięta od 13 czerwca na 90 dni.

JEST SUBTELNIJ NIŻ ZA PIS: wtedy miała długość 400 kilometrów, dziś tylko 60. W większości (44 kilometry) obejmuje pas o szerokości 200 metrów. Na kilku obszarach (głównie rezerwatów przyrody) rozszerza się do maksymalnie 2 kilometrów. To oznacza, że wszystkie atrakcje i popularne ścieżki Białowieckiego Parku Narodowego są dostępne, na czym bardzo zależało mieszkańcom. Oczy-

wiecie sama atmosfera zagrożenia nie sprzyja żyjącemu z turystyki regionowi. Przykładem są bardzo nieprecyzyjnie sformułowane SMS-y z alertami RCB po angielsku, które dostają też zagraniczni turyści (w tłumaczeniu): „Zakaz przebywania przy granicy z Białorusią. Wejście bez zezwolenia zabronione. Żołnierze mogą używać broni. Zawróć natychmiast!”.

NOWY RZĄD starał się odróżnić od PiS jeszcze jednym – minister Siemoniak zapowiedział przepustki dla dziennikarzy. Szkoda, że w rozporządzeniu nie ma po tym śladu – o przepustkę (tak jak za PiS) można wnioskować do Straży Granicznej. Dziennikarze OKO.Press w SG w Białowieży dowiedzieli się, że w strefie można przebywać 2 godziny, ale tylko w konkretnym miejscu. Na rozpatrzenie wniosku placówka ma 7 dni. Czy w strefie będą mogły działać organizacje pomocowe? Odpowiedź na to pytanie już znamy. Gdy politycy ówczesnej opozycji 3 lata temu krzyczeli, że przepisy wprowadzone przez PiS są niekonstytucyjne, mieli rację. Wtedy aktywiści i dziennikarze masowo odmawiali przyjęcia mandatów za wjazd do strefy, a potem wygrywali procesy w sądach. Teraz nie będzie inaczej, bo władza korzysta z tego samego prawa.

NADAL BRAKUJE JEDNEGO: merytorycznego uzasadnienia. Oczywiście, że służby zawsze wolą mieć zamknięty teren działań, ale czy na pewno to konieczne? Czy zbadaliśmy skuteczność wprowadzenia strefy 3 lata temu? Jeśli są takie analizy, to głęboko w ministerialnych szafach. Coraz mocniej motywują nas strach i słowo „bezpieczeństwo”, odmieniane przez wszystkie przypadki, niż rozsądne argumenty. Jeszcze 2 lata temu 75 proc. wyborców Koalicji Obywatelskiej było przeciwko pushbackom, dzisiaj 61 proc. je popiera (tak wynika z sondażu IPSOS dla OKO.Press). W innym badaniu zrobionym przez IBRIŚ aż 86 proc. ludzi dopuszcza używanie broni przez wojsko na granicy. Akceptujemy strzelanie do ludzi?

– Tak – potwierdza w rozmowie z „Tygodnikiem” Marcin Duma, badacz opinii społecznych, prezes IBRIŚ. – Szokujące, prawda? Przyczyny są dwie: na migrantów patrzemy przez pryzmat zamaskowanych mężczyzn, którzy nie potrzebują naszej pomocy. Po drugie: kontekst muru czyni tych ludzi częścią rosyjskiej maszyny wojennej. Samo sformułowanie „wojna hybrydowa” w naszym przekonaniu sankcjonuje takie środki: jak jest wojna, to się strzela i giną ludzie. To jest dla nas w porządku.

TEN STRACH sprzyja łatwym osądom: gdy zatrzymano trzech żołnierzy, cały komentariat grzmiał o „zamachu na polski mundur”. Pisałem wtedy, że jeśli z setek przypadków użycia broni jeden kończy się zatrzymaniem, to może ma to jakieś podstawy. 16 czerwca Przemysław Wipler w TVN24 nieoczekiwanie poinformował, że o sprawie rozmawiano na Radzie Bezpieczeństwa Narodowego: „To nie był pierwszy raz użycia w sposób nieprawidłowy broni przez tych konkretnych żołnierzy, oni strzelali w kierunku nie tylko wycofującej się grupy osób, które już były po stronie białoruskiej, ale też w kierunku, w którym byli ich koledzy żołnierze i funkcjonariusze Straży Granicznej”. Dodał, że zdarzenie zarejestrowały cztery osobne kamery.

Na fali wzmocnienia służby za chwilę dostaną większe uprawnienia (niektóre z nich bardzo potrzebne, jak prawo do korzystania z armatek wodnych dla SG). Jest już projekt ustawy z listą „okoliczności, kiedy użycie broni z założenia nie jest przestępstwem”. Nowa propozycja zakłada też „możliwość użycia oddziałów Wojska Polskiego na terytorium państwa polskiego bez potrzeby ogłaszania stanu wyjątkowego czy wojennego; do tychczas było to niemożliwe” – poinformował premier Donald Tusk.

Lampki ostrzegawcze w naszych umysłach powinny zapalić się, zanim będziemy musieli przywoływać słowa Benjamina Franklina o tym, jak się kończy oddawanie wolności w zamian za bezpieczeństwo. ©P



UJ kontra Izrael

MAREK RABIJ

KILKUDZIESIĘCIU STUDENTÓW UNIwersYTETU Jagiellońskiego od kilku tygodni okupuje Collegium Broscianum, jeden z budynków UJ. Oczekują, że uniwersytet potępi działania Izraela w Strefie Gazy (z premedytacją sięgam po eufemizm, który każdy z Czytelników łatwo zastąpi trafniejszym jego zdaniem rzeczownikiem) i zerwie współpracę z uczelniami, placówkami badawczymi oraz firmami i naukowcami z Izraela. Studenci domagają się także udostępnienia listy izraelskich podmiotów, z którymi UJ wszedł w jakąkolwiek kooperację. Te dwa ostatnie żądania u części pracowników Uniwersytetu o korzeniach żydowskich wywołały skojarzenia z postulatami narodowców, którzy w latach 30. XX w. doprowadzili do wprowadzenia na niektórych uczelniach tzw. gett ławkowych.

W ten sposób Uniwersytet znalazł się pod ostrzałem dwóch grup zajmujących skrajne stanowiska i wysuwających wobec niego z tych pozycji skrajnie radykalne postulaty. Jedną z nich uważa, że głos krytyczny pod adresem Izraela jest w tej sytuacji *de facto* głosem kwestionującym prawo Żydów do posiadania własnego państwa. Nie zabrakło nawet zarzutów o antysemityzm, którego Tel-Awiw od lat używa w polityce międzynarodowej jak pałki. Protestujący studenci oczekują z kolei, że ich uczelnia założy buty, jakich nie chce wzuć nawet państwo polskie, dotąd usilnie unikające zajęcia wyrazistego stanowiska w trudnej sprawie, którą jest – znów sięgnijmy po eufemizm – „nowy etap konfliktu izraelsko-palestyńskiego po 7 października 2023 r.”.

Być może jestem idealistą, ale w sporze, który wybuchł w twarz władzom UJ i który narasta już na kolejnych uczelniach, widzę duży potencjał społecznego zaufania do anachronicznej instytucji akademii.

Studentów boli dysproporcja między stanowczą reakcją władz UJ na agresję na Ukrainę sprzed dwóch lat – wtedy UJ szybko zerwał współpracę z uczelniami rosyjskimi – a jego wyczekującą postawą po 7 października. Nie podoba im się to milczenie, tak jak nie kupują działań polskich władz, które starają się uratować, co jeszcze się da z relacji polsko-izraelskich, które w ostatnich latach demolowali zgodnie populiści w Warszawie i w Tel-Awiwie. Protestują jednak w budynkach uczelni, a nie przed siedzibą MSZ, co zarażem dobitnie pokazuje, po kim w tym kryzysie spodziewają się klasy i odwagi. ©P



Zachód: nie odpuścimy Ukrainy

WOJCIECH PIĘCIAK

W TYM WYPADKU IŁOŚĆ MOŻE PRZEŁOżyć się na jakość. Minione dni to czas intensywnej krzątaniny polityczno-dyplomatycznej wokół wojny wywołanej przez Putina.

Najpierw: konferencja w Berlinie o (przyszłej) odbudowie Ukrainy (piszemy o tym w dziale „Świat”). Potem: szczyt G7 we Włoszech i decyzja o zabezpieczeniu wsparcia finansowania dla Kijowa w 2025 r. na kwotę 50 mld dolarów, przy wykorzystaniu zamrożonych zasobów banku centralnego Rosji. W międzyczasie: deklaracja Orbána, że nie będzie blokować decyzji NATO dotyczących Ukrainy. Chwilę wcześniej: Sojusz sygnalizuje, że przygotowuje się w tym kontekście systemowo na możliwą elekcję Trumpa. Dalej: zapowiedź z Brukseli, że kraje Unii podejmą zgodnie (Węgry się ugięły?) decyzję o otwarciu negocjacji akcesyjnych z Ukrainą i Mołdawią. W tle: zapowiedź Kamali Harris, że USA przygotowały pakiet dla ukraińskiej energetyki o wartości 1,5 mld dolarów. Z drugiej strony: „oferta pokojowa” Putina („Nie jest to zbyt efektywna propozycja negocjacji, gdy mówi się Ukrainie, że powinna wycofać się z Ukrainy” – to komentarz Giorgii Meloni; na zdjęciu). Wreszcie: „szczyt pokojowy”

w Szwajcarii, na którym ponad 80 państw opowiada się za integralnością terytorialną Ukrainy. Wbrew nazwie nie przybliża on pokoju (Rosja jest nieobecna, jej głos to owa „oferta”), niemniej oznacza „policzenie się”; sam udział lub nieobecność (np. Chin) jest tu opowiedzeniem się.

Co z tego wynika? Bez wątplenia konsolidacja Zachodu, gdy jeszcze niedawno powszechna była narracja o jego zmęczeniu. I zobowiązanie: nie odpuścimy, a celem pozostaje sprawiedliwy pokój. To też sygnał dla świata (zwłaszcza jego części podatnej na wpływy Rosji), że Zachód chce pokoju, ale nie może oznaczać on, iż Ukraina się poddaje i przestaje istnieć.

Tymczasem na wschodzie – bez większych zmian: Moskale napierają, ale wolniej i z dużymi stratami. Zachodnie dostawy pracują, obrońcy mają czym stabilizować front.

Tylko ta cena. Najpierw przychodzi zdjęcie: dwóch chłopaków spod Kupiańska dziękuje za stację zasilania ecoflow, którą podarował im czytelnik „Tygodnika”. Kilka dni później wiadomość: ten z lewej poległ, ten z prawej w reanimacji. Klasyk nie miał racji: lepiej nie przywiązywać się do ludzi, odchodzą zbyt szybko. ©



NA PUNKTY

NIE MA TEGO ZŁEGO

Oslabiona (lub nie) brakiem Roberta Lewandowskiego reprezentacja Polski rozpoczęła piłkarskie mistrzostwa Europy od porażki z Holandią i wszyscy byli z niej zadowoleni. Może z wyjątkiem widzów TVP, którą zwiększone zainteresowanie meczem doprowadziło do awarii serwerów umożliwiających oglądanie transmisji w internecie.

KTO RANO WSTAJE

Tłumaczenia władz stacji, że doszło do ataku hakerskiego, przyjmujemy z umiarkowanym zrozumieniem. Podobnie jak twierdzenia posła PiS Dariusza Mateckiego, że o trzeciej nad ranem znalazł się na dachu parlamentu, bo chciał sfotografować wschód słońca.

APETYT ROŚNIE

Słońce wschodzi tymczasem nad szeregiem nieoczywistych kandydatur na prezydenta RP. O nieuczestniczeniu w rozmowach na ten temat wypowiedziała się dziennikarka Dorota Gawryluk, natomiast myśl o zastąpieniu zwierzchnika sprawa wyraźną przyjemność Marciniowi Mastalerkowi i Jackowi Siewierze z Kancelarii Prezydenta. Sondażę dają najwyższe poparcie w I turze Rafałowi Trzaskowskiemu. ©



Zawracanie kijem handlu

MAREK RABI

W SEJMIE TRWAJĄ PRACE nad poselskim projektem przywracającym możliwość handlu w pierwszą i trzecią niedzielę miesiąca. Pilotowany przez posłów Polski 2050 projekt nosi jednak wszelkie znamiona politycznej sztuki dla sztuki.

Z przeprowadzonej w styczniu ankiety firmy badawczej Inquiry wynika, że za przywróceniem pełnej swobody han-

dlu w niedzielę opowiada się jednoznacznie niespełna 38 proc. Polaków – czyli dokładnie tyle, ile odpowiada niehandlowe *status quo*. Wśród pozostałych, mniej zdecydowanych, przeważają tacy, którym zamknięte w niedziele sklepy nie przeszkadzają. Trudno zatem mówić o tym, że Polacy oczekują przywrócenia handlu w niedzielę. Nie palą się do tego również sami handlowcy,

którzy dawno już dostosowali się do sześciodniowego tygodnia pracy, a zawarty w projekcie punkt o podwójnym wynagrodzeniu za pracę w niedzielę pachnie im kosztami, które mogą się nie zwrócić. Nawyki konsumpcyjne Polaków – jak piszą w stanowisku w sprawie projektu – uległy już trwałej zmianie. Potrzeby tych, którzy w niedzielę muszą jednak zrobić zakupy, skutecznie obsłu-

gują „agencje pocztowe”, „biblioteki” oraz inne liczne placówki, które praktykują handlową mimikrę, omijając zapisy obecnej ustawy.

Projekt nowelizacji krytykują zgodnie wielkie sieci zrzeszone w Polskiej Organizacji Handlu i Dystrybucji, jak i organizacje skupiające drobnych kupców. Krucjata Polski 2050 w sprawie zakazu handlu w niedzielę jest więc zapewne obliczoną z góry na porażkę próbą przypomnienia najwzierniejszemu elektoratowi, że partia pamięta o swoich obietnicach. Nawet tych, które nie mają sensu. ©



List za list

ANNA GOC

BISKUPI ODPOWIEDZIELI NA LIST 46 OSÓB SKRZYWDZONYCH wykorzystaniem seksualnym w Kościele. Odnieśli się do ich postulatów, ale nie do wszystkich.

Zaprosili delegację osób skrzywdzonych na Zebranie Plenarne Konferencji Episkopatu Polski, które odbędzie się 19 listopada na Jasnej Górze. Zapewnili, że do tego czasu będzie gotowy projekt niezależnej komisji, która ma zbadać przypadki wykorzystania seksualnego w Kościele od 1945 r.

O konieczności powołania takiej komisji mówi się od dawna. „Na razie dyskutowane są cele” – mówił „Tygodnikowi” w ubiegłym roku ks. Piotr Studnicki, kierownik Biura Delegata KEP ds. ochrony dzieci i młodzieży. Przyznał, że polski episkopat wzoruje się m.in. na pracach francuskiej komisji. Nad opublikowanym już w 2021 r. raportem francuskiej komisji pracowali głównie świeccy eksperci – prawnicy, psycholodzy, psychiatry. Oszacowali, że księża i zakonnicy dopuścili się wykorzystania seksualnego wobec 216 tys. nieletnich. „Intensywne prace nad powołaniem komisji trwają od marca 2023 r.” – napisali teraz biskupi w liście do skrzywdzonych, ale nie podali żadnych konkretnych. Poinformowali tylko, że projekt komisji jest już prawie gotowy.

Biskupi odpowiedzieli także na postulat zmian w prawie kanonicznym, dzięki którym skrzywdzeni mogliby uzyskać status strony, a nie – jak dotąd – świadka. Zapewnili, że na październikowym Synodzie Biskupów ich delegacja przedstawi postulaty skrzywdzonych.

Czego zabrakło? W liście biskupi w sposób niepełny odnieśli się do pierwszego postulatu skrzywdzonych: zawieszenia w pełnionej funkcji obecnego przewodniczącego KEP.

W marcu 2024 r. do Nuncjatury Apostolskiej w Warszawie wpłynęło zawiadomienie, zgodnie z *motu proprio* „Vos estis lux mundi”, o możliwości zniesienia obecnego metropolity gdańskiego. – Biskupi poinformowali nas jedynie, że zarzuty wobec abp. Tadeusza Wojdy będą wyjaśniane, co jest dla nas oczywiste. Nie dostaliśmy odpowiedzi, czy na czas ich wyjaśniania abp Wojda będzie dalej pełnił funkcję przewodniczącego episkopatu – mówi Tośka Szewczyk, jedna z inicjatorek listu skrzywdzonych. – Z tym pytaniem nie możemy czekać do listopada.

Oficjalna odpowiedź osób skrzywdzonych ma się pojawić w najbliższych dniach. ©P



Dzieje się w Sosnowcu

ARTUR SPORNIAK

NOWY ZWIERZCHNIK DIECEZJI sosnowieckiej, Artur Ważny, dotrzymuje obietnicy. Niespełna dwa miesiące temu – po otrzymaniu nominacji – mówił na tych łamach: „Raczej nie będę tchórzem. Jeśli będzie trzeba podejmować trudne decyzje, będę to robił”. Ingres, czyli kanoniczne przejęcie diecezji, nastąpi dopiero 22 czerwca, ale biskup nominat już podjął kilka trudnych decyzji. Przede wszystkim postanowił powołać dwie komisje. Pierwsza ma zbadać skandale seksualne, które wstrząsały diecezją sosnowiecką w ostatnich latach. Druga dokona audytu finansowego, administracyjnego i personalnego diecezji. Jak ustalił Onet, na czele pierwszej komisji ma stanąć emerytowany prokurator w stanie spoczynku, którego nazwisko biskup ogłosi jeszcze przed swoim ingresem.

W rozmowie z portalem biskup sosnowiecki potwierdził, że komisja będzie mieć pełen dostęp do kościelnych archiwów, a wyniki jej działań będą jawne. „Jeden z członków komisji powiedział mi wprost – mówił bp Ważny – że włączy się w pracę, ale pod jednym warunkiem: musi być pełna jawność. Odpowiedziałem, że dobrze. On wtedy dopytał, czy jestem świadomy tego, na co się decyduję. (...) Potwierdzam z całą stanowczością, że nie będziemy niczego ukrywać. Wiem, że to może boleć, ale dziś widzimy bar-

dziej niż kiedykolwiek, że jest to potrzebne i konieczne”.

Bp Ważny obiecał także, że rozpocznie dialog w diecezji na temat odszkodowań dla skrzywdzonych wykorzystaniem seksualnym. Chce, by diecezjanie także brali udział w tych rozmowach, bo to oni utrzymują diecezję.

Hierarcha rozszerzył grono biura delegata do spraw osób skrzywdzonych. Zgodnie z postulatami osób skrzywdzonych do pracy w biurze zostały zaproszone kobiety: osoba świecka i zakonnica. Biskup powołał też zespół prewencyjny związany z „ustawą Kamilka”, który zorganizuje szkolenia. Na razie media odnotowały jedną „wpadkę” bp. Ważnego – zgodził się, by w parafii w Olkuszu młodzież bierzmował jego poprzednik – odpowiedzialny za skandale i będący na przymusowej emeryturze bp Grzegorz Kaszak.

Co prawda w Kościele w Polsce nie mówiło się o tym dotychczas tak jawnie, ale audyty diecezji zdarzały się już po obejmowaniu rządów przez nowych biskupów. Nowością jest jednak niezależna komisja z dostępem do kościelnych archiwów badająca sprawy kompromitujące dla Kościoła. Nową jakością jest także szczerość, z jaką bp Ważny rozmawia z mediami. Choć taka postawa akurat powinna być czymś normalnym – zwłaszcza w Kościele. ©P



Biskup Artur Ważny. Tarnów, 30 stycznia 2021 r.

Koalicyjne związki niepartnerskie

SPOŁECZEŃSTWO ■ „Życzę wam realizacji politycznych obietnic” – to najważniejsze zdanie z Parady Równości, która przeszła w weekend ulicami Warszawy. Nie, to nie było zdanie uczestnika marszu ani liderki organizacji pozarządowej na rzecz społeczności LGBT+. To słowa ministry ds. równości w rządzie Donalda Tuska, polityczki Lewicy Katarzyny Kotuli, odnoszące się do wciąż niegotowej ustawy o związkach partnerskich. Zdanie pokazujące skalę frustracji większości ugrupowań tworzących Koalicję 15 października.

Wcześniejsza historia tworzenia projektu ustawy składa się z politycznych falstartów. Najpierw sama Kotula podawała kilkakrotnie przybliżone daty finalizacji rządowego projektu, które następnie – w związku z oporem polityków PSL – okazywały się przedwczesne. W zeszłym tygodniu działaczka Lewicy Anna Maria Żukowska ogłosiła, że w koalicji jest zgoda ws. projektu. „To nie jest prawda” – odpowiedział lider ludowców Władysław Kosiniak-Kamysz. Tak oto ważny polityczny projekt zamienia się w PR-ową groteskę. W dodatku z niepewnym ciągiem dalszym. W tym tygodniu koalicjanci są umówieni na rozmowy, które mają dać porozumienie. Jeśli nie dadzą, zapowiadany szumnie projekt rządowy zamieni się w poselski – z niepewnymi rokowaniami na uchwalenie.

Niektórzy politycy PSL nie chcą się zgodzić na ustawę w żadnej formie. Marszałek senior Marek Sawicki, pytany miesiąc temu przez „Tygodnik”, co przeszkadza mu w ewentualnym pro-

jekcie, stwierdził, że wszystko. I dodawał m.in., że nowe prawo będzie promowało... rozwody. „To kuriozalne, że gdy domagamy się prawa do ślubu cywilnego, które pan Sawicki posiada od zawsze, w odpowiedzi słyszymy, że chcemy rozwodów. Rozumiem, że ani kolejne śluby, ani rozwód Władysława Kosiniaka-Kamysza nie wzbudzają w panu pośle takich obaw?” – pytał Hubert Sobecki z organizacji Miłość Nie Wyklucza.

Działacze na rzecz praw społeczności LGBT+ podkreślają, że ustawa byłaby ledwie kompromisem: stanem pośrednim między obecną prawną próżnią a możliwością zawierania małżeństw przez pary jedнопłciowe, wpisaną w ustawodawstwo wielu krajów. Związki partnerskie – formuła prawna, z której mogłyby skorzystać i pary jedнопłciowe, i mieszane – dałyby m.in. możliwość zawierania wspólnot majątkowych, wspólnego rozliczenia podatkowego, automatycznego dziedziczenia po partnerce/partnerze majątku, ale też świadczeń emerytalnych, możliwości decydowania o pochówku, gwarancji otrzymania informacji o stanie zdrowia, a także tzw. przysposobień wewnętrznych. To ostatnie wzbudza największe opory w PSL – mimo że chodzi o zabezpieczenie praw dzieci, które są wychowywane przez pary jedнопłciowe, ale prawną odpowiedzialność za nie może teraz brać tylko rodzic biologiczny.

Polska, obok Litwy, Bułgarii, Słowacji i Rumunii, jest jednym z ostatnich europejskich krajów bez ustawy o związkach partnerskich.

© P PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



Warszawski Marsz Równości. Na pierwszym planie ministra ds. równości Katarzyna Kotula oraz minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski.

Samochodowy wyścig Chin i Unii

KONFLIKT HANDLOWY ■ Komisja Europejska ogłosiła wysokość ceł, które 4 lipca nałoży na auta elektryczne importowane z Chin, o ile do tego czasu strony nie wypracują porozumienia.

Ich skala ma zależeć od tego, czy dana firma współpracowała z Komisją podczas prowadzonego przez nią niedawno dochodzenia w sprawie nieuczciwej konkurencji, i będzie się wahać między 17 a 38 proc. (to w dodatku do obecnie obowiązującego cła na poziomie 10 proc.). Wśród producentów objętych nowymi opłatami są zarówno firmy chińskie (np. BYD, który właśnie wszedł na polski rynek), jak i zagraniczne, dla których Chiny są bazą produkcyjną na rynki zagraniczne (np. Tesla).

W trakcie półrocznego dochodzenia Komisja zdobyła dowody, że producenci elektryków otrzymują w Chinach wysokie subdydia państwowe, dzięki którym mogą sprzedawać je po sztucznie занижonych cenach. To duży problem dla europejskich firm, które muszą grać na zasadach rynkowych, co odzwierciedlają wyższe ceny ich produktów. Średni koszt zakupu e-auta z Chin w europejskich salonach to ok. 30 tys. euro, a pojazdu produkowanego w unijnych zakładach – już o 50 proc. więcej.

Decyzja Komisji na pewno zaboli Chiny, które teraz straszą retorsjami. Pekin chce uczynić sektor zielonych technologii nowym kołem zamachowym gospodarki, a Unia to kluczowy kierunek eksportu chińskich e-aut (Europa odpowiada za 38 proc. sprzedaży za granicą). Dotąd Europa była dla producentów z Chin atrakcyjnym rynkiem, bo na tle innych dużych gospodarek była stosunkowo otwarta – wyższe cła w planach mają m.in. Turcja i Brazylia, a USA podniosły je w maju z 25 proc. do 100 procent.

Jednak nowe unijne cła raczej nie powstrzymają napływu e-aut z Chin do Europy, nawet jeśli producenci będą musieli obniżyć marże. Think tank Rhodium Group prognozuje, że firma BYD – już po objęciu cłami na poziomie 17 proc. – otrzyma ponad 9 tys. euro zysku za każde sprzedane w Unii e-auto. To siedem razy więcej niż w Chinach.

Decyzja Komisji przyspieszy za to proces przenoszenia przez chińskie koncerny produkcji do Europy, by uniknąć ceł. Fabrykę w Hiszpanii ma już Chery, a BYD buduje zakład na Węgrzech. Kraje unijne same zabiegają o takie inwestycje, licząc, że stworzą one nowe miejsca pracy i przyspieszą rozwój technologiczny. © MARIA WIŚNIEWSKA z Tajwanu

Mów 8 minut, bo inaczej wierni zasną

KAZNODZIEJSTWO ■ Homilia musi być krótka – tę myśl papież Franciszek przypomniał podczas ostatniej audyencji ogólnej. Był precyzyjny: „Nie może być dłuższa niż 8 minut, ponieważ po tym czasie uwaga słuchaczy się rozprasza, zasypiają – i mają rację”. I podał cztery składniki przepisu na strawne kazanie: „obraz, myśl, uczucie i wskazówka do działania, jak to zrobić”.

Jakość i długość katolickich kazań leży Franciszkowi na sercu. W adhortacji „*Evangelii gaudium*” z 2013 r. podkreślał, że wyjaśnianie Słowa Bożego nie może być „rozrywkowym spektaklem”, ma budzić zapal i wpasowywać się w liturgię, także pod względem proporcji. Przedłużające się kazanie staje się bowiem „ważniejsze od celebracji wiary”, niszczy harmonię i rytm mszy. Podając kon-



Papież Franciszek podczas mszy z okazji Światowego Dnia Dziecka. Bazylika św. Piotra w Watykanie, 26 maja 2024 r.

kretną zalecaną długość, papież chciał najwyraźniej stworzyć punkt odniesienia: oficjalny watykański podręcznik dla kaznodziejów, czyli 144-stronicowe „*Dyrektorium homiletyczne*”, podkreśla jedynie, że homilia nie może być ani „zbyt długa, ani zbyt krótka”.

A ile na ogół trwa kazanie? Ostatnie kompleksowe badania na ten temat przeprowadził w 2019 r. amerykański Pew Research Center. Analiza 50 tys. kazań z różnych Kościołów wykazała, że głoszenie słowa zajmuje kaznodziejom

średnio 37 minut. Najciekawsze są różnice między wyznaniem: w czarnych Kościołach protestanckich kazanie trwało średnio 54 minuty, w Kościołach ewangelikalnych 39 minut, u protestantów głównego nurtu 25 minut, natomiast księża katolicycy mówili średnio niewiele dłużej, niż chciałby papież, bo 14 minut.

Trzeba jednak zaznaczyć, że kazania w Kościołach protestanckich, szczególnie tych młodszych, stanowią rodzaj show, są przygotowywane z użyciem elementów teatral-

nych i „opakowane” uwielbieniową muzyką – co sprzyja silnym emocjom słuchaczy i utrzymaniu ich uwagi. Homilia katolicka jest bliższa raczej wykładowi, a urozmaicanie jej formy bywa źle widziane przez kościelnych zwierzchników. Czy w kolejnym badaniu księża zblizną się do postulowanych przez papieża 8 minut? Zadanie to niełatwe, co szczerze przyznaje cytowane już „*Dyrektorium*”: „Doświadczenie uczy, że krótka homilia często wymaga dodatkowego nakładu pracy”.

© © MACIEJ MÜLLER

Grzyby, które zjadają plastik

NATURA ■ Każdego roku produkujemy 400 mln ton plastiku, a 4 proc. tej produkcji trafia do oceanów. Szacuje się, że do roku 2060 r. ta liczba wzrośnie co najmniej trzykrotnie. Plastik zanieczyszcza środowisko, zabija morskie stworzenia i może wpływać na nasze zdrowie. Mimo to nasz apetyt na plastik nadal jest ogromny. Na szczęście naukowcy zauważyli ostatnio inne gustujące w nim istoty.

Mikroskopijny grzyb *Parengyodontium album* żyje na plastikowych śmieciach unoszących się w wodzie. Mikrobiolodzy z Królewskiego Holenderskiego Instytutu Badań Morza (NIOZ) odkryli, że jest zdolny do rozkładania cząstek plastikowego polietylenu (PE), najobficiej występującego



Odpady z tworzyw sztucznych w Oceanie Spokojnym w okolicy Tajwanu

w morzach rodzaju tworzyw sztucznych. To zaledwie piąty znany nauce plastikozerny grzyb.

Rozkład PE przez *P. album* zachodzi w tempie około 0,05 proc. dziennie. Większość pochodzącego z tego rozkładu węgla przekształcana jest w CO₂ wydalaną przez grzyba. Naukowcy twierdzą, że choć CO₂ jest gazem cieplarnianym, proces nie stano-

wi nowego problemu: ilość gazu uwalniana przez grzyby jest podobna do tej, jaką ludzie uwalniają podczas oddychania.

Annika Vaksmaa, mikrobiolożka z NIOZ, która stoi za odkryciem, mówi, że grzyb może posłużyć do niszczenia plastiku na wielką skalę. Hodowany, mógłby pochłaniać śmieci w ogromnych, przemysłowych kadziach. To bezpieczniejsze niż po prostu wpuszczenie go do morza, w których dziś go nie ma. „Jeśli weźmiemy mikroorganizm i dodamy go do naturalnego systemu, możemy go zniszczyć, próbując czynić dobro” – mówi Vaksmaa.

P. album zjada plastik pod warunkiem, że został on wcześniej wystawiony na działanie promieniowania UV. Oznacza to, że rozkłada śmieci unoszące się na powierzchni wody, ale nie poradzi sobie z odpadkami opadającymi na morskie dno. Naukowcy liczą jednak, że w głębinach żyją inne gatunki grzybów, które strawią śmieci zalegające nawet w zupełnych ciemnościach.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

CZY MOŻNA ZASYPAĆ PRZEPAŚĆ

Najbliższy czas pokaże, czy wojna w Gazie jest wystarczająco tragiczna, by liderzy z obu stron opamiętali się i zweryfikowali swoje aspiracje. Oparte na niemożliwych do realizacji mitach, sięją one spustoszenie wśród niewinnych.

DARIUSZ ROSIAK



BYŁY SZEF MOSADU, DZIŚ WYKŁADOWCA Harvardu i szanowana postać w Izraelu, nie wierzy, by jego następca zachował się jak mafijny gangster. „To nie może być prawdą. Niemożliwe, by coś takiego się wydarzyło. Oni chyba mówią o jakimś innym kraju, nie o Izraelu” – tak Tamir Pardo komentował wyniki śledztwa brytyjskiego dziennika „Guardian”. Opisał on izraelską operację zastraszania, której celem była Fatou Bensouda, w latach 2012-21 prokuratorka Międzynarodowego Trybunału Karnego.

„Guardian” twierdzi, że brał w niej udział Yossi Cohen, szef Mosadu w latach 2016-21. Miał osobiście grozić prokuratorce, że jeśli zacznie śledztwo w sprawie zbrodni Izraela w Gazie i na Zachodnim Brzegu, narazi siebie i swoją rodzinę. Operacja ta, twierdzi „Guardian”, trwała dzie-

więć lat. Dochodzenie zostało wszczęte, ale już przez następcę Bensoudy.

No i co z tego, zapytają może niektórzy. Izrael stale lekceważy rezolucje ONZ, zabija bez wyroku sądowego osoby uznane za wrogów, pozwala na bezkarne stosowanie przemocy wobec Palestyńczyków przez osadników żydowskich na Zachodnim Brzegu. W rządzie premiera Netanjahu są politycy, którzy nawołują do wyrzucenia wszystkich Palestyńczyków z terenu historycznego Izraela (nie do końca wiadomo, gdzie miałyby być jego granice; na pewno obejmują Zachodni Brzeg i Gazę). Minister bezpieczeństwa, w przeszłości skazany przez izraelski sąd za podżeganie do terroryzmu, sugeruje, by nie aresztować Palestyńczyków, lecz zabijać. Czymże jest jeszcze jeden zarzut wobec izraelskiego wywiadu?

ZMIANA OPTYKI | Tylko naiwniacy mogliby pomyśleć, że skrupuły dawnego szefa Mosadu są dziś coś warte. Nie tylko one. Wojsko izraelskie uważa, że jest najbardziej moralną armią świata. Zasada, zapisana w jej doktrynie, że „każdy żołnierz musi zachowywać się w sposób humanitarny” i „zrobi wszystko, co w jego mocy, by uniknąć wyrządzenia cywilom uszczerbku na życiu, ciele, honorze i mieniu”, dziś brzmi jak ponury żart.

Izraelscy żołnierze zabijają palestyńskich cywilów w sposób „bezludny” (to przekład słowa *indiscriminate*, którego użył Joe Biden), poniżają jeńców i zamieszcza w sieci triumfalne filmiki z udziałem poniżanych. Dokonują również tak brawurowych akcji jak niedawne odbicie czterech zakładników



SAMAR ABU ELOUF / THE NEW YORK TIMES / EAST NEWS

Rynek w Nuseirat (Gaza) po izraelskim ataku w 2023 r. Niedawno podczas uwalniania zakładników zginęło tu co najmniej 100 Palestyńczyków.

więzionych przez Hamas w Gazie – tyle że dziś, zamiast wyrażać podziw dla ich profesjonalizmu, świat zwraca uwagę, iż przy tej okazji zabili, co sami przyznają, co najmniej 100 Palestyńczyków (Palestyńczycy mówią o 280 ofiarach).

Dla wielu ludzi na świecie Izrael pod wodzą Netanjahu zamienia się w pariasa: państwo, które ma za nic zachodnie wartości i międzynarodowe prawo, codziennie zabija cywilów w Gazie i dokonuje zniszczenia Strefy. Nawet ci, którzy współczuli Izraelczykom po zbrodniach Hamasu z 7 października 2023 r., zmieniają dziś zdanie. Kolejne kraje Europy uznają państwowość Palestyny. Pogłębia się globalna niechęć, a w niektórych krajach wręcz wrogość do Izraela. A niekiedy też kwestionowanie jego prawa do istnienia.

BEZKRYTYCZNI | Towarzyszy temu wzrost sympatii dla Palestyńczyków, często bezkrytyczny. Obsadzanie ich w roli niewinnych ofiar izraelskiego terroru, a także ofiar bierności krajów arabskich i światowej znieczulicy na ich los ma zresztą długą tradycję.

Często nie ma w niej miejsca na krytyczne spojrzenie na Palestyńczyków, ich polityczne wybory i zbrodnie wobec Żydów. W tym na fakt, że rakiety Hamasu i Hezbollahu wciąż lecą dzisiaj na Izrael. Jakby fakt, że Izraelczykom udaje się je strącać, przemawiał przeciwko nim.

Niektórzy relatywizują zbrodnie Hamasu, twierdząc, że jest on palestyńskim ruchem oporu, ruchem antykolonialnym, i że wolno mu więcej, bo walczy w słusznej sprawie.

Wobec sytuacji skomplikowanych i niejednoznacznych wielu wylacza myślenie. Łatwiej osądzać. Zwłaszcza politykom. Premier Netanjahu uznaje, że rozpoczęcie dochodzenia przez Międzynarodowy Trybunał Karny w sprawie możliwego popełnienia zbrodni wojennych przez Izrael jest „jawnym antysemityzmem”. Niektórzy Izraelczycy porównywali 7 października do Holokaustu, a Hamas do hitlerowców.

A liderzy Hamasu, przeciw którym również toczy się dochodzenie MTK, są oburzeni, iż Trybunał „traktuje ofiary na równi z katem”. Bo dla Palestyńczyków wojna w Gazie to ciąg dalszy Nakby, katastrofy roku 1948, w wyniku której na ich ziemi powstało państwo żydowskie, a setki tysięcy ich przodków musiały uciekać z domów. Dla nich ta wojna jest ➔

→ więc kolejnym aktem „stuletniej wojny przeciwko Palestynie” (by użyć tytułu książki Raszida Chalidiego, która oddaje palestyńską wersję konfliktu Arabów i Żydów).

Chaos informacyjny, szantaż moralny i coraz bardziej wykluczające się narracje na temat zbrodni, winy i cierpienia: oto, czym stała się wojna Izraela z Hamasem w Gazie.

DWA NARODY | Te dwie narracje to nic nowego. Już w czasach, gdy rodził się syjonizm, a burmistrzem Jerozolimy był Jusuf Dia Pasza al Chalidi (przodek Raszida), wielu liderów syjonistycznych i arabskich uważało, że pogodzenie aspiracji żydowskich i arabskich jest nierealne.

Palestyna nie była „ziemią bez ludu”, do której zgodnie z zasadami sprawiedliwości wraca żydowski „lud bez ziemi”. Była częścią Imperium Osmańskiego, a żyło w niej ok. 500 tys. Arabów i co najwyżej 50 tys. Żydów, głównie religijnych, którzy uważali syjonizm za bluźnierczą ideologię. Syjonizm był pomysłem świeckiej i nielicznej części diaspory, która – na fali budzenia się narodów w drugiej połowie XIX w. – wymyśliła żydowskie państwo narodowe. Jego powstanie było wynikiem splotu różnych okoliczności. Weizman Ben Gurion i inni ojcowie syjonizmu wykorzystali je skutecznie dla swojego politycznego projektu.

Syjonисти wiedzieli, że nikt nie odda im ziemi za darmo. Początkowo kupowali ją, ale Arabowie szybko zorientowali się, co oznacza dla nich coraz liczniejsza obecność żydowskich osadników. Chcieli wstrzymać ich imigrację, zakazać zakupu ziemi i nie dopuścić do powstania ich państwa. Wprawdzie twórca syjonizmu Teodor Herzl pisał, że przyszłe państwo będzie działać także w interesie ludności arabskiej, ale ta ludność wcale sobie tego nie życzyła.

Pojawiały się wprawdzie żydowskie organizacje, jak Brit Szalom (Przymierze dla pokoju), które proponowały przymerze arabsko-żydowskie w ramach jednego państwa. Ale to były mrzonki. Już w 1919 r. przyszły pierwszy premier Dawid Ben Gurion mówił, że nie będzie pokoju między Żydami i Arabami. Oba narody chcą tej ziemi dla siebie. „Jest między nami przepaść – uważał Ben Gurion. – I nic nie zdoła wypełnić tej przepaści”.

ZARZĄDZENIE KONFLIKTEM | Ponad sto lat po tych słowach, po kilku wojnach i setkach okrutnych zbrodni dokonywanych przez obie strony, po nieudanych próbach wypełnienia „przepaści” powołaniem dwóch państw, Arabowie i Żydzi są mniej więcej w tym miejscu co wiek temu.

Żadna ze stron nie chce wyrzec się praw do ziemi od Jordanu do Morza Śródziemnego i nawet jeśli w różnych momentach ostatnich stu lat pojawiały się nadzieje na powołanie dwóch państw, zawsze wygrywał propagowany przez skrajne odłamy Izraelczyków mit Eretz Israel (Ziemi Izraela) albo – w przypadku Arabów – „Palestyny od rzeki do morza”.

Ten konflikt żeruje na mitach, fantazjach religijno-mesjanistycznych i wrogości wobec drugiej strony, a każdy lider, który próbował odrzucić te ograniczenia i sprowadzić spór do polityki, czyli do negocjowania interesów i szukania kompromisów, kończył zwykle znienawidzony przez swoich, w splocie wewnętrznych sprzeczności (jak Jasir Arafat, lider Organizacji Wyzwolenia Palestyny) albo w grobie (jak Icchak Rabin, premier Izraela zabity przez izraelskiego ekstremistę).

Przez dekady kolejne rządy Izraela próbowały „zarządzać konfliktem”. Kolejni premierzy szukali sposobu na zapewnienie bezpieczeństwa Izraelowi, nawet za cenę rezygnacji z terytoriów (temu służyło oddanie – w zamian za pokój – Egiptowi zdobytego podczas wojny sześciodniowej Półwyspu Synaj czy opuszczenie Gazy w 2005 r.). Wielu popełniało przy tym błędy. Jednak żaden nie popełnił ich tyle co Netanjahu. To on pomógł Hamasowi przejąć władzę w Gazie, licząc, że w ten sposób, dzieląc Palestyńczyków, zmarginalizuje Fatah, partię rządzącą w Autonomii Palestyńskiej.

WRACAJCIE DO POLSKI | Netanjahu uważał, że uda mu się przekupić liderów Hamasu – czym dowiódł, że nie rozumie, na czym polega ideologia Hamasu i jak silne jest dążenie Palestyńczyków do powołania własnego państwa. Wbrew oczekiwaniom Netanjahu Hamas wykorzystał pieniądze, które za zgodą Izraela płynęły do niego z Kataru, nie tylko na luksusy dla liderów i stworzenie społecznego zaplecza w Gazie, ale zwłaszcza na zbrojenie i budowę systemu tuneli, którego po ośmiu miesiącach wojny Izrael nie jest w stanie zniszczyć.

To nie wszystko. Wskutek swojej polityki wewnętrznej, zwłaszcza próby przejęcia sądów, Netanjahu spowodował największe wystąpienia antyrządowe w historii Izraela. Służby ostrzegały go, że chaos społeczny może zostać wykorzystany przez Hamas. Jednak on parł do polaryzacji, wskutek czego jego rządy zostały uzależnione od poparcia najbardziej skrajnych postaci izraelskiej polityki.

Fiasco tej polityki jest widoczne jak na dłoni. Powiedzieć, że prestiż Izraela jako demokratycznego państwa prawa leży w gruzach, to nic nie powiedzieć. Owszem, niektóre z zarzutów stawianych dziś Izraelowi wynikają ze znanego z historii antysemickiego odruchu obsadzania Żydów w roli sprawców najgorszych nieszczęść. Dziś dla wielu ludzi, w tym dla licznych studentów z Zachodu, Izrael jest sprawcą tego wszystkiego, co we współczesnym progresywnym świecie uznawane jest za absolutne zło: państwa kolonialnego, opresyjnego, rasistowskiego. Wiele z tych zarzutów jest niesprawiedliwych, niektóre absurdalne. Ich groteskową konsekwencją jest hasło amerykańskich studentów: „Wracajcie do Polski!”. Czyli: żydowscy koloniści powinni wrócić tam, skąd kiedyś przybyli.

RÓŻNĄ MIARĄ | Izrael nie jest krajem wolnym od dyskryminacji, a Prawo Podstawowe przyjęte przez Kneset w 2018 r. przez niektórych prawników (choć nie przez Sąd Najwyższy Izraela) uważane jest za rasistowskie i niedemokratyczne. Jednak Arabowie, będący jego obywatelami, mają zapewnioną większość praw obywatelskich (choć w praktyce nie wszystkie i nie takie same jak Żydzi).

Krytyka Izraela jest usprawiedliwiona i zrozumiała. Jednak jej skala, a zwłaszcza argumenty wysuwane przy tej okazji, już mniej. Zwłaszcza twierdzenie, że celem armii izraelskiej jest wymordowanie palestyńskich cywilów, a to zakłada zarzut ludobójstwa, jest chybione. W wojnie prowadzonej w terenie miejskim ofiary cywilne są nieuniknione. W trakcie ofensywy sił alianckich na Mosul i Rakkę w latach 2016-17 ginęli liczni cywile niemający związków z Państwem Islamskim. Mimo to działania aliantów i ich miejscowych sojuszników były akceptowane przez rządy zachodnie i arabskie (i krytykowane przez organizacje praw człowieka). Nie znaczy to, że nie na-

leży rozliczyć Izraela ze zbrodni, które zapewne popełnia w Gazie. Ale wśród nich nie ma zbrodni ludobójstwa.

Na dziesiątkach zachodnich uniwersytetów, a ostatnio także na kilku polskich studienci i profesorowie domagają się zerwania kontaktów z uczelniami izraelskimi – choć to tam jest najwięcej krytyków polityki Netanjahu. Na izraelskich uczelniach studiuje też 60 tys. Arabów, często korzystając z rządowych programów pomocy.

Na świecie jest mnóstwo krajów, gdzie panuje prawdziwy apartheid, w których np. kobiety czy mniejszości pozbawione są większości praw, uznawanych przez zachodnich liberałów za oczywiste. Ale jakoś nikt na zachodnich uczelniach nie wzywa do zerwania kontaktów z uniwersytetami chińskimi czy katarskimi.

PREMIER IDEALNY | Wojna w Gazie jest kulminacją dekad polityki, która nie traktowała poważnie narodowych aspiracji Palestyńczyków, a w najgorszych momentach je po prostu dławiła.

Za czasów Netanjahu władze ostatecznie odeszły od prób zachowania równowagi w stosunkach nawet z tą grupą liderów Autonomii Palestyńskiej, którzy uznają istnienie Izraela. Na Zachodnim Brzegu – czyli na terenie Autonomii – żyje dziś 750 tys. Żydów, wspieranych przez rząd. Choć nie mieszkają na obszarze Izraela, są w praktyce traktowani jak Izraelczycy, korzystają z ochrony armii i sądów izraelskich. Również wtedy, gdy popełniają przestępstwa.

Netanjahu robi dziś wszystko, by zachować władzę. Jednak nie jest on uzurpatorem narzuconym Izraelczykom przez wrogie siły. To polityk, który z półtoraroczną przerwą rządzi od 2009 r. Dziś jest on w dużym stopniu ucieleśnieniem aspiracji, a zwłaszcza strachów Izraelczyków sparalizowanych 7 października, gdy dowiedzieli się, że widmo narodowej zagłady ciągle nad nimi wisi, że istnienie Izraela nie gwarantuje im bezpieczeństwa.

Ze swoim uporem, skrajnością, niechęcią do kompromisu i bezwzględnością wobec mieszkańców Gazy – Netanjahu jest idealnym premierem na czas szoku, który Izraelczycy przeżywają po 7 października, a z którego do dziś nie mogą się otrząsnąć.

Dla wielu ludzi znających Izrael zaskoczeniem może być fakt, że jest tam dziś tak niewiele współczucia dla Palestyńczy-

Amerykańscy studenci
wołają do Izraelczyków:
„Wracajcie do Polski!”
Czyli: koloniści mają wrócić
tam, skąd przybyli.

ków. Sondaże pokazują, że zdecydowana większość Izraelczyków popiera sposób, w jaki ich armia prowadzi wojnę w Gazie – są wśród nich także ci, którzy chcą odsunięcia Netanjahu od władzy. Przygniatająca większość uważa, że Hamas należy całkowicie zniszczyć, inaczej Izrael nigdy nie będzie bezpieczny.

PLAN BIDENA | Przyszłość Netanjahu wisi na tym przekonaniu Izraelczyków. Nawet jeśli kolejni byli szefowie służb specjalnych – jak wspomniany Tamir Pardo czy Ami Ayalon, były szef Szin Bet – przekonują, że nie da się wygrać wojny z Hamasem, Netanjahu kontynuuje atak na Gazę, a Izraelczycy po 7 października najwyraźniej nie widzą alternatywy.

Niedawne odejście z gabinetu wojennego Netanjahu dwóch liderów opozycji – Benny’ego Gantza i Gadiego Eisenkota, którzy po 7 października współtworzyli „rząd jedności” – niewiele zmienia. Może tyle, że jeszcze bardziej będzie on zależny od wspierających go żydowskich szowinistów, którzy najchętniej wymordowaliby albo wysiedlili wszystkich mieszkańców Gazy, bo „wszyscy są winni”.

W ostatnich dniach pojawił się kolejny plan „zasypania przepaści” – tym razem ogłoszony przez prezydenta Bidena, poparty rezolucją ONZ. Amerykanie uważają, że bez choćby przypudrowania palestyńskiej rany nie da się rozwiązać najważniejszego problemu w regionie, którym z ich punktu widzenia nie są Palestyńczycy, lecz Iran. Chcą, by Gaza stała się w istocie protektorem krajów arabskich, w którym władzę przejęłaby odrodzona Organizacja Wyzwolenia Palestyny.

Netanjahu z początku kluczył, licząc, że Hamas odrzuci plan jako pierwszy, zdejmując z niego odpowiedzialność. Tymczasem Hamas plan wstępnie przyjął, co chwilowo nic nie oznacza. W interesie Hamasu leżą kontynuacja wojny,

ofiary po obu stronach i przetrzymywanie zakładników, bo tylko to zapewnia mu osłabianie Izraela, sianie w nim podziałów i dalsze niszczenie jego prestiżu na arenie światowej.

Zarazem Netanjahu wie, że każdy układ kończący wojnę może oznaczać również jego polityczny koniec (wisi nad nim proces o korupcję). Tylko że alternatywą dla planu USA jest kontynuacja tego, co teraz: zabijanie Palestyńczyków, destrukcja Gazy, rosnące zagrożenie ze strony Hezbollahu i Iranu, a także postępujące niszczenie reputacji Izraela w świecie. I narażanie nie tylko izraelskich polityków, ale też żołnierzy na ściganie przez instytucje międzynarodowego wymiaru sprawiedliwości.

WYBÓR | Według strony palestyńskiej w Gazie zginęło już 40 tys. ludzi. To liczba niemożliwa do zweryfikowania, podobnie jak nie da się zweryfikować tezy Izraelczyków, że niemal połowa ofiar to członkowie Hamasu. Jednak twierdzenie, że „wszyscy Palestyńczycy są winni”, jest ogromnym nadużyciem, którego nie usprawiedliwia trauma, jaką przechodzi Izrael po rzezi z 7 października 2023 r. Cierpią zwykli ludzie. Najważniejsi liderzy Hamasu żyją, pławiąc się w bogactwie, a poparcie dla Hamasu wśród Palestyńczyków rośnie (choć nie tak gwałtownie jak na początku wojny).

Izrael ma wybór: albo poprze plan Bidena i na jego podstawie znacznie odbudować choćby pozór relacji z Palestyńczykami, a także z państwami arabskimi, albo będzie kontynuować zabijanie i niszczenie Gazy. Czego konsekwencją będą okupacja Strefy, czyli kolejna polityczna i wizerunkowa klęska Izraela i kolejne nieszczęścia dla Palestyńczyków.

W 1956 r. Ben Gurion wyznał, że jeśli wierzyłby w cuda, to chciałby, by morze połknęło Gazę. Nie połknie. Palestyńczycy nie znikną. Izraelczycy też nie. Najbliższy czas pokaże, czy obecna wojna jest wystarczająco brutalna i tragiczna, by liderzy obu narodów opamiętali się i dokonali wyboru – zweryfikowali swoje aspiracje, oparte na niemożliwych do realizacji mitach, które sięją spustoszenie wśród najsłabszych i niewinnych.

Jeśli polegać na historii, szanse na takie rozwiązanie są mizerne.

© DARIUSZ ROSIAK

Tekst ukończono 12 czerwca.

MAŁGORZATA

Kordowicz: Przykazanie spowiedzi



„BŁOGOSŁAWIONY [NIECH BĘDZIE TEN], który uwolnił mnie od kary za tego” – aż się chce dokończyć: „...tu gagatka”. To błogosławieństwo tradycyjnie wygłasza ojciec podczas ceremonii bar micwy, po tym, jak jego syn zostaje po raz pierwszy w życiu

wezwany do publicznego odczytania fragmentu Tory w synagodze. Chłopak skończył trzynaście lat – analogicznie dzieje się z dwunastoletnią dziewczynką – a w judaizmie to wiek, kiedy osiąga się religijną dorosłość. Osoba dorosła – pełnoprawny członek społeczności – sam odpowiada za swoje czyny. Błogosławieństwa dotyczącego zdjęcia odpowiedzialności z rodzica próżno szukalibyśmy w Talmudzie. Pojawia się ono w midraszu, który komentuje wers: „I podrastali chłopcy; i stał się Esaw mężem biegłym w myślistwie, mężem pola, a Jakób mężem skromnym, przebywającym w namiotach” (Rdz 25, 27; Cylikow). Dzieci Izaaka – bliźniacy Jakub i Ezaw – według midraszu do trzynastego roku życia chodzili razem do szkoły, a potem ich drogi się rozeszły. Wedle klasycznej interpretacji „namioty” – miejsca pobytu Jakuba – były domami nauki. Trzynastoletni Ezaw wybrał zgola inaczej niż brat.

Patrząc na ośmio-, dziesięcioletni drobiazg paradykujący dumnie w białych sukieneczkach i eleganckich garniturkach. Po raz kolejny rozgorzała dyskusja na temat pierwszej wizyty malców w konfesjonale. „Tylko mali grzesznicy spowiadają się długo w niepokoju gorących warg” – przeinaczam wyrwaniam z kontekstu pierwotną myśl klasyka. Z Pięcioksięgu: „Kto tedy zawini w jakiegokolwiek z tych rzeczy, niechaj wypowiada się, w czym zgrzeszył” (Kpł 5, 5), i jeszcze: „jeżeliby mężczyzna albo niewiasta popełnili jakiegokolwiek grzech przeciw człowiekowi, dopuściwszy się tym występku przeciw Wiekuiestemu – a winną by była dusza ona – Niechaj tedy wypowiadają się z grzechu swojego...” (Lb 5, 6-7). Dorosli religijni Żydzi też się spowiadają – ubierają w słowa swoją przewinę i przedstawiają ją bezpośrednio Najwyższemu, a jeśli skrzywdzili drugą osobę, również jej wyłuszcza, za co proszą o wybaczenie.

Przykazanie spowiedzi pada w kontekście kradzieży (zob. Lb 5, 6-7 w całości). Dlaczego? Wyjaśnia nam to rabin Icchak Meir Alter, założyciel dynastii chasydzkiej z podwarszawskiej Góry Kalwarii (jid. Ger), uczeń Magida z Kozienic oraz rabinów Simchy Bunema z Przysuchy i Mendla z Kocka. Według pierwszego rebego z Ger, każdy popełniany przez nas grzech jest częściowo kradzieżą. Albowiem Najwyższy daje nam energię i siłę, byśmy spożytkowali je do studiowania Tory i spełniania dobrych uczynków. Jeśli używamy ich do popełniania grzechów, w pewnym sensie kradniemy od Boga. Dlatego właśnie przykazanie spowiedzi pojawia się w kontekście kradzieży. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Landrynkowy Bóg



KIEDY NA ROZKAZ JEZUSA NA JEZIORZE nastała cisza, apostołów „ogarnął wielki lęk i mówili jeden do drugiego: Kim On właściwie jest, że nawet wiatr i jezioro są Mu posłuszne?”. Jezioro i wiatr można od-

czytać jako warunki, w których żyjemy i z którymi wciąż nie możemy się dogadać. Wciąż, jak te biblijne garnki, wierzgamy przeciwko garncarzowi, który nas stworzył. Wszystko jedno, czy tym naszym stwórcą-wytwórcą jest ewolucja, czy bóstwo. W tych zmaganiach zadziwia jednak fakt, że człowiek, szukając miejsca swego poczęcia, zawędrował aż poza horyzont wszelkiej mierzalności. Tak daleko, że to niewidzialne, niemierzalne uznał za bardziej rzeczywiste od tego wszystkiego, co możliwe do zmierzenia, zważenia i nazwania. Zaszliśmy tak daleko, że zaczynamy się zastanawiać, czy ja to ja, i co to znaczy, że istnieje, jeśli istnieje?

Wciąż też są ludzie, dla których właśnie to niewidzialne, ponadczasowe, religijne, mityczne, baśniowe jest tak ważne, że oddają za nie tę najpewniejszą realność, jaką jest życie. W przenośni i dosłownie. Jeden z tych przedwiecznych poszukiwaczy mówi tak: „Pan przemówił do mnie następującymi słowami: Zanim ukształtowałem cię w łonie matki, znałem cię. Zanim przyszedłeś na świat, uświęciłem cię i ustanowiłem prorokiem dla narodów (...) dokądkolwiek cię pošlę, będziesz mówił, cokolwiek ci polecę. Nie bój się nikogo, gdyż Ja jestem z tobą, żeby cię bronić”.

Gdyby ktoś sądził, że tym sposobem Bóg gwarantuje autorowi powyższej wypowiedzi, prorokowi Jeremieszowi, całkowite bezpieczeństwo w wypełnianiu misji, grubo by się pomylił. Według tradycji Jeremiesz został ukamienowany, a przed tym kilkakrotnie był więziony. Nie tylko on, ale wielu innych, którzy widzieli jaśniej i mówili wyraźniej od innych, nie zważając na nic, nawet wbrew sobie.

Prorok w Biblii bywa nazywany widzącym, to znaczy umiejącym dostrzec sens zwłaszcza tam, gdzie, jak się wydawało, z całą pewnością żadnego sensu być nie powinno. Taki ktoś, kto wciąż szuka dziury w całym, nie jest wygodnym sąsiadem ani tym bardziej współpasażerem w łodzi zwanej losem. Taki, nie bacząc na nic, potrafi rozkołysać tę naszą życiową łajbę, przypominając, jak np. Paweł, za jaką cenę żyjemy: „Miłość Chrystusa przynagla nas, ponieważ przekonaliśmy się, że Jeden umarł za wszystkich, a więc wszyscy umarli. On umarł za wszystkich, aby ci, którzy żyją, nie żyli już dla siebie, ale dla Tego, który za nich umarł i zmartwychwstał”.

Tacy prorocy działają we wszystkich światopoglądach, włącznie z ateistycznym. Wspólnym mianownikiem ich działalności – tego, co znajduje się nad kreską – jest miłość, nawet do diabła. Landrynkowy prorok landrynkowego Boga takiej miłości nie cierpi. ©

KARD. GRZEGORZ

Ryś: Modlitwa Eliasza

Trzeba stracić złudzenie,
że posiada się czas.

SIMONE WEIL



Nie znając swojej
prawdziwej sytuacji
w tym świecie,
jesteś jak wosk w ulu.
Co on wie o ogniu
i topieniu się?
Zrozumie, gdy zrobią
z niego świecę i zapalą.
Tak samo ty pojmiesz,
że kiedy żyłeś,
w rzeczywistości
byłeś martwy.

ATTAR Z NISZAPURU



„ELIASZ POWIEDZIAŁ Achabowi: Idź! Jedz i pij, bo słyszę odgłos deszczu. Achab zatem poszedł jeść i pić, a Eliasza wszedł na szczyt Karmelu i pochyliwszy się ku ziemi, wtulił twarz między kolana. Potem powiedział swemu słudze: Podejdź i spójrz w stronę morza! (...). Za siódmym razem sługa powiedział: Oto obłok mały jak dłoń człowieka podnosi się z morza! (...) Niebawem chmury oraz wiatr zaciemniły niebo i spadła ulewa” (zob. 1 Krl 18, 41-46).

Cała tradycja biblijna widzi w Eliaszu przede wszystkim wzorzec człowieka modlitwy. Takim właśnie pokazuje go przywołane wydarzenie (liturgia skonfrontowała nas z nim w ubiegłym tygodniu) – nawiązuje do niego św. Jakub w swoim Liście, pisząc: „Elias był człowiekiem podobnym do nas i modlił się usilnie, by deszcz nie padał, i nie padał deszcz na ziemię przez trzy lata i sześć miesięcy. I znów błagał, i niebiosy spuściły deszcz, a ziemia wydała swój plon” (Jk 5, 17n).

Skąd brała się taka skuteczność modlitwy Eliasza? Przyjrzyjmy się uważniej wyjściowemu opowiadaniu. To, co w nim uderza, to kolejność opi-

sywanych wydarzeń. Eliasza najpierw mówi do Achaba: „Idź! Jedz i pij!”, a następnie wychodzi na górę Karmel i zaczyna się modlić. „Idź! Jedz i pij!” – to tak, jakby mówił: „Koniec postu! Nie musisz już pościć w intencji ustania suszy. Już dość. Zaraz lunie deszcz”.

A przecież dopiero potem prorok podejmuje (zapewne nie najkrótszą) wędrówkę na szczyt Karmelu i tam dopiero przyjmuje modlitewną postawę: „pochyliwszy się ku ziemi, wtulił twarz między kolana”. Ewidentnie, zanim zacznie się modlić o przyście deszczu, już „słyszysz jego odgłos” – „słyszysz” go zapewne również wtedy, gdy wysłany w stronę morza sługa sześciokrotnie powraca z przetrącającą nowiną: „Nie ma nic!”.

Najwyraźniej Eliasza zna owoc modlitwy, jeszcze zanim ją rozpocznie; zna go także wtedy, gdy przez dłuższy czas wydaje się ona nieskuteczna.

Otrzymuje, zanim poprosił? Jest pewny, że dostanie – wbrew temu, co widzi i słyszy? Skąd bierze się w proroku taka pewność? Z relacji z Bogiem; z tego, co o Nim wie; z zaufania; z wiary. Na modlitwie Eliasza nie tyle prosi Boga o deszcz, co raczej rozeznaje moment, w którym Bóg go zsyła. Wie, że Bóg jest Miłością. Obdarowującą, zanim człowiek poprosi. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (23 – 30 VI)

12. niedziela zwykła: Hi 38, 1. 8-11; Ps 107;
2 Kor 5, 14-17; Mk 4, 35-41;

Poniedziałek, uroczystość narodzenia
św. Jana Chrzciciela: Jr 1, 4-10;
Ps 71; 1 P 1, 8-12; Łk 1, 5-17;

Wtorek: 2 Krl 19, 9b-11. 14-21. 31-35a. 36;
Ps 48; Mt 7, 6. 12-14;

Środa: 2 Krl 22, 8-13; 23, 1-3; Ps 119; Mt 7, 15-20;
Czwartek: 2 Krl 24, 8-17; Ps 79; Mt 7, 21-29;

Piątek: 2 Krl 25, 1-12; Ps 137; Mt 8, 1-4;
Sobota: Dz 3, 1-10; Ps 19;

Ga 1, 11-20; J 21, 15-19;

13. niedziela zwykła: Mdr 1, 13-15; 2, 23-24;
Ps 30; 2 Kor 8, 7. 9. 13-15; Mk 5, 21-43.

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ

ROBIMY ZA DUŻO HAŁASU

JAROSŁAW FLIS, SOCJOLOG:

Gdyby przełożyć wybory europejskie na krajowe,
to sojusz KO, Trzeciej Drogi i lewicy
nie miałby raczej szans na utrzymanie większości.



MAREK KĘSKRAWIEC: Po raz pierwszy od 10 lat PiS nie okazał się partią, na którą zagłosowało najwięcej wyborców. Czy Donald Tusk ma się z czego cieszyć? Koalicja rządząca zdobyła w sumie 50,27 proc., tymczasem jesienią miała 53,71 proc. To spory zjazd po ledwie ośmiu miesiącach u władzy.

JAROSŁAW FLIS: Gdyby wyniki wyborów do Parlamentu Europejskiego przeliczyć według zasad obowiązujących przy podziale mandatów po wyborach do Sejmu, ta przewaga znika zupełnie. Co prawda Krzysztof Bosak twardo zapowiedział, że nie będzie koalicji z PiS, ale im dłużej Konfederacja dzieli ławy sejmowe z PiS, tym bardziej jest prawdopodobne ich porozumienie po kolejnych wyborach.

Metoda D'Hondta, przy której poparcie oblicza się na poziomie okręgów,

a nie całej Polski, zazwyczaj preferuje PiS.

Jesienne wybory dały tej partii bonus w postaci ośmiu mandatów za to, że miała wyższe poparcie w tych okręgach, gdzie jest niższa frekwencja i gdzie w związku z tym pojedynczy głos więcej znaczy. Im mniej osób idzie zagłosować, tym ważniejsi są ci, którzy pojawili się przy urnach. Na dodatek obecna opozycja ma dwie listy, a rządzący trzy, i to też preferuje tych pierwszych przy przeliczaniu procentowego poparcia na liczbę posłów.

Jak wyglądałaby większość sejmowa, gdyby ją oprzeć na wynikach wyborów do PE?

W zasadzie są możliwe trzy koalicje. PO z PiS, PO z Konfederacją albo PiS z Konfederacją. Sojusz KO, Trzeciej Drogi i lewicy nie ma raczej szans na utrzymanie większości.

Oczywiście musimy pamiętać, że wybory europejskie mają swoją specyfikę, nie dotyczą bezpośrednio polityki krajowej, a kampanię prowadzą sami kandydaci, nie partie. W przypadku mniejszych ugrupowań, które miały szansę na ledwie kilka miejsc, większość kandydatów po prostu nie wierzyła, że może zdobyć mandat, więc się nie starała. Do kolejnych wyborów parlamentarnych jest zresztą 3,5 roku, więc odpada też kwestia wypromowania własnego nazwiska. Ponadto wybory europejskie angażują głównie twarde elektoraty, stąd niższa frekwencja, która zafałszowuje realny obraz poparcia dla ugrupowań. Wyjątkiem są zwolennicy Konfederacji, kontestujący Unię Europejską. Ich poszło do urn tyle samo, co jesienią.

Nasi europosłowie nie będą jednak w PE tworzyć własnych klubów, tylko staną się członkami między-narodowych frakcji.

Archiwa PE pozwoliły zbadać – przy uczestnictwie naukowców z UJ – którzy europosłowie najczęściej wyłamują się z głosowania tak, jak głosuje ich frakcja na rzecz sojuszu z reprezentantami swojego

Zamiejscowe posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Narodowego w Białymstoku. Na zdjęciu Szymon Hołownia, Wojciech Kolarski, Piotr Ćwik, Jacek Siewiera, Andrzej Duda, Małgorzata Paprocka, Marcin Mastalerek, Andrzej Dera, Donald Tusk, Władysław Kosiniak-Kamysz, Tomasz Siemoniak. 10 czerwca 2024 r.

kraju. To Duńczycy i Szwedzi, dla których UE to najwyraźniej biznes bez złudzeń, co zresztą widać po warunkach akcesji. Np. Niemcy nie mogą kupować w Danii domów letniskowych jako przedstawiciele narodu, z którym Duńczycy mają długą historię trudnych relacji. Podobnie Szwedzi, zmagający się w przeszłości z uzależnieniami swoich obywateli, zablokowali pomysły na ujednolicenie rynkowych reguł handlu alkoholem. Nasi reprezentanci są w środku stawki, a formalnie najbardziej prowszotowowi są Niemcy, tyle że oni są największą grupą w każdej frakcji, więc siłą rzeczy frakcje te uwzględniają ich interesy narodowe.

Wróćmy nad Wisłę. Eurowybory pokazały rosnący kryzys lewicy, więc już wieszczę się jej rozpad.

Media i cały komentariat marzą o rozróżbach i relacjonowaniu dramatycznych wydarzeń. Ja bym nie przesadzał z tym rozpadem. Konfederacja miała 15 proc. w lipcu zeszłego roku, a jesienią skończyła z 7. Czy to była katastrofa? Nie. Teraz mają 12, a jeśli za rok wystawia kandydata na prezydenta, mogą mieć znowu kilka procent. Wracając do lewicy, największym jej problemem jest to, że większość ludzi mających lewicową tożsamość głosuje na Koalicję Obywatelską, która o taki elektorat od lat zabiega, zastępując nim odpływających od niej umiarkowanych konserwatystów.

Lewicy brakuje własnej tożsamości?

Tożsamość lewicowa sprowadza się u nas głównie do kwestii obyczajowych, a ponadto spora część tego elektoratu jest prorynkowa i przeciwna socjalewicy, czyli elitarna, wielkomiejska, daleka od ludzi biednych. W Łapach pod Białymstokiem przez lata panowało ogromne bezrobocie, ale to Konfederacja ma tam z reguły dużo większe poparcie niż lewica. Nie potrafiła się tam przebić nawet startująca osobno Partia Razem, choć akurat ona jest antyliberalna.

Ciężko to wszystko skleić, jeśli w dodatku kwestię socjału zagospodarował PiS. Do tego lewica jako jedyne ugrupowanie niegdyś opozycji po 2019 r. nie zmieniło kierownictwa. Czarzasty, Biedroń i Zandberg zawdzięczają swoją pozycję sukcesom sprzed lat, natomiast po 2019 już się tylko cofali. Szansa dla lewicy jest na pewno wystawienie kobiety jako kandydatki na prezydenta.



MARCIN PAWLKIEWICZ / REPORTER

→ Czy wcześniej Zandberg, Czarzasty i Biedroń nie zdecydowały się na rozwód?

Myślę, że lepiej się trzymać razem niż w ogóle nie istnieć – fragmentacja lewicy byłaby jej kolejną klęską. Nie ma też żadnej gwarancji, że Tusk otworzy tym ludziom szeroko drzwi do karier i na listy wyborcze. Raczej nikomu tam nie powtórzy się kariera Barbary Nowackiej, która parę lat temu opuściła to środowisko. Nieprzetrwanie lewicy w obecnej formie może też oznaczać w przyszłości powrót PiS do władzy, nie da się bowiem przełożyć jeden do jednego jej strat na zyski KO.

Nasz premier zdaje się o tym zapominać i ciśnie koalicjantów, choć sam temu zaprzecza.

Ryzykowna gra Tuska na polaryzację, radość z mijanki z PiS i protekcyjnalne traktowanie koalicjantów – mogą skończyć się potężnym kacem. To tak, jakby się cieszyć, że stało się bogatszym, bo odebraliśmy dzieciom kieszonkowe. Jeśli twoi koalicjanci są nieszczęśliwi i nerwowi oraz prowadzą wewnętrzne wojny, to wcale nie musi być dla ciebie dobre. Możesz oczywiście zyskać we własnej partii status półboga, lecz – jak pokazuje przykład Kaczyńskiego – za chwilę będziesz robić głupoty i w końcu przegrasz wybory.

Dominacja KO w koalicji tylko pogarsza w niej atmosferę. Jeśli posypią się lewica i Trzecia Droga, bo Hołownia skłóci się z Kosiniakiem-Kamyszem, stara władza może powrócić szybciej, niż myślimy.

Znamy podobne przypadki zaskakujących klęsk.

Obserwowaliśmy rozpady sojuszy AWS i UW w 2000 r., SLD i PSL w 2003 oraz PiS, Samoobrony i LPR w 2007. Miller wyrzucił ludowców z rządu i poniósł klęskę w kolejnych wyborach, po których lewica nigdy się już nie podniosła jako znacząca siła; Kaczyński założył z kolei, że jeśli w 2005 r. cała koalicja miała 50 proc., to gdy obgryzie przystawki, dalej będzie miał tyle samo, no i w 2007 r.

zostało z tego 32 proc. Niewiele to zresztą prezesa PiS nauczyło, skoro ten sam manewr powtórzył po latach z Gowinem, z podobnym efektem.

Tusk tego mechanizmu nie widzi?

Mam wrażenie, że w PO nie ma centrum decyzyjnego, które takie kwestie ogarnia. O wszystkim decyduje lider, który jest premierem i ma mało czasu na politykę partyjną. Być może dlatego dochodzi do tak dziwnych sytuacji, że trzech kluczowych ministrów – Budka, Kierwiński i Sienkiewicz – mających sprzątać po PiS, łąduje już po ośmiu miesiącach w Brukseli. To samo dotyczy Jońskiego i Szczerby, szefów komisji śledczych, rzekomo ważnych dla ujawnienia prawdy o przestępstwach starej władzy.

Chyba nawet w PiS łatwiej byłoby mi wymienić ludzi posiadających jakiś wpływ na decyzje prezesa, choć oczywiście przodują tam ludzie, którzy mówią Kaczyńskiemu to, co chce usłyszeć, albo przynajmniej próbują to odgadnąć i w ten sposób budować swą pozycję.

Czyli na rok przed wyborami prezydenckimi przewaga Koalicji 15 Października wisi na włosku?

Wystarczy jedna czwarta wyborców Trzeciej Drogi, która poczuje się urażona polityką premiera i spojrzysz w inną stronę, a sytuacja może wymknąć się spod kontroli. Założmy, że Kaczyński decyduje się na wystawienie na prezydenta kandydatury 40-letniego szefa BBN Jacka Siewiery: rozsądnego, umiarkowanego polityka. On może naprawdę wygrać z Trzaskowskim.

Żeby zostać prezydentem, trzeba przekonać większość, w tym umiarkowanych katolików, stanowiących ogromny elektorat. Decyzją o usunięciu krzyży z urzędów prezydent stolicy sobie w tym nie pomaga.

Jeśli policzymy cały obóz rządzący, to w wyborach do PE poniósł on niewielkie straty w metropoliach, ale wyraźnie większe na wsi. Być może ma to jakiś związek z aferą z krzyżami. Zresztą, ta decyzja

nie chwyciła też za serce miejskich katolików... Tymczasem w jesiennych wyborach jednym z sukcesów KO i całego obozu anty-PiS-u było to, że zmniejszył się przechylony pomiędzy bardziej i mniej zurbanizowaną częścią kraju, zaś w poparciu dla PiS się on powiększył. W wyborach europejskich KO znowu zaczęła się bardziej odchylać w stronę zurbanizowaną.

Co ciekawe, Trzecia Droga przechyliła się lekko w stronę wiejską; noga PSL okazała się mocniejsza niż ta „hołowniana”.

PiS rządził osiem lat, bo te mechanizmy lepiej rozumiał?

Gdyby więcej rozumieli, toby nie przegrali. Startowali w 2015 r. z bardzo małym kredytem zaufania poza swoją bańką. On był stopniowo budowany, zwłaszcza po objęciu przez Morawieckiego roli premiera. Wtedy też spadła liczba przeciwników rządu. Niezależnie od tego, co elektorat PiS sądził na temat przewag swojej premier Szydło nad banksterem, to dla umiarkowanych wyborców Morawiecki był znacznie lepszy. Oceny rządu rosły wraz z dobrostanem wyborców i załamały się dopiero po decyzji TK w sprawie aborcji.

Zajmijmy się dłużej Trzecią Drogą. Dziennikarze piszą o wzajemnych żalach, zwłaszcza ze strony PSL, który zarzuca Polsce 2050, że jest wydmuszką bez struktur i jedzie na słabnącym nimbie marszałka Hołowni.

Nie ma mocnego powodu, żeby ten sojusz miał się teraz rozwodzić. To kolejna medialna rozróżba, bo ktoś zobaczył smutną twarz Kosiniaka-Kamysza podczas wieczoru wyborczego. Robi się z igły widły, gdyż może da się liderów TD sprowokować i będzie o czym pisać. Jeśli się PSL rozejdzie z Polską 2050, to w wyborach prezydenckich musi wystawić kandydata, który polegnie z kretelem. Chyba lepiej stawiać na Hołownię. Na ewentualny rozwód będzie czas, wybory parlamentarne są za 3,5 roku.

Ale sam Hołownia ma chyba teraz kiepski nastrój?

Na pewno musi wymyślić się na nowo. Nie jest już taką gwiazdą, jak przed powołaniem rządu Tuska, gdy w Sejmie toczyły się zażarte boje; nie robi już wrażenia w roli marszałka. Zabrakło mu po-

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Stuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

mysłu na kolejne odcinki serialu. Może teraz będzie tu jakiś impuls, bo i tak trzeba wiele zmienić, skoro odeszli ważni dla niego ludzie, jak Kobosko – nr 2 w partii – który trafił do PE.

Dziwi Pana kryzys poparcia dla rządzących po tak krótkim czasie? Niektórzy mówią, że społeczeństwo jest zmęczone ciągłym zajmowaniem się PiS-em i słabą własną agendą.

Rozliczenia powinny się odbywać w tle, raczej z ubolewaniem niż satysfakcją. Opowieść Tuska, że jak to wszystko osądzimy, to oni nigdy nie wrócą do władzy – nie trzyma się realiów. To jest chciejstwo. Tak myślał Kaczyński: będziemy powtarzać to nieszczęsne „für Deutschland” i wygramy. Nie wyszło. Już chyba lepiej sobie hodować cywilizowaną opozycję, zacisnąć zęby i podchodzić do niej tak, jakby się chciało żeby ona podchodziła do nas, bo i tak w końcu zamienimy się miejscami.

Mało jest chyba też informacji, co spektakularnego nowy rząd robi.

Sprawa CPK, elektrowni atomowej czy sytuacji na granicy pokazuje, że główny „problem” PO polega na tym, iż jej wyborcy nie mieliby nic przeciwko, żeby prowadzić w pewnych obszarach politykę poprzedników, ważne jest tylko to, żeby tego nie robił PiS. No ale kontynuacja gryzie się z polaryzacją.

Ponadto dziwi mnie, że np. Morawiecki nie miał pieniędzy z KPO, ale ogłaszał, że je ma, a Tusk je inkasuje, ale słabo z informowaniem, na co te pieniądze pójdą. Jest też kwestia samorządów, które poranił PiS, odbierając kompetencje i fundusze, ale dziś nic nie słyhać, by koalicja coś w tej sprawie przygotowywała. Może dlatego nic się nie dzieje, że przez całą kadencję nie będzie wyborów samorządowych. Tyle że to błąd, skoro armii niemal 2 tys. burmistrzów i wójtów skończy się druga kadencja i w świetle zmienionego prawa nie będą mogli już kandydować. W efekcie mogą się zjednoczyć i stać się znaczącą konkurencją; w Czechach ich partia sięgnęła po władzę.

Mówi Pan często o potrzebie osłabienia polaryzacji. Są jaskółki takiego myślenia?

Jestem ciekaw, co o naszej polityce myślał 40-letni działacz, ci, którzy właśnie



GRAŻYNA MAKARA

PROF. JAROSŁAW FLIS jest socjologiem i komentatorem politycznym, pracuje na Wydziale Zarządzania i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym”.

pokazali swoją siłę, szczególnie w PiS, przekakując z niskich miejsc bardzo doświadczonych polityków, takich jak Czarnecki, Fotyga, Karski czy Kurski, którym nie pomogło nawet błogosławieństwo prezesa. Sądząc po ostatnim wyniku PiS, lepiej sobie ta partia poradziła bez Kurskiego w TVP, i to ledwie kilka miesięcy po utracie władzy, co zazwyczaj podcina skrzydła. Może to nowe pokolenie trochę się „wyluzuje” i spojrzy na politykę inaczej niż jak na batalię z groźbami zamykania do więzień w tle.

Myślę, że tylny szereg PO też byłby zadowolony ze zmiany dość podobnej narracji ich lidera, łatwo rzucającego oskarżenia o bycie „ruską onucą”. Całe to pokolenie może starać się tę wojnę polaryzacyjną obłaskawić. Na razie to jest swoisty *wrestling*: robimy sporo hałasu, ale realnie nie robimy sobie wielkiej krzywdy. Może jednak przydałoby się mniej opowieści o „grupach przestępczych”, a więcej realnych kar dla prawdziwych przestępstw. Jaskółki pewnych przemian widzę choćby w wymianie myśli między Klubem Jagiellońskim, Krytyką Polityczną i Kulturą Liberalną, teraz czas na polityków.

Jak na te kalkulacje może wpłynąć sytuacja międzynarodowa?

To byłoby gdybanie, nie wiemy, co się zdarzy. Obecnie to Konfederacja żywi się najbardziej przedłużającym się konfliktem na Ukrainie, korzystając z tego, że część społeczeństwa jest już zmęczona wojną. Ale jest też duża rzesza ludzi, która bezwarunkowo popiera Kijów w walce

z Moskwą, a niektórzy ze swojego zaangażowania w poparcie dla Ukrainy zrobili wręcz projekt życiowy; główne partie nie chcą ich stracić.

W naszej rozmowie w zasadzie pominieliśmy Andrzeja Dudę. Będzie rozgrywającym na prawicy, gdy opuści Pałac?

Nie wygląda to dobrze. Minister Mastalerk przejął sterowniki do obsługi prezydenta, ale jakoś nie widać wielkich efektów. Duda rozmienia się na drobne, a i tak mało z tego wychodzi, jak w przypadku promowania jego najbliższego człowieka, Wojciecha Kolarskiego, który poległ właśnie w wyborach, a to miał być symbol wpływów naszej głowy państwa. Startował z jedyńki w Wielkopolsce, a był trzeci na własnej liście. Prezydent może mieć w przyszłości szansę jedynie jako element zespołu. Na przykład takiego, który chciałby wysadzić z siodła Kaczyńskiego, może w porozumieniu z frakcją Morawieckiego.

Przejdźmy na koniec do tego, co podczas wyborów europejskich stało się w głównych państwach UE. Dużo słyszymy słów o skrajnej prawicy przejmującej kontynent, ale fakty są takie, że EPL – główna frakcja, do której należy PO – ma 185 mandatów, czyli zyskała 8. Skrajna prawica ma 58 miejsc i jest nadal tylko czwartą siłą.

Establishment i główne media potrzebują wroga, by nim straszyć, ale to ma taki skutek, jak nadmierna liczba alertów o burzach, po których niewiele się dzieje. Jak naprawdę coś złego nadejdzie, możemy już być znieczuleni. Poza tym pamiętajmy, że problem imigracji napędzającej radykałów wchodzi na agendę głównych sił, więc odbierze narodowcom paliwo. Z kolei Szwedzi, Finowie i Duńczycy włączyli ich do rządu i uczynili odpowiedzialnymi za sprawowanie władzy, co zazwyczaj zmienia radykałom perspektywę. We Włoszech zaś rządy Giorgii Meloni nie okazały się żadną tragedią. Problem pojawił się teraz w Holandii, a zwłaszcza we Francji, gdzie otaczanie przez lata eurosceptyków kordonem sanitarnym przestało działać, gdyż już nie poszło za tym rozwiązywanie problemów, tylko uciekanie przed nimi. To nauczka także dla nas.

© Rozmawiał MAREK KĘSKRAWIEC



Robert Biedroń w czasie pierwszomajowego spaceru lewicy pod hasłem „Godna praca – godne życie”. Warszawa, 1 maja 2023 r.

Nieustające wakacje Roberta Biedronia

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Butawę lidera zamienił na wygodną posadę i wysoką pensję w euro. Choć cały czas jest współprzewodniczącym Nowej Lewicy, w krajowej polityce niemal nie istnieje. Doły partyjne właśnie to dostrzegły.

KIEPSKI WYNIK LEWICY W WYBORACH do Parlamentu Europejskiego wstrząsnął całym środowiskiem, ale akurat Robert Biedroń się raduje. Zdołał odnowić mandat w Brukseli, a na dodatek pojedzie tam z życiowym partnerem,

Krzysztofem Śmiszkiem. Tyle że właśnie ten sukces może się okazać pyrrusowym zwycięstwem.

9 czerwca 2024 r. Wieczór wyborczy lewicy. Tuż przed ogłoszeniem oficjalnych wyników wyborów do PE zgromadzeni mają ponure miny. Trudno się dziwić, wynik 6,3 proc. nie może być powodem do radości. Gdy o godz. 21 włączają się kamery, działacze nabierają urzędowego optymizmu. W imieniu wszystkich głos zabiera Biedroń. Drugi współprzewodniczący Nowej Lewicy, Włodzimierz Czarzasty, nie zabiera głosu. Lider Razem Adrian Zandberg chowa się w kącie sali, poza zasięgiem kamer.

Dziesiątka na tarczy

To zrozumiałe. Mandaty dla lewicy zgarniają Biedroń ze Śmiszkiem oraz Joanna Scheuring-Wielgus. Cała trójka wywodzi się z Wiosny, którą Biedroń założył w 2019 r. i dzięki której stał się gwiazdą polskiej polityki, udowadniając potem, że można zdobywać maksimum profitów przy niewielkich nakładach. Kłopot w tym, że poczucie klęski, złość działaczy na kierownictwo i silna obawa o przyszłość musiały znaleźć winnych. Dziesiątką na tej tarczy stała się uśmiechnięta twarz Biedronia.

Z nową siłą wróciły zarzuty, że lewicą rządzą mężczyźni. Posłanka Anita Kucharska-Dziedzic, członkini komisji śledczej ds.

wyborów kopertowych, wywodząca się z Wiosny, nie kryje pretensji do Biedronia, który co prawda zdobył mandat, ale z wynikiem gorszym, niż oczekiwał. – I on, i Włodzimierz Czarzasty powinni przemyśleć swoje przywództwo w Nowej Lewicy – mówi Kucharska-Dziedzic.

Odezwał się też odwieczny krytyk, senator Maciej Kopiec, również wywodzący się z Wiosny, który jeszcze przed wyborami ostro zaatakował europosła, czyniąc go odpowiedzialnym za wypadnięcie z list wyborczych Łukasza Kohuta. Chodziło mu o skomplikowaną układankę, w której Biedroń miał forsować na pierwsze miejsce śląskiej listy Macieja Koniecznego z Razem, licząc, że zdobędzie mniej głosów niż przedstawiciel mniejszości śląskiej Kohut, a dzięki temu większą szansę na mandat będzie miał partner Biedronia, Krzysztof Śmiszek. W efekcie Kohut wystartował z list KO i oczywiście zdobył miejsce w PE, zaś wynik Koniecznego nie był najlepszy i euromandat wziął Śmiszek.

– Zachowuje się jak cesarz, tchórz albo osoba pozbawiona argumentów – mówił Kopiec, tłumacząc, że ujawnia wewnętrzne spory tylko dlatego, że Biedroń „od lat nie odbiera telefonów i nie odzwania”. Po wyborach zaś wprost oskarżył go o „sabotaż polskiej Lewicy”.

Biedronia broni Joanna Scheuring-Wielgus. – W przeciwieństwie do osób,

które formułują takie zarzuty, współpracę z Robertem od sześciu lat. Jest chyba jednym z najbardziej pracowitych polityków, jakich poznałam, i jednym z najbardziej lojalnych w stosunku do grupy, z którą współpracuje. Ale wymaga też lojalności w stosunku do siebie. Jest świetnym liderem, cieszę się, że będziemy razem pracować również w Parlamencie Europejskim – mówi świeżo wybrana europosłanka.

Scheuring-Wielgus polemizuje też z tezą, że Biedroń od interesu partii wyżej stawiał interes partnera. – Krzysztof Śmiszek to świetny parlamentarzysta i wiceminister sprawiedliwości, bardzo pracowity. Argument, że to partner Biedronia, w tym przypadku nie ma większego znaczenia. W polityce działają przecież małżeństwa i nikomu to nie przeszkadza – zaznacza Scheuring-Wielgus.

Kiedyś był inny

To jednak odosobniona opinia. Nasi rozmówcy z lewicy są raczej zgodni, że w zasadzie nie da się ocenić dorobku Biedronia w krajowej polityce, bo go po prostu nie ma. Jedna z posłanek opowiada, że w czasie kampanii parlamentarnej w 2023 r. współprzewodniczącego partii trzeba było niemal zmuszać, żeby brał udział w spotkaniach wyborczych.

Nie pojawił się też na pamiętnej konferencji 24 października 2023 r., podczas której Tusk, Kosiniak-Kamysz, Hołownia i Czarzasty zakomunikowali zawarcie koalicji i desygnowanie lidera PO na premiera. Przyjechał dopiero, gdy cztery formacje podpisywały 10 listopada umowę koalicyjną. Przy okazji zresztą zadbał, by przebić się do mediów, bo oświadczył, że liberalizacji aborcji nie ma co prawda w umowie, ale lewica zawałczy o tę kwestię na własną rękę. Tym samym kolejny raz pokazał swoją główną umiejętność: wykorzystywania do maksimum okoliczności. Tyle że po tym zdarzeniu znów zniknął.

Politycy lewicy przyznają, że kiedyś był inny: naprawdę pracowity i aktywny. Wyraźną cechą okazał się najpierw gorszy od oczekiwań wynik Wiosny w wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2019 r., a potem bardzo słaby wynik Biedronia w wyborach prezydenckich w 2020 r., gdy zdobył ledwie 2 proc. głosów, kończąc wyścig na szóstej pozycji.

Wyprzedzili go nie tylko Andrzej Duda i Rafał Trzaskowski, ale też polityczny debiutant Szymon Hołownia, Krzysztof Bosak i Władysław Kosiniak-Kamysz.

Po tych dwóch zdarzeniach miał postawić przede wszystkim na realizację prywatnych interesów i brylowanie w europarlamencie. Buławę „nadziei polskiej lewicy” postanowił, jak mówią sami politycy tego ugrupowania, sprzedać za brukselskie euro. W ostatnich wyborach dbał jedynie o to, by na europejskie salony wprowadzić Śmiszka, mimo że ten jako wiceminister sprawiedliwości miał robić w kraju porządki po epoce PiS.

A przecież przez lata były podstawy, by Biedroń uchodził za nadzieję lewicy. Urodzony w 1976 r. w Krośnie, stał się najbardziej znanym działaczem na rzecz praw osób homoseksualnych i pierwszym polskim politykiem, który ze swej orientacji uczynił program. Od 2001 do 2009 r. kierował działającą na rzecz praw gejów i lesbijek Kampanią Przeciw Homofobii. To wtedy związał się z SLD, wówczas jednym z hegemonów polskiej sceny politycznej, a zarazem jedyną partią, która przynajmniej deklaratorywnie nie odcinała się od praw mniejszości seksualnych.

Jednak kłopoty SLD, związane z kiepskimi rządami tej partii w latach 2001-2005, oraz mała determinacja działaczy, by wspierać interesy gejów i lesbijek, skłoniły Biedronia do dalszych poszukiwań. Szansą stał się ruch, który przed wyborami w 2011 r. organizował filozof, przedsiębiorca i *enfant terrible* PO Janusz Palikot. Biedroń był jednym z filarów Ruchu Palikota i w 2011 r. uzyskał mandat poselski z list tej formacji, która osiągnęła całkiem niezły wynik 10 proc., wyprzedzając SLD i będąc sezonową „trzecią siłą”, jak wcześniej Samoobrona, a później Nowoczesna i ruch Pawła Kukiza.

W Sejmie VII kadencji Biedroń stał się pierwszym posłem otwarcie deklarującym homoseksualizm, mając obok siebie pierwszą transseksualną posłankę Annę Grodzką. Był aktywny i lubiany, nie szkodziły mu wpadki, jak ta z programu Moniki Olejnik, gdy dowodził, że Konwent Seniorów to „zebranie najstarszych posłów”. W 2014 r., gdy właśnie przesiadał się na fotel prezydenta Słupska, tygodnik „Polityka” nagroził go nawet tytułem najlepszego posła.

Obietnice bez pokrycia

Start w wyborach na prezydenta miasta był zaskoczeniem. Biedroń nie miał dotąd ze Słupskiem nic wspólnego, jednak instynkt go nie zawiódł. Wyborcy najwyraźniej poczuł się zaszczyceni, że na ich włodarza postanowił kandydować celebryta.

Jako prezydent miał przede wszystkim dobry PR. Znany był ze spektakularnych akcji, jak np. wystawienie kanapy przed urząd, na której przyjmował interesantów. Ale Słupskiem rządził tylko przez jedną kadencję. Od początku było wiadomo, że traktuje sprawowanie tego urzędu i związane z tym zainteresowanie mediów jako trampolinę do kariery na scenie ogólnopolskiej.

Okazją miał być wyborczy rok 2019 – wiosną miały się odbyć wybory do PE, a jesienią wybory parlamentarne, w których formacje opozycyjne szykowały się do odebrania władzy rządzącemu od 2015 r. PiS-owi.

Oficjalna prezentacja Wiosny, nowego ugrupowania Biedronia, miała miejsce w lutym 2019 r. na warszawskim Torwarze. Była udana: ugrupowanie osiągało początkowo niezłe notowania w sondażach.

Wcześniej, jeszcze w okresie słupejskiej prezydentury, Biedroń prowadził aktywne działania promocyjne. Wydał m.in. autobiograficzną książkę „Pod prąd”, w której odważnie opowiadał o sobie, także o intymnych relacjach z kobietami. „Ale to nie było to. Jak się żyje w heteromatrixie, to – kiedy jesteś chłopakiem – wszystko pcha cię w ramiona dziewczyn. Rodzina, znajomi, koledzy, szkoła, religia, reklamy, telewizja. Wszystko! Nie masz wyboru, musisz spróbować”.

Jednak przy okazji kampanii Wiosny słupejskie media brutalnie zweryfikowały, które punkty programu wyborczego zrealizował w ich mieście. Wyliczyły, że nie wprowadził darmowego internetu (tymczasem Wiosna obiecywała darmową sieć w całym kraju) i systemu rowerów miejskich, nie obniżył cen biletów na komunikację miejską, nie zbudował filharmonii i nowej hali widowiskowej, nie stworzył Instytutu Zielonej Energii, natomiast wiele czasu spędził na wozach po świecie. Faktem było jednak, że obniżył wynagrodzenia urzędników, w tym swoje, a także władz miejskich spółek.

W 2018 r. ukazała się jedyna w swoim rodzaju książeczka dla młodzieży „Włącz DEMOkrację”, w której Biedroń

→ proponował interaktywną grę, mającą przybliżyć podstawowe pojęcia dotyczące państwa, władzy i polityki. Jej uczestnik, w przypadku zdobycia od zera do 20 punktów – mógł zasiąść w sejmiku wojewódzkim. Gdy otrzymał od 21 do 40 punktów – zostawał posłem. Wynik wyższy uprawniał do starcia o prezydenturę.

Pałacowe ambicje

Ludzie znający od lat Biedronia przyznają, że taki był jego plan – z działacza samorządowego miał na czele Wiosny zamienić się w lidera polskiej lewicy, nieobecnej od 2015 r. w Sejmie. Kolejnym celem była zaś prezydentura, do której wybory do Parlamentu Europejskiego z maja 2019 r. miały stać się ledwie rozgrzewką. Tyle że wynik znacznie poniżej oczekiwań podciął Biedroniowi skrzydła. Wiosna uzyskała poparcie 6 proc. i zdobyła trzy mandaty (Biedroń, Łukasz Kohut, Sylwia Spurek), co okazało się i tak relatywnym sukcesem, bo Wiosna była jedyną listą, która przekroczyła próg obok dwóch gigantów – PiS i Koalicji Europejskiej, grupującej m.in. PO, PSL i SLD.

Biedroń był jednak rozczarowany. Dlatego też zdecydował się na ruch, który do dziś jest mu wypominany – przed wyborami do PE zadeklarował, że kandyduje tylko po to, by Wiosna zdobyła lepszy wynik, ale po wyborach rzeknie się mandatu. Jednak gdy już został europosem, zapomniał o swej deklaracji, przez co mandatu nie uzyskała następna na liście prof. Monika Płatek.

Niektórzy zwracali uwagę na jeszcze jeden aspekt kryzysu wizerunkowego. Wiosną 2019 r. ukazały się medialne przecieki o prokuratorskich zarzutach wobec Biedronia z przełomu wieków, dotyczących znęcania się nad matką. Choć on sam, a także rzekoma ofiara natychmiast temu zaprzeczyli, twierdząc, że to oni byli ofiarami przemocy ze strony ojca i męża, współpracownicy Biedronia przyznawali, że sprawa go „trafiła”. Tak jakby ktoś wy-

Jako prezydent Słupska

Biedroń nie wprowadził obiecanego darmowego internetu, nie obniżył cen biletów, ani nie zbudował filharmonii.

ciągnął na powierzchnię wyparte wspomnienia.

Przed wyborami parlamentarnymi w 2019 r. SLD zostało wypchnięte z koalicji wyborczej z PO, więc wiadomo było, że trzy ugrupowania lewicowe – Sojusz, Partia Razem i właśnie Wiosna – skazane są na porozumienie. I rzeczywiście, doszło do niego, co dało niezły wynik w wyborach (12,5 proc.) i pozwoliło wrócić lewicy do parlamentu po czterech latach banicji.

Biedroń i Czarzasty od razu zapowiedzieli połączenie swoich formacji; jedynie Razem zdecydowało się zachować autonomię. Jednoczenie się trwało długo i zostało ostatecznie sfinalizowane w 2021 r. W nowo powstałej partii – Nowej Lewicy – działacze Wiosny otrzymali tyle samo miejsc we władzach, co politycy SLD, choć historia, potencjał i finanse obu ugrupowań były nieporównywalne. Biedroń znów objawił więc swój talent do maksymalizacji zysków i minimalizacji kosztów, choć tu akurat działał ramieniem z Czarzastym, który wiedział, że tylko głosami ludzi z Wiosny może zostać wybrany na współprzewodniczącą partii i podać tym samym tlen starzejącej się formacji.

Fala frustracji

Tak jak kiedyś walczył o polityczne życie Czarzasty, tak teraz Biedroń będzie musiał wymyślić się na nowo – w ostatnich miesiącach gwałtownie traci bowiem popularność. Elektorat już nie ma go za młodą nadzieję lewicy, ale za przebrzmiałego tenora, który wraz ze współprzewodniczącym ciągnie Nową Lewicę w dół, blokując miejsce komuś młodszemu, np. kobiecie.

Były poseł SLD, obecnie w KO, wątpi jednak, że do zmian dojdzie w najbliższych miesiącach. – Tam nie ma kandydatów na nowego przywódcę. Gawkowski nie uniesie tej zbroi, jeśli zaś chodzi o kobiety, to Scheuring-Wielgus też poszła do Brukseli, Kucharska-Dziedzic nie

jest z Warszawy, a Dziemianowicz-Bąk jest ambitna, ale nie lubi jej Czarzasty – mówi nasz rozmówca.

Podobnie sceptyczny co do losów Nowej Lewicy jest Leszek Miller. „Przyszłość zależy od tego, czy oni się otrząsną, czy dokonają zmiany kierownictwa, czy będą udawali, że nic się nie stało. Ale raczej uważam, że będą udawali. Właścicielem tej partii jest Włodzimierz Czarzasty, tak jak właścicielem PiS jest Jarosław Kaczyński. To są te same mechanizmy i dopóki właściciel nie powie, że rezygnuje, to tam się nic nie stanie” – mówił niedawno w Polsce.

Z kolei posłanka związana z Razem zwraca uwagę na kolejny aspekt kryzysu. Jej zdaniem, w lewicowej koalicji cały czas trwa twarda walka między tworzącymi ją partiami. Dlatego działacze Nowej Lewicy nie wspierali w kampanii kandydatów Razem. Ponoć też, mimo formalnego zjednoczenia, między dawnym SLD i dawną Wiosną wciąż są silne napięcia, więc wyekspediowanie Biedronia, Śmiszka i Scheuring-Wielgus do PE może być paradoksalnie okazją dla Czarzastego, by przejąć wpływy.

Na razie nic nie wskazuje, by miała zostać zmieniona formuła kierownictwa, składającego się z dwóch ludzi. Stąd też wśród lewicowych polityków można usłyszeć, że nowym Biedroniem będzie obok Czarzastego Scheuring-Wielgus, przez co spełniony zostanie postulat, by przynajmniej jednym z liderów formacji była kobieta.

– W polityce nie można niczego wykluczyć, na razie wyspałam się po trzech kampaniach i muszę przygotować na pracę w Parlamencie Europejskim – mówi nam Scheuring-Wielgus, pytana o taki scenariusz.

Co stanie się z samym Biedroniem? Będzie mógł wreszcie udać się ze Śmiszkiem na nieustające wakacje – kpią działacze lewicy.

W książeczce „Włącz DEMOKrację” na początku gry uczestnik ma znaleźć terytorium na założenie państwa. Ma do wyboru trzy odpowiedzi: „Szukam terytorium, na którym bezpiecznie mogę założyć państwo”, „Co się odwlecze to nie uciecze, kiedyś znajdę dobre miejsce” i „Odpuszczam temat, lubię podróżować, mogę włączyć się po świecie”. Jedna z nich pasuje dziś do Biedronia jak ulał.

© PIOTR ŚMIŁOWICZ



DZIENNIKARZE I AUTORZY
„TYGODNIKA” co tydzień
są gośćmi Roberta Łuchniaka
w Polskim Radiu RDC. Audycję

można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM



ADRIAN ŚLĄZOK / REPORTER

Zabawa dzieci w parku w Pszczynie. 22 kwietnia 2018 r.

Tylko dla dorosłych

SZYMON ŻYŚKO

Wypowiedzenie na głos zdania „nie lubię dzieci” zaczyna być deklaracją światopoglądową. Czy wprowadzenie „stref wolnych” od najmłodszych jest możliwe? I jakie może przynieść społeczne konsekwencje?

KOBIETA W CIĄŻY CIĄGŁE JESZCZE budzi pozytywne reakcje. Ustępuje jej miejsca, przepuszcza w kolejce. Ludzie uśmiechem reagują na widoczny brzuch, próbując go dotknąć nawet wbrew jej woli. Traktowana jest jak talizman. Dziecko w macicy jest dobre, niewinne i oczekiwane.

Sytuacja zmienia się, gdy przychodzi ono na świat. Jego matka częściej niż słowa wsparcia słyszy narzekanie na płacz lub śmiech dziecka. Bywa, że nie widzi chętnych do pomocy, by wydostać się z wózkiem z tramwaju, bo przecież „mogła nie zachodzić w ciążę”. Gdy wchodzi do samolotu, widzi dezaprobatę na twarzach podróżnych. Na rynku najmu mieszkań oferty dla osób „bez dzieci i zwierząt” to już norma.

Powiedzenie na głos „nie lubię dzieci” bywa dziś deklaracją światopoglądową. Coraz więcej osób, zwłaszcza w dużych miastach, postuluje wprowadzenie stref wolnych od nich. Mówią, że chcą spokojnie zjeść, pracować, odpocząć i podróżować. To już więcej niż trend: nieformalny ruch, który w przyszłości może chcieć zrealizować swoje postulaty.

Czy są one zgodne z prawem? I jaki wpływ na społeczeństwo może mieć odizolowanie dzieci od dorosłych?

Na równi z pijanymi

Child-Free Zone to nie nowość w krajach rozwiniętych, choć w państwach Unii wprowadzanie takich stref bywa zdecydowanie trudniejsze poprzez restrykcyjne przepisy antydyskryminacyjne.

Europie zależy na dietności, więc tego typu pomysły uchodzą raczej za lokalne fanaberie, które szybko weryfikuje rynek, gdy stałymi i najwierniejszymi klientami okazują się rodzice.

Co innego w USA. Już samo posądzenie Amerykanina o dyskryminację jest odbierane jako dyskryminacja i atak na jego wolność. Obok lokali gastronomicznych, sklepów i atrakcji dla ogółu, funkcjonują więc też te z zakazem wprowadzania dzieci. Zdarzają się kontrowersje i gorące dyskusje lokalnych społeczności, ale kończą się przejściem do porządku dziennego nad zakazem. Amerykańskie linie lotnicze od lat bezskutecznie debatują nad wprowadzeniem takich stref w samolotach, powołując się na komfort pasażerów. Nie jest tu niczym zaskakującym, gdy podobne słowa wypowiadają najważniejsi politycy lub wykładowcy renomowanych uczelni. „Kto z nas o tym nie marzy. Pragnienie spokoju jest czymś głębokim” – komentował wyniki ankiety przeprowadzonej przez PhotoAiD Samuel Engel, wykładowca Boston University’s Questrom School of Business.

Wspomniane badanie wykazało, że 80 proc. podróżujących Amerykanów popiera ideę lotów tylko dla dorosłych, a 83 proc. tej grupy stanowią rodzice. Wśród respondentów sprzeciwiających się całkowitemu zakazowi lotów

→ z dziećmi prawie 70 proc. odpowiedziało, że mimo to będą wspierać przy najmniej wyznaczenie stref wolnych od nich podczas lotów długodystansowych. Engel zauważa jednak, że wprowadzenie w życie takiego zakazu nie jest możliwe choćby z uwagi na koszty przystosowania samolotów. Zastanawia się też, czy zakaz nie powinien zostać rozszerzony na innych kłopotliwych pasażerów. I zestawia podróżujące dzieci z pasażerami pod wpływem alkoholu. „Co jest gorsze: dzieciak oglądający iPad czy zakrapiana impreza kawaler-ska w drodze do Pragi?” – pyta.

Osiedle tylko dla wybranych

W Polsce jedną z pierwszych dużych debat na ten temat mieliśmy w 2019 r., gdy poznańska restauracja Parma & Rukola opublikowała na swoim profilu zdjęcie zniszczonego stolika i oświadczyła, że po namyśle podjęto decyzję o zakazie wstępu dla dzieci poniżej 6. roku życia. „Nie wszystkie dzieci są takie same, ale nie będziemy robić selekcji” – argumentowali restauratorzy.

Oświadczenie zaowocowało nawoływaniem do bojkotu restauracji, a ocena lokalu zaczęła dramatycznie spadać. Wahadło wychyliło się także w drugą stronę. Do knajpki tłumnie przybywali ludzie, którzy – jak twierdzili – od dawna czekali na tak odważny krok. Dziś po lokalu nie pozostał ślad na mapie Poznania. Ale kopalnią wiedzy na temat emocji i argumentów w tej sprawie są pozostawione na googłowskiej wizytówce oceny. „Będąc ojcem dwójki, całkowicie popieram właścicieli. Jeśli ktoś nie potrafi uszanować czyjejś własności, to niech siedzi w domu i je pomidorową” – komentował

Bywa, że za niechęcią
do dzieci stoi
**pokoleniowe poczucie
niesprawiedliwości.**

Niektórzy bezdzielni
są rozgoryczeni, że państwo
traktuje ich jak piąte koło
u wozu i „bankomat”.

Przemysław. „W końcu miejsce, które jawnie przeciwstawia się ideologii, że jak jest dziecko, to może robić wszystko bez konsekwencji, bo jest małe” – dodawał Czak.

W debacie o „strefach wolnych” nie mówimy już tylko o lokalach usługowych. W 2021 r. jeden z deweloperów ogłosił rozpoczęcie na Śląsku budowy osiedla bez dzieci. Zaprojektowała je pracownia Ekotektura. „Założenie było takie, że nie ma tam infrastruktury ani miejsca, żeby zapewnić place zabaw, więc inwestor wpadł na pomysł, żeby od początku ogłaszać się jako osiedle bez dzieci” – bronił koncepcji architekt Piotr Pyrtek, podkreślając „równowagę rynkową”, skoro większość inwestycji reklamuje się jako przyjazne rodzinom.

Wyegzekwowanie zapisu, że kupujący nie zdecyduje się na rodzicielstwo, jest prawnie niemożliwe. Dlatego twórcy postawili na stworzenie „warunków niesprzających posiadaniu dzieci”. Pomyśłodawcami podobnych rozwiązań są przedstawiciele pokolenia, które samo wychowało się na osiedlowych trzepa-

kach, kopiąc piłkę między blokami. Jako dorośli doszli do wniosku, że place zabaw trzeba wyprowadzić jak najdalej od mieszkań, a sport eksmitować na podmiejskie „orliki”.

Mizoginia czy inkluzywność?

Zjawisku przygląda się dr Angelika Szelałowska-Mironiuk, psycholożka i dyplomowana psychoterapeutka. – Dzięki rozwojowi wrażliwości społecznej nie godzi się powiedzieć publicznie, że np. w muzeum czy w centrum miasta nie życzymy sobie osób z niepełnosprawnościami lub o innym odcieniu skóry. A jednak w wielu kręgach dopuszczalne jest stwierdzenie, że nie chcę w danym miejscu dzieci – mówi ekspertka. Jej zdaniem to jawna dyskryminacja, a deklaracja „nie lubię dzieci” jest uprzedmiotawiająca. – Dzieci nie są istotami samowystarczalnymi. Dla przetrwania i rozwoju potrzebują dorosłej osoby. Tworzenie stref Child-Free oznacza więc nie tylko zamknięcie przestrzeni dla dzieci, ale także ich opiekunów – podkreśla psycholożka i dodaje: – Osoba postawiona w takiej sytuacji może oczywiście wybrać inne miejsce, o ile żyje w większym mieście. Jeśli jest to jedyny lokal dostępny komunikacyjnie dla danej kobiety, to dostaje ona komunikat: „nie chcemy cię tutaj”. Niechęć do dzieci ściśle wiąże się zatem z mizoginią.

Dr Szelałowska-Mironiuk zwraca uwagę, że sami rodzice potrzebują niekiedy spędzić czas bez dzieci. – Nie oszukujmy się jednak, że w tworzeniu coraz większej liczby miejsc, gdzie dzieci mają wstęp wzbroniony, chodzi o troskę o rodziców. Ma to wiele wspólnego z darwinizmem społecznym, czyli

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkanie Klubów „Tygodnika Powszechnego”

- **WARSZAWA**, czwartek 20 czerwca, godz. 18.30
spotkanie z Tomaszem Szerszeniem,
„Obrazy z Zagłady. Spotkanie autorskie wokół książki
»Być gościem w katastrofie«”
Sala KIK (ul. Freta 20/24A, II piętro)
- **TRÓJMIASTO**, piątek 21 czerwca, godz. 18.00
spotkanie autorskie z Janem Grosfeldem i Sławomirem Jackiem Żurkiem, „Pałac płonie”, Biblioteka Manhattan (Gdańsk)

- **GLIWICE**, wtorek 25 czerwca, godz. 18.00
spotkanie z ks. Jarosławem Buchenfeldem, „Komu pomagają, komu przeszkadzają dogmaty?”, cykl „Klubowa kawiarenka”, Kawiarenka Zamkowa (ul. Basztowa 11)
- **BIELSKO-BIAŁA**, środa 26 czerwca, godz. 17.00
oprowadzanie kuratorskie po wystawie z Agatą Smalcerz, „Underground Krakowski. »Zaufaj architektowi. Zrób sobie świętynię«”, Galeria Bielska BWA (ul. 3 Maja 11)

REZERWUJ
CZAS!

ZESKANUJ I SPRAWDŹ



KLUBYTYGODNIKA.PL



STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na KlubTygodnika.pl/wydarzenia

wykluczaniem słabszych i potrzebujących wsparcia – ocenia psycholożka.

Z kolei zdaniem Edyty Brody, twórczyni portalu bezdzietnik.pl wspierającego świadomą bezdzietność, problem niechęci do dzieci w przestrzeni publicznej wynika paradoksalnie z inkluzywności. – Dawniej przestrzeń publiczna należała wyłącznie do dorosłych. Dzieci głosu w niej nie miały, co negatywnie odbijało się również na ich matkach. Zostały zmarginalizowane i zepchnięte do stref dziecięcych. Dziś kobiety odyskują przestrzeń publiczną. Z dzieckiem można wejść wszędzie i to sprawiło, że wiele osób zatęskniło za miejscami tylko dla dorosłych – mówi.

Kilka lat temu autorka na swoim blogu pokazała czytelnikom anglojęzyczną przeglądarkę, która umożliwiała znalezienie lokali i hoteli, w których nie spotkamy dzieci. Idea spotkała się z tak dużym zainteresowaniem, że zgłosiła się do niej grupa programistów z propozycją stworzenia podobnej aplikacji w języku polskim. – Odzew ze strony biznesu gastronomicznego i hotelarskiego był duży, aplikacja była chętnie odwiedzana, mając ok. 2 tysięcy wejść dziennie. Sporo ofert pochodziło od przedstawicieli branży agroturystycznej czy niewielkich, klimatycznych hotelików. Co ciekawe, uzasadnieniem dla ograniczeń nie zawsze było przekonanie, że potrzebne są strefy Child-Free. Bardzo często właścicielom chodziło o to, by dzieci nie brudziły pieczołowicie wykończonych wnętrz, nie niszczyły zabytkowych mebli. Było też sporo barów, które nastawiały się na nocne rozrywki przy alkoholu – komentuje współtwórczyni aplikacji bez-dzieci.pl.

Zainteresowanie nie przełożyło się jednak na rozwój aplikacji. Wiele przedsiębiorców było niechętnych, by mówić głośno o nastawieniu na wypoczynek bez dzieci, wystawiając się na ostracyzm społeczny. Projekt wygaszono.

– Potrzeba istnienia stref bez dzieci istnieje. Jest wiele miejsc, które oferują tego typu wypoczynek. Organizowane są turnusy i wycieczki tylko dla osób dorosłych. Ten segment wciąż się rozwija, tylko niszowo i raczej po cichu – mówi Edyta Broda.

Nie będę pracować na pani dziecko

Bywa, że za niechęcią do dzieci stoi pokoleniowe poczucie niesprawiedliwości. Podczas zaobserwowanej niedawno kłótni w wagonie ciszy relacji Warszawa-Kraków starła się młoda dziewczyna próbująca pracować zdalnie ze starszą kobietą stojącą w obronie matki z płaczącym dzieckiem. „Jak się jedzie z nieprzewidywalnym dzieckiem, to nie kupuje się miejsca w wagonie ciszy. Ja tu pracuję na pani emeryturę i 500 plus tego bachora!” – wykrzyczała zirytowana dziewczyna. „A pani myśli, że od dziecka sama pracowała na siebie?” – kontrowała starszka.

– Wiele bezdzietnych czuje się rozgoryczonych tym, że państwo traktuje ich jak piąte koło u wozu albo „bankomat”. Rozbudowane programy socjalne kierowane do rodziców finansowane są również z podatków bezdzietnych – mówi Edyta Broda. Winę za to ponoszą politycy, którzy przez lata nie wypracowali odpowiedniej edukacji prospołecznej i obywatelskiej. W świecie indywidualistów programy socjalne czy wspieranie grup szcze-

gólnie wrażliwych to trigger uruchamiający sprzeciw.

Problem zauważa również dr Szelańska-Mironiuk. Jej zdaniem poczucie bycia „sponsorem” bierze się z mówienia o dzieciach niemal wyłącznie w kontekście gospodarczym. – Wiemy, że system ubezpieczeń społecznych opiera się na zastępowalności pokoleń, jednak w żadnym stopniu nie usprawiedliwia to traktowania dzieci jako kogoś, kto jest nam winny pracę na naszą rzecz. Dzieci zasługują na szacunek nie dlatego, że kiedyś będą wyrabiać PKB, ale dlatego, że są ludźmi. Prawa człowieka, a więc też prawo do gromadzenia się czy przemieszczania, przysługują nie tylko tym, którzy generują dochód – zauważa psycholożka.

W stronę egoizmu

Według niej w dłuższej perspektywie wykluczanie dzieci i ich opiekunów będzie miało negatywne skutki dla wszystkich. – Osoby opiekujące się dziećmi również potrzebują kontaktu z innymi dorosłymi, tak samo zresztą jak dzieci potrzebują dostępu do świata dorosłych. Poczucie samotności młodego rodzica może sprzyjać depresji i wypaleniu rodzicielskiemu, które fatalnie przełoży się na jego relacje z samym dzieckiem – zaznacza dr Szelańska-Mironiuk.

Przyszli młodzi dorośli, którzy wyrosną z wykluczanych dzieci, mierzą się z brakiem zdolności do empatii i współczucia. Sami zaczną wykluczać kolejne grupy społeczne na skalę dzisiaj nam nieznaną. Wprowadzając Child-Free Zone, prosimy się o poważny kryzys więzi, czyli podstawowego spoiwa społeczeństwa.

© SZYMON ŻYŚKO

Lato z „Tygodnikiem”

TYGODNIK POWSZECHNY

38% TANIEJ

WIĘCEJ INFORMACJI

OFERTA WAŻNA DO 31 SIERPNIA 2024

Wybierz swoją prenumeratę

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta prenumeraty Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy
udziela Agnieszka Dyrz w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej
przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel
w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem
e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA	
	Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
■ Kwartał – 12 wydań	160 zł	200 zł
■ Rok – 52 wydania	550 zł	680 zł
■ Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	480 zł	
■ 4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

Suwerenni dzięki Wam

Suwerenni dzięki Wam – to hasło towarzyszy „Tygodnikowi” od dłuższego czasu. Oznacza tyle, że przetrwanie pisma zależy od jego Czytelniczek i Czytelników, a nie od widzimi się władzy politycznej czy kapitałowej. Zalety takiej sytuacji są obopólne: Państwo mają pewność, że publikacje „Tygodnika” są niezależne,

redakcja natomiast ma możliwość pisania obiektywnego i o sprawach najważniejszych.

Misja „Tygodnika”

Każda osoba prenumerująca nasze pismo wspiera realizację naszej misji: Odważnie prowadzimy Czytelniczki i Czytelników przez świat, zachęcając do patrzenia na rzeczywistość

z różnych perspektyw. Nasze publikacje i działania poszerzają horyzonty myślenia i wolności. Prawda jest dla nas sprawą nadrzędną. Ważne są dla nas wzajemny szacunek i otwartość – nie zamykamy się na żadną ze stron dialogu. **Wierzimy, że świat da się naprawić.**

TOMASZ

Stawiszyński: Niewczesne przebudzenia



KIEDY PO PAŹDZIERNIKOWYCH WYBORACH pisałem, że ówczesna rekordowa frekwencja nie stanowi dla mnie – wbrew wszechobecnym entuzjazmom – dowodu na „przebudzenie społeczeństwa obywatelskiego”, zarzucano mi (nie pierwszy raz) skłonności defetystyczne. Mnie się natomiast zdawało, że tamto gremialne stawiennictwo było raczej związane z wyjątkowo brutalną kampanią wyborczą. Opartą głównie na teoriach spiskowych i szybującej polaryzacji. Trudno się dziwić, że pod wpływem tego rodzaju mieszanki ludzie masowo ruszyli do urn. Czy ktoś jeszcze pamięta te rozwibrowane emocje, frenetyczną atmosferę zbliżającego się sądnego dnia? A do tego granica polsko-białoruska – najważniejszy chyba temat, o którym nieustannie słyszeliśmy ze strony wtedy opozycyjnej, a dziś rządzącej. Słyszeliśmy, między innymi, że rzeczy wydarzające się na granicy to zbrodnie na masową skalę, a rząd, który tak postępuje, jest pozbawiony ludzkich odruchów. To niedopuszczalne – mówiono – skandaliczne, etycznie naganne, trzeba natychmiast położyć temu kres.

Minęło dziewięć miesięcy – i co? Frekwencja oraz wyniki wyborów do Parlamentu Europejskiego pokazały, że „przebudzenie obywatelskie” to fenomen jednorazowego użytku. A sposób, w jaki obecny rząd poczyni sobie na granicy, świadczy o tym, że narracja o zbrodniach była, mówiąc delikatnie, kampanijną mistyfikacją. By nie powiedzieć – symptomem cynizmu.

Sytuacja na granicy od początku była bezprecedensowa, celowo wywołana przez Rosję i Białoruś, na wskroś tragiczna, ekstremalnie trudna logistycznie i moralnie. Przedstawiciele koalicji musieli wiedzieć, że po dojściu do władzy będą tam prowadzić dokładnie taką samą – a może nawet jeszcze ostrzejszą – politykę. Jest to bowiem – nie oszukujmy się – polityka stosowana w całej UE, przez UE autoryzowana i popierana. Nikt nigdzie nie postępuje inaczej, w wielu krajach natomiast postępuje się jeszcze bardziej bezkompromisowo i brutalnie. Czy to dobrze? Oczywiście, że źle. Czy mogłoby być lepiej? Niewykluczone. Do tego trzeba by jednak opracować konkretny, wieloaspektowy plan działania i poszukać dlań konsensusu, zamiast przerzucać się oskarżeniami, instrumentalizować tragizm na użytek wojen partyjnych albo pogrążać się w bezproduktywnych afektach.

Wiadomo: gdyby ludzkość uczyła się na błędach, od dawna żylibyśmy w świecie szczęśliwym i spokojnym. Nie

zmienia to faktu, że w teorii zawsze wszystko świetnie rozumiemy: czas weryfikuje fantazje, sprowadza nas z iluzji na ziemię, a im wyżej iluzja była zamocowana, tym boleśniejże lądowanie. W interesujących nas sprawach tak to mniej więcej wygląda. „Przebudzenia społeczeństwa obywatelskiego” nie wydarzają się *ad hoc*, a nawarstwiające się latami, skomplikowane, uwikłane w wielkie interesy, ideologie i ambicje konflikty nie rozwiązują się w cudowny sposób same. Tragizm i okrucieństwo nie znikają, kiedy tylko nie możemy już dłużej wytrzymać związanego z nimi napięcia i zaczynamy głośno krzyczeć, że mamy ich dość. Właśnie się o tym po raz kolejny przekonujemy – ale czy wyciągniemy z tego wnioski?

Jeden wniosek w każdym razie jest oczywisty. Pisałem o nim też trochę tydzień temu, w felietonie poświęconym Trumpowi. Otóż wygląda na to, że w najbliższych latach liberalno-lewicowa część europejskiego pola politycznego będzie zmuszona – nie tylko w Polsce, gdzie te wyniki są i tak relatywnie wysokie, przynajmniej na razie – stawiać czoła postępującej utracie zaufania wyborców. I znaleźć sposób, żeby – jak to zrobiła prawica, niestety w ogromnej mierze skrajna – przedstawić im taką ofertę polityczną, która adekwatnie rozpozna społeczne troski, potrzeby i lęki. A to znaczy – uznać ich realność, poszukać na nie odpowiedzi, nie zaś poczytać za dowód moralnej skazy, jak to nieraz bywało choćby w kwestii obaw dotyczących migracji czy obyczajowo-tożsamościowych.

To zresztą, moim zdaniem, tylko jeden z błędów notorycznie popełnianych w ostatnich latach przez lewicowo-liberalnych polityków i powiązane z nimi środowiska. Jakie są inne? Np. taktyka polegająca na zrównywaniu każdej prawicy z Rosją i faszyzmem – co ostatecznie najbardziej sprzyja Rosji, bo zaczyna się ona ludziom niesłusznie kojarzyć z tradycją, chrześcijaństwem i konserwatyzmem. Dalej: koncentrowanie się na zagrożeniach z perspektywy zwykłego obywatela abstrakcyjnych, zamiast najpierw na tym, co konkretnie i namacalnie go dotyczy. Wreszcie – powielanie radykalnych narracji, w myśl których kultura zachodnia, jej instytucje i wartości to główne źródła opresji w dzisiejszym świecie (właśnie tutaj skrajna lewica spotyka się ze skrajną prawicą i Putinem).

W wydanym na początku lat 90. ubiegłego stulecia „Buncie elit” Christopher Lasch stawiał tezę, że globalne, europejskie i amerykańskie elity żyją coraz dalej od większości mieszkańców zachodnich społeczeństw. W szczególności, że przywiązania i wyobrażenia, które dla ludzi wciąż są istotne – tożsamość narodowa i lokalna, więzy rodzinne, religia, tradycja i sukcesja pokoleniowa – dla kosmopolitycznych, funkcjonujących w międzynarodowej siatce biznesowo-politycznej „obywateli świata” niemal całkiem przestają się liczyć. Dlatego też oferta, którą w demokratycznych państwach kierują oni do wyborców, coraz bardziej się z oczekiwaniem tych wyborców rozmiąga. A niestety, bez takiej sensownej, przemyślanej oferty nie nastąpi żadne trwałe „przebudzenie społeczeństwa obywatelskiego”. ©



Z ODDECHEM

OJCÓW OBCOWANIE

WOJCIECH MANN, RADIOWIEC:

Nie dotyczą mnie te lukrowane anegdoty, że ktoś nauczył syna grać w piłkę, łowić ryby i zbijać stołki. Nie nauczyłem. Zresztą, mój ojciec też mnie tego wszystkiego nie nauczył.

ZDJĘCIA: GRAŻYNA MAKARA

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Zaraz będzie Dzień Ojca, wiesz? Jak to jest być ojcem od trzydziestu trzech lat?

WOJCIECH MANN: To jest tak, że się nie rozumie.

Czego się nie rozumie?

Że jest się ojcem. Do tego samopoczucia trochę dokłada się Marcin, nie jest przykładowym synkiem z czytanek. Ci byli grzeczni, posłuszni i ojców podziwiali. A Marcin skrzętnie ukrywa to, że jestem dla niego autorytetem. Bywam tym załamany.

Aż tak boli?

Aż tak dziwi. Bo przecież są dziedziny, gdzie ja się ewidentnie do czegoś przydaję z moim doświadczeniem i wiedzą, ale to nie ma znaczenia dla mojego syna i w ogóle ludzi z jego pokolenia – pewnych siebie, mądrzejszych, wiedzących lepiej. Poniekąd role się odwróciły: to Marcin mnie wychowuje, nie ja jego. Jak mam kłopot z komputerem, to on wkurza się: „Weź się przyjrzyj, bo tam jest ten krzyżyk”. A ja wolę, by on mi sam znalazł ten krzyżyk. Bo lubię, jak ktoś się mną opiekuje i jest dla mnie ciepłutki.

Zmieniła się pozycja współczesnego rodzica?

Marcin wyrastał w środowisku googlowo-internetowym, w zasięgu palca ma całą wiedzę, jaką da się tam wypatrzyć, więc ojciec jest tylko dodatkiem. Mimo że doświadczenia wynikającego z życia nie zastąpią setki Wikipedii. Próbuje teraz porównać to z relacją moją z moim ojcem i wnioskuję, że racjonalnie dzieliłem jego uwagi na te przydatne i te z lamusa – gadanie starszego pokolenia.

Przydatne to jakie?

Muzyczne, o dziwo. Ojciec puszczał mi muzykę, której sam słuchał, a która była poza granicami moich ówczesnych zainteresowań.

Stopniowo odkrywałem, że to jednak jest coś, choć początkowo miałem opór przed słuchaniem big bandów jazzowych: Duke’ów Ellingtonów, Glen’ów Millerów, Louisów Armstrongów, Bennych Goodmanów. Wtedy – czyli w latach 50. i 60. – interesował mnie rock’n’roll: Presley, Beatlesi, Animalsi.

A te uwagi z lamusa?

Czasem krytykował moich kolegów-łobuzów. Pytał, czy ja na pewno muszę się z nimi przyjaźnić. Lecz nie odbywało się to na zasadzie zakazów, tylko delikatnych sugestii.

Naprawdę nigdy na Ciebie nie naciskał?

W naszej relacji istotne było to, że myśmy z ojcem właściwie mijali się perspektywami życiowo-pracowymi. Obracaliśmy się w dwóch różnych światach i estetykach. On zajmował się malarstwem i sztuką użytkową, ja muzyką i radiem. Nie konkurowaliśmy – ojciec nie komentował moich audycji, a ja jego obrazów. Przy czym, podkreślam to z całą mocą, obcowanie z ojcem nauczyło mnie elementarnego rozgraniczania opinii o tym, co w sztuce słabe, a co dobre. Natomiast z Marcinem stykamy się w kilku punktach, nie tylko na polu zawodowym, ale i w zainteresowaniach. Odbyliśmy długie i trudne dyskusje na temat jego orientacji muzycznej.

Marcina orientacja to muzyka elektroniczna.

Miałem duży opór, gdy usiłował mnie przekonywać, że samogrające elektroniczne pudełka są najlepsze, a człowiek w sumie nie za bardzo się tu liczy. Potem Marcin puszczał mi kawałki, które jemu się podobają, i przestałem marudzić, że to wszystko jest do luzu – odkrywałem rzeczy wartościowe.

Czyli klasyczny konflikt pokoleń?



→ Z Marcinem musieliśmy się też podocierać jako ludzie, którzy zasiadają przed mikrofonem i prowadzą razem audycję. Bez względu na łączące nas pokrewieństwo ważny jest efekt, nazwijmy go: harmonii prowadzących. By ta dwójka nie konfliktowała się, by nie było zbytniego gadulstwa po jednej stronie, by toczył się dialog, by były reakcje, dobry żart, trafna puenta itd. To są rzeczy, których ja wymagam. Zdarzało mi się, zresztą odruchowo, że zwracałem się jak ojciec do syna. Stawiałem sprawdzające pytania, co oczywiście bawiło słuchacza, ale na dłuższą metę nie powinno mieć miejsca.

Jakie pytania?

Na przykład: czy czytał „Winnetou”? Dla pytanego może być to krepujące, bo musi się przyznać, że np. nie czytał. Marcin był debiutantem występując ze mną w Radiu Nowy Świat i bałem się, czy ten proces docierania się naszej dwójki nie będzie zbyt trudny i długi. A trwał – plus minus – rok. Choć nie zmniejsza się mój strach o to, że Marcin niesie brzemię na plecach i ludzie w pierwszym odruchu dokonują porównań Manna młodego z Mannem starym. Z jednej strony bym chciał, by syn prześcignął mnie w popularności, a ze strony drugiej nie mogę go formować na moje podobieństwo. Po zakończonej audycji robię mu czasem korekty, jednocześnie zastanawiając się, czy nie przekraczam granicy, usiłując ułożyć syna pod siebie.

Ciebie ojciec układał pod siebie?

Nie indoktrynował, nie infekował, nie opowiadał na siłę, jak on widzi świat. Z jednym wyjątkiem: nie akceptował władzy komunistycznej, co było dla mnie zawsze jasne. Żył w świecie sztuki, któremu był bez reszty oddany. To właśnie stanowiło przestrzeń, do której chował się i w której funkcjonował. Sądzę, że sztuka dawała mu poczucie bezpieczeństwa. Oczywiście dopóki były zamówienia.

A jak ich nie było?

Mama musiała zaskórniaka spod przescieradeł wyciągać. Lub pożyczać od siostry czy najbardziej zaufanych znajomych, co było dla niej żenujące. Kiedy skarżyła się ojcu, że musi posuwać się do czegoś takiego, on rozkładał ręce: „No nie zapłacili jeszcze”. Ale potem, jak dostawał

pieniądze, to trwonil je wzorcowo. Przede wszystkim zapraszał całą rodzinę do eleganckiej restauracji w Warszawie, najczęściej był to Bristol. I to było wydarzenie, nikt nie patrzył na ceny. Ja uwielbiałem *consommé* z pomidorów, Mama – *de volaille*, chyba był prawdziwy, bo sikał maśłem. Wstyd powiedzieć, ale mama podkładała małe, wyjątkowo smaczne bułeczki pieczone na miejscu. Po raz pierwszy jadłem tam *pailles* – cieniutkie kartoflane nitki. Na deser były lody lub suflet, przed którego zjedzeniem przetaczały się dyskusje, czy odpowiednio wyrósł.

Ojciec był kulinarnym koneserem?

Nie. Jeśli chodzi o kulinaria, ojciec nie był zbyt wybredny, ale istotny element tych ceremonii stanowiła zimna wódeczka. I to nie ordynarnie podawana w butelkach czy kieliszkach, lecz w oszronionej karafce. To był luksus. A kiedy zaakceptował to, że palę papierosy – na marginesie dodam, że tę sprawność zdobyłem jako harcerz – tradycją stało się, że kupowałem dla mnie u szatniarzy trzymających pod ladą papierosy amerykańskie. Najczęściej wybierałem Pall Malle czerwone, które kosztowały 30 złotych, kiedy najbardziej eleganckie polskie papierosy Carmen kosztowały złotych 12. To była spora różnica nie tylko w cenie, ale i w jakości.

Kiedy to było?

To, o czym teraz opowiadam, dzieje się pod koniec lat 50. i we wczesnych 60. – jakby to dotarło do jakiegoś ówczesnego badacza ideologicznej słuszności, byłibyśmy napiętnowani za zachodni, więc wrogą styl życia. A właśnie ten pański gest ojca mnie zdumiewał, bo wiedziałem, jak nierówne były jego dochody. I jeszcze to: jeśli przypadkiem napatoczył się któryś z moich szkolnych kolegów, to on zapraszał go z nami do knajpy.

Inne sytuacje z ojcem?

Teraz cofam, co mówiłem, że nie naciskał na mnie, bo zdarzyła się sytuacja, w której próbował mnie sformatować wpływając na moją prezencję. Ściślej rzecz ujmując, chodziło o zmianę fryzury. Wymyślił, że będę miał sportowego jeża. Poszedł ze mną do fryzjera, który mi rękami gorącymi włosy stawiał, robiąc na głowie baranka. Byłem załamany. Ale poddałem się ojcu tylko na parę godzin.

Bo jak już wróciliśmy do domu, to natychmiast zmoczyłem sobie głowę, by baranek się rozprostował. Kiedy ojciec zobaczył, że na marne to wszystko poszło, odbyła się jedna z nielicznych awantur. Bez wrzasków karczemnych, ale dał wyraz temu, że jest zły. Innych awantur nie pamiętam. Jak zaliczałem jakieś wpadki, to ojciec raczej był tonującym elementem rodzinnym, zachowywał dystans i spokój.

Bitwa o fryzurę to jest jednak nieprzemijająca klasyka...

Ale dbał o to, bym był zadowolony. Na przykład jeździł ze mną na ciuchy, daleko, bo na Pragę. Kiedyś kupił mi dzinsy amerykańskie, których nie dało się uświadczyć w sklepach. Co zresztą nie spodobało się mojemu wychowawcy, wezwał do szkoły mamę, którą poprosił, bym w dzinsach do szkoły nie przychodził. Uzasadniał to tym, że koledzy mi zazdroszczą i tworzą się nierówności społeczne. Efekt był taki, że ja chodziłem nadal w dzinsach, a ojciec mnie w tym mocno wspierał.

Zawsze stawał po Twojej stronie?

Jeśli miał wątpliwości, to zgłaszał je wyłącznie mojej mamie. Nigdy mnie bezpośrednio. Martwił się o mnie szczególnie wtedy, gdy wylali mnie pod dwóch semestrach z handlu zagranicznego. Nie wiedział, co ze mnie będzie. Przełomowym momentem było to, jak znajomemu pochwalił się, że ja coś zrobiłem w Rozgłośni Harcerskiej. Miałem wtedy 21 lat. Czyli przestałem być synem, który nie wiadomo, czy rokuje, czy nie, ale, rzecz jasna, jest kochany, tylko zacząłem być postacią, o której może powiedzieć, że czegoś dokonuje. Zaakceptował mnie nie tylko jako dziecko, ale jako człowieka, który coś sobą reprezentuje.

Samodzielność?

Odpowiedzialność? Opowiem historię, która dobrze oddaje ojca podejście do świata. Kiedy wprowadziliśmy się do większego mieszkania na Powiślu, w łazience brakowało umywalki, na jej miejscu sterczały końcówki rur do montażu. Ale była wanna z prysznicem i wszyscy korzystali z tej oferty. Ojciec, zanurzony w swoim malowaniu, przypuszczam, że nawet nie zwrócił uwagi na taki brak, skoro w wannie mógł się umyć, a przed

WOJCIECH MANN (ur. 1948) jest dziennikarzem muzycznym, tłumaczem, autorem piosenek. Przez ponad pięćdziesiąt lat związany z Programem III Polskiego Radia, od roku 2020 z Radiem Nowy Świat.

Na zdjęciu ze swoim ojcem Kazimierzem, 1948 r.

lustrem ogolić... Dla niego było okej. Jednak ja po kilku miesiącach wkurzyłem się i któregoś dnia, jak dostałem pieniądze z radia – małe, ale moje – poszedłem do sklepu, kupiłem umywalkę, przytarzałem do domu i zamówiłem machera, który ją założył. Byłem dumny, że dołożyłem się do luksusu w nowym mieszkaniu. A ojciec tylko odnotował fakt: „O, umywalka”. I umył ręce.

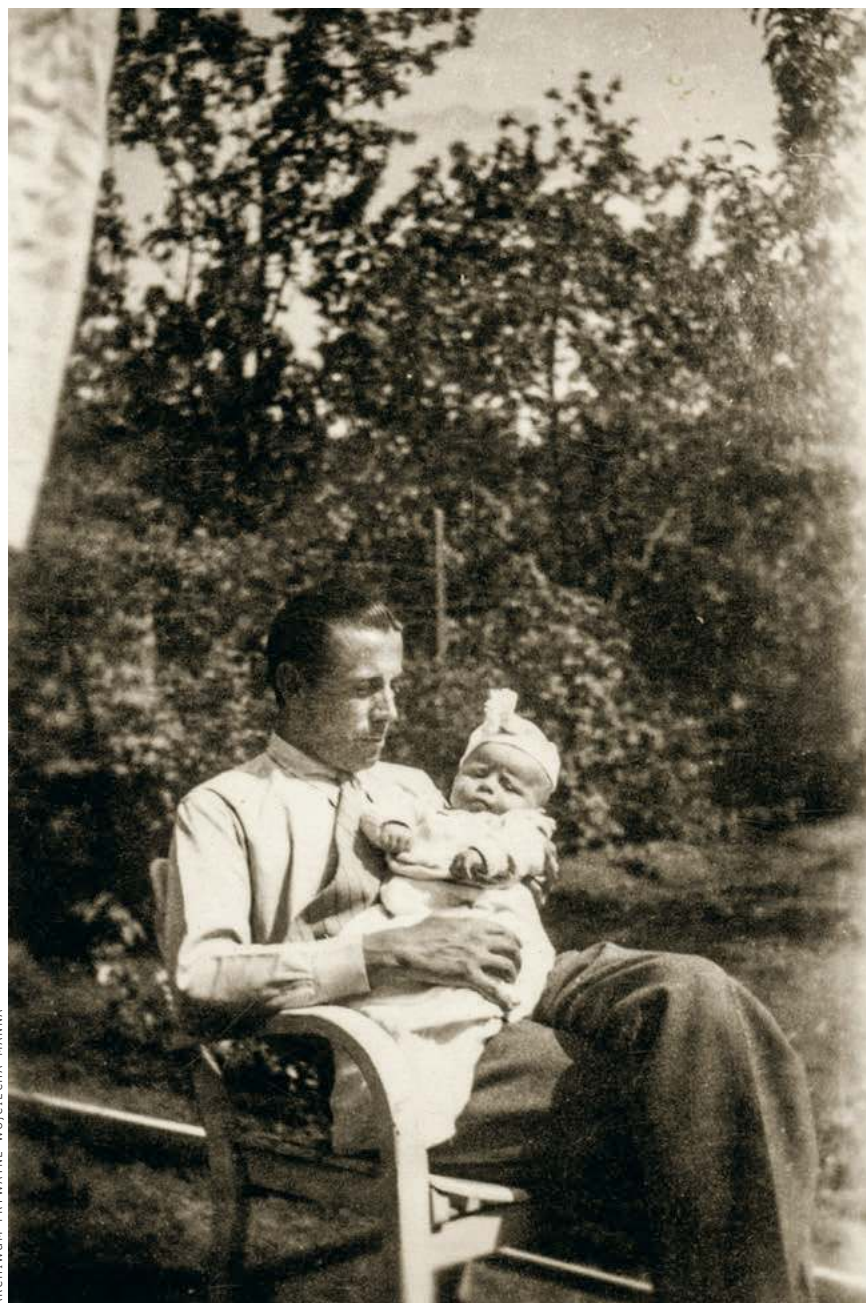
Wiesz, ale w sumie muszę powiedzieć, że swojego ojca znałem mało.

Jak to?

Kiedy kilka lat temu pisałem o nim książkę „Artysta. Opowieść o moim ojcu”, wygrzebywałem z zakamarków pamięci każdy najmniejszy, najdalszy i nieistotny pyłek. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, jak mało o nim wiedziałem. Kiedy żył, wszystko było oczywiste. Do tego dochodziła beztroska gówniara przekonanego, że czas nie ma granic, myślącego: „Ciekawe, jak to było, gdy ojciec przed wojną studiował w Wiedniu w Kunstgewerbeschule, kim byli jego koledzy, kto go uczył, co robił po zajęciach, gdzie mieszkał i jak się bawił... No ale ojciec gdzieś wyszedł, to jutro go o to zapytam...”. A jutro zamieniało się w nigdy. Takie rzeczy przepadły, są nie do odzyskania. Gdy pierwszy raz pojechałem do Wiednia i stanąłem pod imponującym budynkiem Kunstgewerbeschule, to silnemu wrażeniu architektonicznemu nie towarzyszył żaden, ale to żaden obraz. Z ojca nie udało mi się wycisnąć na ten temat ani pół słówka. Jedyna rzecz, którą miałem jako pamiątkę i mam do dzisiaj, jest jego dyplom z nadzwyczajnymi ocenami.

Był z innej epoki?

zupełnie. On się wziął ze Lwowa, urodził się w 1910 r. Był już więc na świecie, kiedy wybuchła pierwsza wojna światowa.



ARCHIWUM PRYWATNE WOJCIECHA MANNA

towa. A ta druga zabrała mu miasto, majątek, dostatnie życie. Potem ojciec ugrzązł w komunizmie, niestety nie dożył roku 1989. Zastanawiam się nad tym, jak by patrzył na ten świat, który był już moim światem, i mnie w nim. On był kompletnie inny od ojców większości moich kolegów.

Czyli?

Widziałem ojców bijących, ojców pijących, ojców wymagających. A mój ojciec nigdy nie podniósł na mnie ręki. I w ogóle mi zaufał.

Wiem, że może być w takich relacjach inaczej. Mam bliskiego znajomego, którego ojciec nie był lumpem, pijakiem, bezrobotnym, ale był ojcem, który walił syna sznurem od żelazka. Spuszczał mu manto regularnie. Znajomy cieszył się, jak tydzień upłynął bez bicia. On swojego ojca nie znosił, dlatego uciekł jak najszybciej i jak najdalej z rodzinnego domu. Lecz kiedy jego ojciec zapadł na zdrowiu poważnie, opiekował się nim, choć niechętnie, bo go dalej nie lubił. Ale próbował go ratować: woził do lekarzy, płacił za opiekę i lekarstwa. Więc to są

→ rzeczy, których ja po pierwsze nie doświadczyłem, a po drugie nie wiem, jaki wtedy w głowie tworzy się układ z takim rodzicem.

Chyba to układ determinujący sporą część życia.

A mój ojciec był życzliwy. Wynajmował cudowną pracownię dwa piętra wyżej nad mieszkaniem. Więc istniał w moim życiu w taki najbardziej zwykły sposób: poprzez obcowanie.

Ty też byłeś ojcem obecnym w życiu Marcina?

Na pewno nie uciekałem z domu, tylko szedłem tam, gdzie trzeba było coś zrobić. Kiedy nie trzeba było, to nie szlajałem się po mieście ze znajomymi, przeciwnie: wracałem do Ewy i Marcina. Co mi zresztą zostało: jestem człowiekiem domowym.

Ale książkowe relacje ojciec–syn w dużej mierze nas ominęły, nie dotyczą mnie te lukrowane anegdoty, że nauczyłem syna grać w piłkę, łowić ryby, zbijać stołki. Zresztą mój ojciec też mnie tego wszystkiego nie nauczył.

Naprawdę niczego syna nie nauczyłeś?

Uczyłem go jeździć samochodem. I skończyło się to tak, że po pewnym czasie Marcin krytykował moje jeżdżenie, mówił, że jestem beznadziejnym kierowcą. Graliśmy też w niektóre gry komputerowe. Sam byłem zdumiony, że wchodziłem w ten świat i nawet próbowałem z synem rywalizować. Oczywiście dość szybko mnie nużyły karabiny maszynowe i zabijanie potworów. Ale ciekawiły mnie gry logiczne, te na myślenie. I to był faktycznie, tak jak mówią Anglicy: „quality time”. Wspólny nasz świat, do którego jego mama, a moja żona nie miała dostępu. Choć muszę ciągle sobie przypominać: Marcin nie ma 14 lat, tylko 33!”. Zagryzam zęby i powstrzymuję się od rad cioci Kłoci.

Czyli jakich?

Np. by zachować z ludźmi standardy form komunikacji. Marcin potrafi być czupurny i pyskаты. A ja jestem zwolennikiem dyplomacji, można trochę grzeczniej, to nie przynosi ujmy. Kiedy mówię to wszystkim, nie opuszcza mnie myśl, jak ja dalece Marcina nie znam.



Z synem Marcinem, czerwiec 2024 r.

To samo powiedziałeś o swoim ojcu.

Jest we mnie odruch zachłanności, chcę wiedzieć jak najwięcej, co w nim, skoro to moje dziecko. Mało tego: jedyne dziecko. Tu nie chodzi o kontrolę, tylko o zrozumienie. Może Marcin jest bardzo w sobie zamknięty?

Ja też nigdy nie byłem ekstrawertykiem i moi rodzice do wielu obszarów w moim życiu nie mieli dostępu. Mnie jednak chodzi o coś kluczowego: próbę dotarcia do prawdziwości. Zdarzyło się parę sytuacji, kiedy zostaliśmy sam na sam, a gwiazdy i planety tak się ułożyły,

że Marcin rozmawiał ze mną bardziej szczerze niż zazwyczaj. Treści tych rozmów wrzuciłem do zaufanej skrzynki dostępnej wyłącznie dla nas. Ale mam nieustanne obawy, by czegoś nie przegapić. To pesymistyczna strona mojej osobowości.

Rodzicielska strona?

Ale ona chyba nie jest wspólna dla wszystkich rodziców. Znam takich, którzy potrafią absolutnie obojętnie przechodzić koło dziecka z jego kłopotami. Widziałem też wkoło siebie relacje ro-

dzice–dzieci, które, moim zdaniem, są oszukane. Począwszy od tego, że sztucznie tworzą partnerstwo, poprzez zwracanie się do siebie po imieniu, że niby rodzic taki nowoczesny i w porządku. Dziwnie bym się czuł, gdyby Marcin witał się ze mną: „Cześć, Wojtek!”.

Albo materialne kłajstrowanie szwankujących relacji: córeczka jest smutna, więc przeleję jej na konto parę groszy, zamiast zapytać, co wywołało jej nastrój. W tej sytuacji pieniądze mają załatwić intymny kontakt – porozumienie, opowiedzenie sobie istotnych, choć nieraz bolesnych rzeczy. Sam bynajmniej nie należę do ojców, którzy wyliczają każdą złotówkę. Mógłbym postępować według wzoru Stinga, który od razu powiedział, że dzieciom nic nie da, bo muszą same się dorożyć. To nie jest mój system.

A jaki jest?

Kiedy mnie zabraknie, to jeśli po mnie zostanie jakakolwiek wartość materialna czy niematerialna, syn będzie prawowitym dziedzicem.

Być może to niewychowawcze i powiniennem Marcina utrzymywać w przekonaniu, że on nie ma nic i jak powiem „dobranoc” na zawsze, to zapiszę wszystko na jakieś zacne cele, a on może pożegnać się z nadzieją na spadek. Może coś takiego inaczej by Marcina ukształtowało? Tyle że do głowy coś takiego mi nie przychodzi. Natomiast będzie mi smutno, kiedy

Jeśli czegoś w życiu żałuję,
to tego, że nie mam
więcej dzieci. Zapewne
bym je rozpieszczał do
nieprzytomności. Za to zresztą
zbieram bęcki od żony:

**że jestem taki kwokowaty
i nadopiekuńczy.**

popatrzę z nieba i zobaczę, że Marcin
wszystko roztrwonil.

**Zostałeś ojcem w wieku 43 lat.
Dostrzegasz zalety późnego rodzi-
cielstwa?**
Żadnych.

Nie no, proszę!

To dla mnie zagadka: z jednej strony rozumiem ludzi, a nawet moich kolegów, którzy po różnych życiowych zakrętach, w bardzo dostojnym wieku nagle mają małe dziecko. Wiem, jaka to jest ogromna radość. Z drugiej strony czułbym potworny smutek, że nie zobaczę dziecka dorastającego i dorosłego. Jeśli czegoś w życiu żałuję, to tego, że nie mam wię-

cej dzieci. Zapewne bym je rozpieszczał do nieprzytomności. Za to zresztą zbieram bęcki od żony: że jestem taki kwokowaty, nadopiekuńczy... Ale ja nie mam zamiaru siebie przestawić w myśleniu. Chętnie przeczytałbym wywiad z Marcinem, w którym on postara się być szczery i powie, jak widzi naszą relację.

Przechowujesz dziecięce prezenty od Marcina?

W pracowni wyciął dla mnie z papieru. A na ścianie wiszą jego rysunki. Mam i inne drobne upominki od syna, które uruchamiają moją niemąską stronę, czyli mnie wzruszają.

Widzisz w sobie swojego ojca?

Widzę dystans do wielu rzeczy, co niektórych doprowadza do furii. Nie mam pojęcia, czy ojciec mi to przekazał bezpośrednio, czy ja się nauczyłem od niego, by nie dostawać drgawek na punkcie głównianych wydarzeń. A czy ja widzę siebie w Marcinie? Widzę jego miłość do muzyki i z tego jestem niebywale dumny. Kilka dni temu byliśmy razem na koncercie jazzowego zespołu EABS – Marcin od początku do końca zorganizował to wspólne wyjście. Było więc fantastyczne granie i dzielona radość z tego, co nas łączy w relacji ojcowsko-synowskiej.

© Rozmawiała

KATARZYNA KUBISIOWSKA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiar: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabiń, Krzysztof Story, Piotr Śmitowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska

Fotoredakcja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Klaudia Bień, Katarzyna Domin, Sylwia Frotow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Marzena Cora, Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Lubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszałka, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Róbiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Zumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Plachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



S-NET
GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

TEOLOGIA NA NIBY

Słynna prowokacja profesora AGH
z publikowaniem udawanych artykułów
obnażyła przy okazji mizериę polskiej teologii.

ARTUR SPORNIAK

ECH, ŻE MY TEGO WCZEŚNIEJ NIE ZAUWAŻYLIŚMY” – westchnęli autorzy fanpage’u Instytut Teologiczny im. Pustynnego Demona, tropiącego absurdu w „polskich journalach około-teologicznych”, jak się sami przedstawiają. 23 maja zorientowali się, że natrafili na kilka artykułów będących grubymi nićmi szytą mistyfikacją. W pierwszej chwili sądzili, że chodzi po prostu o wyjątkowo mierne publikacje – kolejne z licznych, które zdążyli nagłośnić od chwili założenia strony w 2021 r. Wystarczyło jednak sprawdzić naukową bibliografię autora, by wszystko stało się jasne. „Polski profesor z AGH, Konrad Szaciłowski, od kilku lat publikuje dziwne artykuły o teologii wraz z nieistniejącymi obcokrajowcami, w polskich czasopismach. Celem jest oczywiście wyśmianie polskiego systemu punktowego i realności recenzji” – brzmiał werdykt autorów fanpage’u.

Konrad Szaciłowski jest chemikiem, ma 53 lata, specjalizuje się w elektronice molekularnej. Pracuje w Akademickim Centrum Materiałów i Nanotechnologii AGH. Jego naukowa bibliografia obejmuje blisko 200 specjalistycznych artykułów. Wśród nich znajdują się opublikowane w zeszłym i bieżącym roku cztery pozycje poświęcone tematyce religijnej.

Dwie z nich wydrukowały polskie pisma teologiczne.

Papieskie zapalki

Największą furorę w mediach zrobił artykuł „Filumenistyczne hobby

Jana Pawła II” opublikowany we „Wschodnim Roczniku Humanistycznym” wydawanym w Lublinie przez niezależne Towarzystwo Nauki i Kultury „Libra”. Informacje o rzekomej nieznanej dotychczas pasji Wojtyły – zbierania zapalek – zdobył według tekstu w turkmeńskich archiwach KGB wymyślony przez Szaciłowskiego współautor, turkmeński muzykolog i fizyk Kapela Pilaka.

Pytaniem „Czy teologia jest nauką eksperymentalną?” Szaciłowski (także wspólnie z Pilaką) zajmuje się z kolei w rumuńskim periodyku „European Journal of Science and Theology”. Trzeci tekst obu „autorów” opublikowało wydawane przez uczelnię o. Tadeusza Rydzkiego „Fides, Ratio et Patria. Studia Toruńskie”. Traktuje on o „Roli katolickich rozgłośni radiowych w kształtowaniu postaw moralnych młodzieży”. Czwarty artykuł „God’s Omnipotence Versus the Pauli Principle” (Wszechmoc Boga a zasada Pauliego) ukazał się w „Rocznikach Teologii Katolickiej” wydawanych przez Katedrę Teologii Katolickiej Uniwersytetu w Białymstoku.

Czarnek demoluje

– Przede wszystkim chodziło mi o pokazanie całkowitej dysfunkcji systemu punktowego oceny pracowników naukowych – wyjaśnia „Tygodnikowi” prof. Szaciłowski. – Ofiarą mojej prowokacji padły pisma teologiczne, ale nie tylko one były na celowniku – zastrzegam. Wysłałem w sumie kilkanaście artykułów, m.in. do pism prawniczych, huma-

nistycznych, a także chemicznych. Przyuczyny odrzucenia były różne: zbyt długi tekst, niezgodność z tematyką aktualnego numeru... W jednym przypadku redakcja zorientowała się, że to jakaś prowokacja.

System punktowy polega na tym, że Ministerstwo Nauki przedstawia listę naukowych periodyków, za publikację w których autorzy otrzymują punkty. Najniższe punktowane (20 punktów) są pisma nieprzedstawiające wysokiej wartości naukowej. Najwyżej (200 punktów) – te najbardziej prestiżowe. Co cztery lata naukowiec musi zebrać wyznaczoną przez swoją uczelnię liczbę punktów. Jeśli przez dłuższy czas nie wypełni tego warunku, może nawet stracić pracę. W założeniu ma to mobilizować naukowców do twórczej pracy.

Minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek zdemolował ten system ewaluacji, przyznając wysoką punktację



JAKUB ORZECZOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



Studenci i pracownicy Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego podczas uroczystości 100-lecia uczelni, Lublin, grudzień 2018 r.

niewiele naukowo znaczącym pismom niszowym. Pismo, które opublikowało opis filumenistycznego hobby Jana Pawła II, otrzymało 100 punktów (obecnie punktacja została obniżona do 70). Czasopismu o Rydzyka min. Czarnek przyznał 140 punktów (dziś ma ono 70), a białostockiemu rocznikowi – 200. Redakcja na stronie internetowej do teraz się tym chwali, mimo że punktacja zmalała do 40.

Prowokacja

Fikcyjne teksty naukowe powstawały w lipcu i sierpniu ubiegłego roku. Plan był taki, by prowokację zakończyć krótkim komunikatem opublikowanym w jakimś bibliometrycznym czasopiśmie, pokazując na tych przykładach, jak bardzo system nie działa. Pokrzyżował go Instytut Pustynnego Demona swoim przedwczesnym odkryciem.

Prof. Szaciłowski przyznaje, że zainspirowała go przypadkowa lektura tekstu ze „Wschodniego Rocznika Humanistycznego”, podejmującego pytanie, czy Karol Wojtyła w młodości grywał w szachy. – Pomyślałem, że równie dobrze można podywagować na temat hobby zbierania zapalek. Oba teksty są równie „naukowe”. Ku mojemu przerażeniu, artykuł został pozytywnie zaopiniowany przez historyków – opowiada o początkach prowokacji.

Naukowiec z AGH nie chce powiedzieć, czy do preparowania tekstów używał sztucznej inteligencji ChatGPT. – Korzystałem z różnych narzędzi wspomagających pisanie. Tajemnicy kuchni jednak nie będę zdradzał. W teksty wkomponowałem też fragmenty przysyłane mi przez moich współpracowników. To była praca zbiorowa. Inni jednak nie chcieli występować pod nazwiskiem. Wszystko

więc, co nie było mojego autorstwa, poszło na konto kolegi z Turkmenistanu.

Dane wysane z palca

Przyjrzyjmy się bliżej dwóm tekstom z teologicznych czasopism.

Artykuł „Rola katolickich rozgłośni radiowych w kształtowaniu postaw moralnych młodzieży” został spreparowany w taki sposób, by opisywana rzeczywistość odpowiadała pragnieniom ludzi zaangażowanych w media ojca Rydzyka. Badana młodzież najchętniej słucha Radia Maryja i bardzo korzystnie wpływa ono na jej postawy moralne. W artykule nie znajdziemy jednak opisu metodologii badań. Nie ma podanej wielkości próby ani opisu, jak ją dobierano. Powiedziane jest tylko ogólnie, że wylosowano kilka parafii. Nie dowiemy się, jak wyglądał kwestionariusz i jakie zadawano pytania sprawdzające prawdziwość odpowiedzi. →

→ Jeśli to nie wzbudziło podejrzliwości recenzentów, wśród których jest kilku profesorów z Zespołu Wspierania Radia Maryja w Służbie Bogu, Kościołowi, Ojczyźnie i Narodowi Polskiemu (nazwa autentyczna), to sprawdzenie pierwszej pozycji bibliografii łatwo zdyskwalifikowałoby cały artykuł. Czytamy: „Ballesteros C. R., The role of Catholic media in the formation of moral conscience among young people, »Journal of Catholic Education« 2016, nr 20(2), 31-51”. Recenzenta powinien zainteresować tytuł tej pozycji, który jest właściwie angielską kalką tytułu artykułu prof. Szaciłowskiego. Aż się prosiło, by sprawdzić, czy nie mamy do czynienia z plagiatem. Gdyby recenzent to zrobił, zorientowałby się, że w wydawanym przez jezuicki uniwersytet w Kalifornii „Journal of Catholic Education” nie ma takiego artykułu, choć C. R. Ballesteros istnieje – jest hiszpańskim klimatologiem.

Chemik z AGH potwierdził, że dane ankietowe były wyssane z palca.

Najlepsza recenzja

O wiele bardziej intrygująco brzmi tytuł drugiego tekstu, który prof. Szaciłowskiemu udało się opublikować w czasopiśmie „Roczniki Teologii Katolickiej”: „Wszechmoc Boga a zasada Pauliego. Filozoficzne i naukowe dochodzenie w sprawie granic boskiej mocy i podstawowej natury rzeczywistości. Część 1”. Zasada (albo zakaz) Pauliego określa zachowanie elektronów na poziomie subatomowym. Co ma wspólnego to empiryczne prawo z wszechmocą Bożą? Z opublikowanej pierwszej części artykułu się tego nie dowiemy. Zgrabnie opisuje ona, na czym polega zasada Pauliego i przedstawia zwięzłą historię teologicznej refleksji na temat Bożej wszechmocy – w tym paradoksów, jakie ten Boży przymiot rodzi. Rzuca się w oczy brak przypisów, co jest ryzykowne zwłaszcza dla wywodów poruszających się po interdyscyplinarnym terenie.

Poprosiłem profesora Szaciłowskiego o udostępnienie części drugiej, którą „Roczniki” zamierzały opublikować w przyszłym roku. I prawdę mówiąc, dalej się nie dowiedziałem, co zasada Pauliego wnosi do rozumienia Bożej wszechmocy, poza banalną konstatacją, że ujawnia ograniczenia na najbardziej podstawowym poziomie przyrody, a Boża wszechmoc też nie może być absolutna



Konrad Szaciłowski, 10 maja 2024 r.

– ogranicza ją choćby logika, na co wskazują paradoksy takie jak słynne pytanie, czy byt wszechmogący mógłby stworzyć kamień tak ciężki, że nawet on sam nie mógłby go podnieść.

W tekście pojawiają się zdania pozornie niosące jakąś informację, np.: „Zasadę wykluczenia Pauliego, jako zasadę sfery fizycznej, można postrzegać jako wyraz immanencji Boga – obecności boskich atrybutów w świecie przyrody”. Problem w tym, że wszelkie prawa i zachodzące w przyrodzie procesy można postrzegać jako wyraz immanencji Boga.

Prof. Szaciłowski przyznaje, że artykuł otrzymał długą recenzję. – I co ciekawe, jest to najlepsza recenzja, jaką w życiu dostałem.

Stan teologii

O znaczeniu prowokacji Szaciłowskiego ks. Andrzej Draguła, profesor Uniwersytetu Szczecińskiego, napisał: „I to jest – co tu dużo mówić – hańbiące. Nie, to nie dyskwalifikuje teologii jako takiej. I nie tylko ośmiesza punktozę. To się kładzie cieniem na środowisku teologów. To kwestionuje nasze naukowe kompetencje, recenzencką rzetelność, środowiskową uczciwość”.

I czerwca, czyli w czasie, gdy afera z udawanymi tekstami wzbudzała największe medialne zainteresowanie, ukazała się rozmowa KAI z szefem Komisji Nauki Wiary polskiego Episkopatu, abp. Stanisławem Budzikiem. Pretekstem był przygotowany przez komisję dokument dotyczący kryteriów uznawania ruchów

religijnych za katolickie, ale tematem stała się też polska teologia.

Niestety, nie padło pytanie dotyczące kompromitacji teologicznych czasopism. A gorzkie wnioski z afery wskazane przez ks. Dragułę kontrastują z zadowoleniem abp. Budzika ze stanu teologii w Polsce. Wyróżnia się ona „wśród innych krajów wiernością wobec depozytu wiary i szacunkiem wobec Urzędu Nauczycielskiego Kościoła” – mówi z aprobatą hierarcha. Chwali się także kompetencjami konsultorów komisji: „Wśród nich mamy wybitnych specjalistów z różnych dziedzin teologii” i wymienia nazwiska 15 księży wraz z ich uczelnianymi afiliacjami. I znów szkoda, że nie padło pytanie: a gdzie w tym gronie są świeccy, zwłaszcza kobiety? Czy wśród nich nie ma wybitnych specjalistek i specjalistów?

Klub męski

Klerykalizacja to jedna z chorób od zarażenia toczących polską teologię. Wydziały teologiczne trzech katolickich uniwersytetów (UPJPII, KUL i UKSW), sześciu świeckich uczelni (w Poznaniu, Szczecinie, Katowicach, Opolu, Toruniu i Olsztynie), Akademii Katolickiej w Warszawie i Papieskiego Wydziału Teologicznego we Wrocławiu zmonopolizowane są przez duchownych. Jeśli już kobiety parają się teologią w Polsce, to zajmują się głównie naukami o rodzinie i katechetyką, rzadziej biblistyką.

Natomiast jeśli chodzi o „twardą” teologię, czyli dogmatykę, odnaleźć można tylko dwie teolożki zajmujące się nią zawodowo oraz jedną, w której dorobku znajdują się prace poświęcone teologii feministycznej. Pracująca na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Śląskiego dr hab. Anna Woźnica doktorat poświęciła jednej z głównych teolożek feministycznych – Amerykance Elizabeth Johnson. „Wydaje się, że to właśnie biskupi, a nie Johnson, przekraczają ramy ortodoksji” – pisała w 2015 r. w artykule poświęconym sporowi Johnson z biskupami USA o pogłębione rozumienie Boga.

Zajęcia z teologii dogmatycznej na UKSW w Warszawie prowadzi dr hab. Izabella Smentek. Zaś dr hab. Katarzyna Parzych-Blakiewicz nie tylko wykłada teologię dogmatyczną (traktat o stworzeniu oraz sakramentologię), jest także kierownikiem Katedry Teologii Fundamentalnej, Dogmatycznej i Nauk

Biblijnych Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, w której kieruje pracą naukową m.in. czterech księży. Ale to absolutny wyjątek w polskim Kościele.

Ta dysproporcja najlepiej jest widoczna w Towarzystwie Teologów Dogmatyków. Na 147 zwyczajnych członków jest ośmiu świeckich mężczyzn i dziesięć kobiet, w tym dwie zakonnice. Wygląda na to, że aby zostać honorowym członkiem tego szacownego gremium, trzeba mieć święcenia – najlepiej biskupie. Takim członkostwem uhonorowano 2 arcybiskupów, 6 biskupów, 10 księży i 2 zakonników. To męski (a właściwie kapłański) klub.

Skazani na margines

W latach 90. XX w. ukazała się w „Więzi” sześciotomowa „Dogmatyka” w nowoczesnym ujęciu. W grupie autorów znalazło się troje świeckich teologów. Warto prześledzić ich losy.

Józef Majewski jest autorem „Wprowadzenia do teologii dogmatycznej”. Początkowo uczył teologii w kilku kościelnych instytucjach w Trójmieście. Musiał jednak ustąpić miejsca księżom. Dziś jest kierownikiem Zakładu Komunikacji Kulturowej i Aksjologii Dziennikarstwa Uniwersytetu Gdańskiego.

Zbigniew Danielewicz napisał „Traktat o rzeczywistości ostatecznej”. Obecnie jest profesorem w Katedrze Studiów Europejskich Politechniki Koszalińskiej.

Elżbieta Adamiak – autorka „Traktatu o Maryi” – była pierwszą teolożką w Polsce, która doktoryzowała się z teologii feministycznej. Odradzono jej jednak robienie habilitacji z tego zakresu. Została zatrudniona na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Adama Mickiewicza. Kolegom księżom bardzo nie odpowiadało jednak, że zaangażowała się w studia genderowe (to był czas rozpetanego przez episkopat antygenderowego szaleństwa). Od 2016 r. jest profesorką teologii na niemieckim Uniwersytecie w Koblencji-Landau.

– Dziś żałuję, że tak łatwo godziliśmy się na ustępstwa i np. zmienialiśmy tematy prac, bo wybrane przez nas nie pasowały temu czy tamtemu księdzu. Ale mieliśmy wdrukowane w głowy „posłuszeństwo Kościołowi” – mówi Józef Majewski.

Przejdą do historii

Nawet przy ogólnej teologicznej mizerni zdarzają się w Polsce samorodne zjawiska

wybitne. Takim wydarzeniem jest książka ks. Eligiusza Piotrowskiego „Początki wiary w zmartwychwstanie Jezusa”, wydana w 2022 r. Kilka lat pracy zaowocowało przebadaniem na blisko 900 stronach wypowiedzi na temat zmartwychwstania wszystkich teologów od początku krytycznego podejścia do Biblii, czyli poczynając od XVIII w. „Teolog ks. Eligiusz Piotrowski (...) pokazał, na czym polega poważna praca nad biblijnym tekstem” – pisał na tych łamach ks. Adam Boniecki.

Ks. Piotrowski blisko dwa lata temu przedstawił swoją książkę w przewodzie habilitacyjnym. Do dzisiaj czeka na rozstrzygnięcie, mimo że recenzenci na wydanie opinii mają trzy miesiące. Najwyraźniej to teologiczne osiągnięcie przerosło księży zaangażowanych w komisję habilitacyjną. Książka o zmartwychwstaniu na pewno przejdzie do historii teologii jako zupełnie wyjątkowe dzieło. Duchowni blokujący w Polsce jej naukowe uznanie nie zdają sobie prawdopodobnie sprawy, że oni także przejdą do historii teologii, ale jako jej negatywni bohaterowie.

Układ zamknięty

Gdy słucha się krytycznych uwag młodego pokolenia świeckich teologów, można odnieść wrażenie, że mówią to samo, co „dzieci soboru” 30 lat temu. W ciągu tych dekad nic się w polskim środowisku teologicznym nie zmieniło. Blokowanie stanowisk uniwersyteckich przez księży, mizeria badań teologicznych, zniechęcanie do teologii feministycznej, wszechobecny lęk o „zgodność z doktryną”.

„Studenci przez pięć lat niemal w ogóle nie są uczeni samodzielnej pracy naukowej, krytycznego myślenia, przeprowadzania kwerend, pisanie tekstów naukowych. Słowem, student w ramach samych studiów teologicznych nie uzyskuje żadnego warsztatu ani przygotowania metodologicznego do pracy naukowej” – pisze na łamach „Magazynu Kontakt” Piotr Popiołek, teolog, świecki członek zwyczajny Towarzystwa Teologów Dogmatyków. Wydziały teologiczne nazywa szkołami zawodowymi przygotowującymi do prowadzenia katechezy. Zarzuca kościelnym władzom uczelnianym, że nie organizują otwartych konkursów na pracowników akademickich, a formalnie wymagana ewaluacja do robku naukowego pozostaje fikcją.

Nie jest trudno wskazać mechanizmy, które za tym stoją. Odpowiedzialny za nauczanie teologii jest biskup – on wydaje tzw. misje kanoniczne. Biskupowi nie zależy na rozwoju teologii, bo wiąże się on z ryzykiem – jak w każdej nauce, motorem rozwoju jest stawianie ryzykownych hipotez. Dlatego najważniejszym kryterium polskiego teologa jest (patrz wyżej!) „wierność wobec depozytu wiary i szacunek wobec Urzędu Nauczycielskiego Kościoła”. Najłatwiej taką wierność wyegzkwowować od pracowników całkowicie życiowo uzależnionych, czyli księży. Poza tym, aby zostać biskupem, trzeba mieć doktorat – łatwiej zostać biskupem, gdy wymagania nie są zbyt duże... Słowem: układ zamknięty.

Skutki prowokacji

Po kompromitacji z zapalczanym hobby Jana Pawła II redaktor naczelny „Wschodniego Rocznika Humanistycznego” oddał się do dyspozycji zarządu towarzystwa wydającego pismo. Pisma katolickie zareagowały skromniej.

Przez kilka dni na stronie czasopisma „Fides, Ratio et Patria. Studia Toruńskie” wisiała enigmatyczna informacja: „Z powodu faktu fałszerstwa mającego związek ze współautorstwem artykułu »Rola katolickich rozgłośni radiowych w kształtowaniu postaw moralnych młodzieży« redakcja czasopisma postanowiła wycofać artykuł z wersji online”. Czytelnicy nie zostali przeproszeni.

Na stronie „Rocznika Teologii Katolickiej” pojawiła się informacja po angielsku, że artykuł o Bożej wszechmocy i zasadzie Pauliego został wycofany „ze względu na fałszywe oświadczenie o współautorstwie i naruszenie standardów etycznych publikacji”. Czyli nie z powodu pustej treści. Na zadane przez nas pytanie, dlaczego na stronie pisma wciąż wisi informacja: „»Rocznik Teologii Katolickiej« uzyskał najwyższą notę 200 punktów na liście Ministerstwa Oświaty i Nauki”, skoro na aktualnej liście periodyk ma jedynie 40 punktów, do tej pory nie uzyskaliśmy odpowiedzi, natomiast po wyrażeniu „200 punktów” pojawił się nawias z rokiem 2023.

Ostatnio stronę Instytutu Teologicznego im. Pustynnego Demona polubiło bardzo wiele osób, m.in. Sebastian Duda – świecki teolog, i Kalina Wojciechowska – biblistka.

©© ARTUR SPORNIAK



Papież Franciszek wśród przywódców innych Kościołów podczas modlitwy ekumenicznej w przeddzień synodu o synodalności, Watykan, 30 września 2023 r.

Czy papież musi być pierwszy

PIOTR SIKORA

Czy da się myśleć o papieżu inaczej niż w kategoriach władzy i nieomylności? Nowy dokument watykański przynosi niebanalne i śmiałe propozycje przemyślenia na nowo prymatu.

KOŚCIÓŁ RZYMSKOKATOLICKI WŁĄCZYŁ się w ruch ekumeniczny po Soborze Watykańskim II. Szybko okazało się, że jedną z kwestii, które najbardziej przeszkadzają jedności chrześcijan, jest prymat papieża. A przecież ów prymat miał – taka była pierwotna idea! – służyć jedności Kościoła.

Papieskie pytanie, ekumeniczna odpowiedź

Dlatego w ruchu ekumenicznym szeregiem echem odbiła się w 1995 r. wypowiedź Jana Pawła II z encykliki „Ut unum

sint”, gdzie wzywał do wspólnego poszukiwania „takich form sprawowania owego urzędu, w których możliwe będzie realizowanie uznawanej przez jednych i drugich posługi miłości”.

Odpowiedzi na to wezwanie – czyli pomysły, jak przeformułować rozumienie papieskiego prymatu i zmienić jego funkcjonowanie – nie były już tak szeroko znane. A padło ich sporo. Dlatego w 25-lecie encykliki watykańska Dykasteria ds. Jedności Chrześcijan postanowiła je zbierać i przemyśleć. W ostatni czwartek opublikowano rezultat tej pracy: do-

kument studyjny „Biskup Rzymu. Prymat i synodalność w dialogach ekumenicznych i odpowiedziach na »Ut unum sint«” oraz oparte na tym opracowaniu propozycje Dykasterii „W kierunku realizacji prymatu w XXI wieku”.

Te teksty należą do najciekawszych i najważniejszych dokumentów watykańskich ostatnich lat. Po pierwsze, zebranie w jednym miejscu istotnych wątków dyskusji toczonych na całym świecie pokazuje, że teologiczny namysł nad rolą papieża i jej uzasadnieniem może zawierać wiele inspirujących pomysłów. Np. badania biblijne pokazują, w jak różny sposób można interpretować fragmenty tradycyjnie używane w katolicyzmie w celu uzasadnienia papieskiego prymatu. Bardzo pouczające może być krytyczne poznawanie historii papiestwa w kontekście historii Kościoła i kultury, w której chrześcijanie byli zanurzeni i którą współtworzyli.

Ekumeniczny teologiczny namysł nad papiestwem zmusza też do przemyślenia relacji między tym, co wierzący odbierają jako działanie Boga, a kulturowymi uwarunkowaniami, w których owo boskie działanie się realizuje. Dyskusje międzywyznaniowe pokazują, iż tych dwóch wymiarów nie da się precyzyjnie od siebie oddzielić – w kwestii papieskiego prymatu jak w soczewce skupiają się z jednej strony głębokie duchowe potrzeby jedności między ludźmi i widzialnego tej jedności znaku, czy możliwości uzyskania pewności co do najważniejszych decyzji życiowych, a z drugiej – przyziemne pragnienie władzy i próby opanowania podległej sobie grupy za pomocą przepisów prawa i wymuszenia posłuszeństwa nawet w sferze przekonań.

Papiestwo jako współodpowiedzialność

W tym kontekście ciekawe są propozycje Dykasterii odnośnie do nadania nowego kształtu papiestwu w XXI wieku. Na ogólnym poziomie można powiedzieć, że przejmuje postulat jednej z grup ekumenicznych, by rozwijać dyskurs o papiestwie (w przypadku owej grupy mowa była o dyskursie nt. papieskiej nieomylności) nie w kategoriach prawa, obowiązku i posłuszeństwa (jak było najczęściej dotychczas), lecz obietnicy, zaufania i nadziei.

Na bardziej konkretnym poziomie ów postulat wiąże się z kolejnym: aby włą-

czyć pytanie o papieżstwo w szerszą kwestię – synodalności Kościoła na wszystkich jego poziomach. Nie chodzi bowiem ani tylko, ani przede wszystkim o to, czy biskup Rzymu powinien mieć jakiś zakres władzy nad przywódcami innych Kościołów (i jaki to powinien być zakres). Pierwszą kwestią jest taka zmiana funkcjonowania wewnątrz Kościoła rzymskokatolickiego (który jak dotąd władzę papieża uznaje), by wpływ na kształt życia i wiary wspólnoty mieli wszyscy wierzący.

Za takim ujęciem hierarchii zagadnień – uznaniem synodalności za bardziej podstawowe, a prymatu za możliwe do sensownego przepracowania tylko na tle tego pierwszego – kryje się bardzo ważne założenie: że sama zmiana języka – tj. zastąpienie kategorii władzy, obowiązku i posłuszeństwa przez bardziej ewangeliczne: służby, zaufania, nadziei – niewiele zmieni, jeśli papieżstwo nie będzie funkcjonowało w naprawę synodalnej strukturze Kościoła, w której działania są podejmowane wedle zasady pomocniczości: czyli to, co może być rozwiązane na niższym poziomie, jest rozwiązywane właśnie tam, przez ludzi bezpośrednio zaangażowanych. Odwołanie do wyższego poziomu następuje zaś tylko wtedy, gdy jest to konieczne.

Różne funkcje papieża

Teologiczne propozycje Dykasterii są niebanalne i śmiałe. Pierwszą z nich jest ponowna reinterpretacja dogmatów Soboru Watykańskiego I o prymacie i nieomylności papieża. Reinterpretacja taka miałaby się opierać na uwzględnieniu

zarówno bardzo specyficznych uwarunkowań polityczno-kulturowych tamtego Soboru (obradującego w latach 1869–1870), jak i na dalszym rozwoju kościelnego nauczania – zwłaszcza na dokumentach soboru następnego (Watykańskiego II). Miałaby jednak brać pod uwagę także wyniki późniejszego dialogu ekumenicznego. W konsekwencji dokument Dykasterii dopuszcza nawet przeformułowanie owych dogmatów.

Na poziomie kanonicznym – sugeruje Dykasteria – taka reinterpretacja mogłaby wiązać się z rozróżnieniem funkcji, jaką papież pełni w Kościele rzymskokatolickim jako biskup Rzymu i patriarcha Zachodu, a nieco inną rolę wobec Kościołów Wschodnich i pochodzących z Reformacji. Powyższy pomysł w dużym stopniu przypomina ideę powrotu do sposobu funkcjonowania Rzymu w pierwszym tysiącleciu chrześcijaństwa. Ważne w tym kontekście jest to, że autorzy dokumentu, doceniając pewne zalety tej idei, przestrzegają przed idealizowaniem tamtego czasu.

I choć oni sami nie piszą tego wprost, można łatwo dopowiedzieć, gdzie tkwi pułapka: w pierwszym tysiącleciu Kościół funkcjonował po pierwsze w ramach niezwykle zhierarchizowanego społeczeństwa, a po drugie był integralną częścią późnego Cesarstwa Rzymskiego. Relacje pomiędzy rozmaitymi stolicami biskupimi wyznaczone były w dużej mierze przez wewnętrzną imperialną strukturę. Dziś struktury tej już nie ma, podobnie jak nie ma tamtej hierarchii społecznej.

Koniec monolitu

Jeśli weźmiemy pod uwagę współczesny kontekst kulturowy, trzeba więc docenić ścisłe powiązanie przez Dykasterię kwestii papieskiego prymatu ze zmianą funkcjonowania Kościoła – w kierunku coraz większej synodalności. Można bowiem zaryzykować stwierdzenie, że wobec postępujących procesów sekularyzacyjnych i ogromnego kryzysu autorytetu kościelnej instytucji nie ma sensu podejmować kwestii papieskiego prymatu jako pytania o podział władzy pomiędzy rozmaitymi biskupami (i innymi kościelnymi zwierzchnikami). Ta kwestia obchodzi coraz mniejszą grupę osób.

Znacznie ważniejsze jest to, czy ludzie wierzący będą odnajdywać się w kościelnych wspólnotach jako miejscach, w których są słuchani i o których kształcie mogą współdecydować. Tylko wówczas będą angażować się w życie Kościoła. Relacje międzywyznaniowe będą zyskiwać na znaczeniu, bowiem rozwój środków komunikacji sprawia, że żadna wspólnota nie pozostaje w izolacji od innych.

W tym kontekście być może najciekawszą myślą w dokumencie Dykasterii jest uznanie, że różnice w rozumieniu prymatu są nie tyle problemem, co okazją do głębszego namysłu nad naturą Kościoła. We współczesnej cywilizacji – jednocześnie pluralistycznej i połączonej gęstą siecią informacji – nie sposób uzyskać monolitycznej jednomyślności. Jeśli biskup Rzymu miałby pełnić rolę widzialnego symbolu jedności chrześcijan, musiałby zgodzić się, że jest symbolem jedności w różnorodności. ©P

Tygodnik na Festiwalu Kultury Żydowskiej

Zapraszamy na spotkanie „Biblia jako podręcznik mistyki”, podczas którego paneliści spróbują odpowiedzieć na pytanie: Kiedy Biblia pomaga, a kiedy przeszkadza w kontakcie z Bogiem?

Gośćmi spotkania będą stali autorzy „Tygodnika”:
rabinka Małgorzata Kordowicz i o. Wacław Oszejka SJ,
a całość poprowadzi redaktor **Artur Sporniak**, szef działu Wiara.

TYGODNIK
POWSZECHNY



FESTIWAL
KULTURY
ŻYDOWSKIEJ

30 czerwca, godzina 16.00

Kraków, ul. Józefa 36

Namiot Festiwalu Kultury Żydowskiej

Spotkanie będzie transmitowane na żywo na stronie
33.jewishfestival.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Sakrament niezrozumienia

RENATA RADŁOWSKA

Trzeba odwrócić kolejność: najpierw doświadczenie Boga żywego, potem bierzmowanie. Wtedy może się udać.

NIEKTÓRE ZAPISKI W ZESZYCIE KOŃCZĄ się wykrzyknikiem. Są też takie, które Emilia podkreśliła na czerwono.

Na przykład: do bierzmowania nie mogą przystąpić ci, „którzy nie chodzą do kościoła regularnie, którzy stosują używki, prowadzą niecnotliwy styl życia, wyśmiewają się z Boga i nie rozumieją wartości sakramentów, nie przyjmują Chrystusa, relacje z rówieśnikami przedkładają nad relacje z Bogiem, powątpiewają w istnienie Boga”.

Emilia (17 lat, mieszka w Krakowie): – Na pierwsze spotkanie dla osób przystępujących do bierzmowania przyszło nas 30. Potem zostało tylko 12 i w końcu 7. Nie zrezygnowali, ale uciekli. Rezygnacja zakłada jakąś wcześniejszą refleksję, a tutaj nie było nad czym się zastanawiać. Bo jeżeli ksiądz na dzień dobry mówi: ty źle wierzysz, ty nie umiesz kochać Boga, to po prostu spadasz. Co ten ksiądz w nas widział? Zapewne pomiot szatana. I jeszcze ten język! „Powątpiewać w istnienie Boga”. Zero dialogu, wkuwanie formułek, odpytywanie, czasem zawstydzanie. My do księdza, że w życiu ważna jest miłość, a on do nas, że oczywiście, miłość do Boga to podstawa.

Emilia zrezygnowała. Nikt pretensji nie miał. Rodzice byli w ogóle zdziwieni, że chciała przystąpić do bierzmowania. Wróciła rok później, ale w inne miejsce.

Biskup się nie ucieszy

Ksiądz Piotr (imię zmienione na jego prośbę) pracuje w jednej z parafii na Pomorzu. Przygotowuje do sakramentu bierzmowania. Co roku dzwoni do niego ktoś z kurii i pyta, ilu przystąpi. Zawsze jest tak samo: ksiądz, że tyle i tyle, a po drugiej stronie westchnienie, że gdyby było więcej, to ksiądz biskup „tak bardzo by się cieszył”.

Ks. Piotr: – Mój Kościół stał się buchaltem, przykro mi to mówić. Siedzi

w księgach parafialnych i rozkoszuje się liczbami. Ale to tylko papier, księga parafialna nie rejestruje zmian społecznych. Mój Kościół źle interpretuje pojęcie „powszechny” – słowo to nie oznacza przecież masowości. A masowość jest wciąż jakimś dogmatem. Czy mój Kościół rozumie współczesnego człowieka z jego kruchością i zagubieniem? Czy dociera do niego, że wiara jest sprawą intymną i indywidualną? Młody człowiek szuka i pyta. Tyle że Kościół nie umie do niego mówić jego językiem, co więcej – w ogóle nie wie, gdzie go znaleźć. I najważniejsze – autentyczność. Czy ksiądz, który na spotkaniach przed bierzmowaniem ogranicza się do klepania formułek, przekazuje radość z bycia we wspólnocie? Nie.

Kto wie, o co chodzi?

Co pamiętamy ze swojego bierzmowania? Był taki sakrament, Duch Święty na człowieka zstąpił, człowiek dostał jakieś dary, ktoś z rodziny był świadkiem. Gdy dobrze pogrzebiemy w pamięci, przypomnimy sobie, że „podczas bierzmowania na duszy ochrzczonego chrześcijanina zostaje odcisnięte niezatarte duchowe znamię”.

Ks. Piotr: – Niezatarte duchowe znamię... Kto wie, o co chodzi? Moi młodzi kompletnie nie, nawet nie używam tego określenia, bo to tak, jakbym opisywał świat językiem staro-cerkiewno-słowiańskim. Lepiej zacząć od słów „przyjaźń” i choć w sakramencie bierzmowania chodzi o coś więcej, to do piętnasto-, szesnastolatka nie trafią wielkie słowa ojców Kościoła, oni nie wiedzą przecież, kto to w ogóle był.

Po co człowiekowi sakrament bierzmowania? Nauka Kościoła da solidne odpowiedzi, problem w tym, że nie rozumieją ich nawet starsi.

Oczywiście są wyjątki, ale większość pamięta, że bez bierzmowania

nie można wziąć ślubu przed ołtarzem. Część młodych przystępuje więc do sakramentu bierzmowania, pytanie tylko, na ile świadomie.

Niekonieczne do zbawienia

Z danych zebranych przez Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego wynika, że z sakramentem bierzmowania nie jest w Polsce aż tak źle. W 2022 r. przystąpiło do niego 304,7 tys. osób, co może cieszyć, jeżeli porówna się dane z poprzednimi latami: rok 2021 – 265,6 tys., 2020 – 252,3 tys. Ale: w roku 2020 liczba osób bierzmowanych była niższa aż o 34 proc. w porównaniu z 2019 r. (grubo ponad 350 tys.). Być może na spadek liczby udzielonych sakramentów miała wpływ pandemia. Czy wzrost w ostatnich latach to trend? Niekoniecznie. W latach popandemicznych przy bierzmowaniu mogła nastąpić kumulacja roczników.

Kiedyś mówiło się, że bierzmowanie jest sakramentem pożegnania z Kościołem. Jak jest dziś?

Tomasz Terlikowski, publicysta, dziennikarz: – Tym sakramentem jest teraz Pierwsza Komunia. Do bierzmowania przystępują ludzie już mocno przesiani, którzy mają za sobą jakieś doświadczenie duchowe, co oczywiście nie oznacza, że ono przetrwa. Niestety, księża wciąż są przekonani, że tak. Moim zdaniem bierzmowanie nie będzie już sakramentem masowym.

Ks. Piotr: – Na każdym spotkaniu, a nazywam je „kawką u Boga” (wiem, że młodzi woleliby „browar u Boga”, ale jakoś się dogadujemy), dzieciaki pytają, czy przystąpienie do bierzmowania jest konieczne, żeby uzyskać zbawienie. Nie jest. I to jest to pierwsze sito – zostają ci, którym chodzi o coś więcej. O wtajemniczenie, wspólnotę, radość.

Chodzi o zadawanie pytań

Do sakramentu bierzmowania przystępują ósmoklasiści albo już licealiści (oczywiście są też i dorośli). Trudny wiek – zaczyna się bunt, obalanie autorytetów, kwestionowanie zdania rodziców, szukanie własnej drogi. To jest czas na projekt „ja”. Rodzice zazwyczaj niewiele mają już do powiedzenia w kwestii wiary.

Terlikowski: – Pierwsza Komunia stała się rytmem społecznym, to przecież wielka



PAWEŁ ULATOWSKI DLA „TP”

Bierzmowanie w parafii św. Jadwigi w Krakowie, marzec 2008 r.

rodzinna uroczystość, stroje, prezenty, przyjęcie. Bierzmowanie nigdy nie było takim rytmem, jest uroczystością o charakterze głównie religijnym. Dla części młodych zapewne mniej atrakcyjnym. Jak to zmienić? Powstają nowe modele przygotowania do bierzmowania.

Nowy model opiera się na dialogu i interakcji. Ksiądz słucha młodych. Organizuje wyjazdy, pikniki dla rodzin, zaprasza na nie zespoły muzyczne; jest loteria fantowa, chodzenie po górach i rozmowy o popkulturze. Na takie spotkania przychodzą też ci, którym księża w innych parafiach zapowiedzieli, że nie dopuszczą ich do bierzmowania (bo np. mają „za dużo negatywnej energii”).

Terlikowski mówi, że trzeba odwrócić kolejność: najpierw rozgrzanie serca, potem ewangelizacja i doświadczenie Boga żywego. Wtedy może się udać.

Emilia: – Zapisalam się na kursy do dominikanów w Krakowie. Chciałam tego Boga poczuć. Nie było łatwo, bo kursy są wymagające, uczą rozmawiania z samym sobą. I przede wszystkim myślenia, zadawania pytań.

Poczułam, że w Bogu jest sens

Krakowscy dominikanie zawiesili po przeczkę wysoko: „Celem przygotowania do bierzmowania jest stworzenie przestrzeni na coraz pełniejsze życie z Bogiem. Zawsze dzieje się to dwutorowo. Przede wszystkim jest to osobista

modlitwa. (...) Poza tym dzieje się to oczywiście na naszych spotkaniach, na których poruszamy przeróżne tematy dotyczące Boga, wiary, modlitwy, Pisma Świętego, Kościoła i rzecz jasna samego Ducha Świętego, który czasami wydaje się być całkowicie nieznany, a przecież jest nam bliższy niż jakikolwiek człowiek, którego znamy. (...) Najważniejszy wymóg stawiany każdemu kandydatowi to osobiste zaangażowanie. Kurs jest dwuletni, a spotkania odbywają się raz w tygodniu i trwają 1,5 h. Taka forma przygotowania jest bardzo intensywna, dlatego ważne jest, żeby potencjalny kandydat był szczerze przekonany, że chce się w to zaangażować” – można przeczytać na stronie internetowej.

Emilia: – Czy doznałam jakiegoś olśnienia, snop światła mnie spowił? Nie. Ale poczułam, że w Bogu jest sens.

Terlikowski: – Moja córka brała udział w kursach w jednej z warszawskich parafii. Najbardziej zdziwiło ją, że na każdym spotkaniu ksiądz narzekał na tych, którzy zrezygnowali. Ten stary model ma się dobrze w wielu parafiach, niestety.

Sprzeczne z wartościami chrześcijańskimi

Kościół bada młodych. Co o nich wie? Warto zajrzeć do dokumentu „Nowe drogi i kierunki formacji młodzieży w Polsce – propozycje Rady ds. Duszpasterstwa Młodzieży”. Powstał w polskim

Episkopacie na zlecenie Rady Konferencji Episkopatów Europy (CCEE).

„Polska jest krajem, w którym wyznanie rzymskokatolickie jest nadal dominujące. Jeszcze nie tak dawno można było mówić o kraju jednorodnie katolickim, gdzie każdy obywatel w mniejszym czy większym stopniu utożsamiał się z wiarą katolicką i Kościołem, a przekaz wiary następował naturalnie w rodzinach, z pokolenia na pokolenie. (...) Obecnie, zwłaszcza w ostatniej dekadzie, tendencje te wyraźnie się zmieniły. Coraz mniejsze znaczenie ma tradycyjny przekaz wiary w rodzinie, a wartością staje się wiara z wyboru. Widoczne są też tendencje do porzucenia praktykowania wiary przez znaczną część młodego pokolenia. Według najnowszych badań Centrum Badania Opinii Społecznej CBOS, ukazujących spadek poziomu deklaracji wiary oraz praktyki wiary w ciągu ostatnich 30 lat, od 1992 do 2021 r., największe zmiany dosięgły właśnie pokolenie młodych. W kategorii wiekowej 18-24 lata odsetek wierzących w analizowanym okresie spadł z 93 proc. do 71 proc. a niewierzących wzrósł z 6,7 proc. do 28,6 proc.”.

Autorzy dokumentu diagnozują: „Na przestrzeni ostatnich 30 lat przekaz kulturowy płynący w kierunku młodych ludzi przeszedł transformację z tradycyjnego, chrześcijańskiego, którego nośnikiem były rodziny i katecheza szkolna, w kierunku obrazu kształtowanego przez kulturę masową i intermedia, co powoduje zwiększenie różnorodności dostępnych treści, a te popularne, rozrywkowe, często są sprzeczne z wartościami chrześcijańskimi”.

Internet, kontynent misyjny

To już nie jest pełzająca laicyzacja, ale laicyzacja galopująca. Zmieniła się rodzina, rodzi się mniej dzieci, każdy ma swój świat, a to oznacza, że w tym wspólnym świecie członkowie rodziny spotykają się rzadziej (za to intensywniej). Pandemia rozluźniła więzi rówieśnicze, młodzi byli w domach i w tych domach zostali; część relacji przeniosła się na stałe do mediów społecznościowych. Młodzi, jak przekonują autorzy opracowania, „mają coraz większą trudność budowania więzi społecznych, szczególnie w środowiskach koleżeńskich czy towarzyskich, ale także więzi rodzinnych”. Rządzi tymczasowość. ➔

→ Jest diagnoza, musi być i leczenie. Trzeba zmienić język, który jest zbyt hermetyczny, przekaz ewangeliczny musi wyjść „w przestrzenie niesakralne, zwłaszcza media społecznościowe w oparciu o język używany przez młodzież”. Biskupi zauważyli też, że bez internetu ani rusz: „Internet rozumiany jest jako ósmy kontynent misyjny. Specyfika tej misji polega na przejściu od informacji do komunikacji personalnej w rzeczywistej przestrzeni. Modelem pożądanym jest doprowadzenie młodego Internauty do spotkania twarzą w twarz w środowisku Kościoła. Stąd ważność docenienia oratorskiego stylu duszpasterstwa młodzieży”.

I chyba najważniejsze – „Warto dostrzec, że aktualnie w Polsce jesteśmy w sytuacji eklezjalnej, w której zmieniają się akcenty: dokonuje się przejście od duszpasterstwa masowego do duszpasterstwa, a nawet lepiej powiedzieć: towarzyszenia osobistego. Ta zmiana dotyczy również przejścia od duszpasterstwa sakramentalnego do ewangelizacyjno-formacyjnego”.

Doznanie indywidualne

Ks. Tomasz Adamczyk przygląda się młodym od wielu lat, zadaje im pytania. W 1994 r. po raz pierwszy zapytał ich o przynależność wyznaniową – wyznanie rzymskokatolickie zadeklarowało wtedy 84 proc., w 2022 r. już tylko 54 proc. Z ostatnich badań wyszło też, że rodzina jest źródłem wiary dla 60 proc. pytanym, czyli religijność nie jest już dziedziczona. Ciekawe były też odpowiedzi na pytanie o źródło niewiary: 21 proc. odpowiedziało, że „przekonania osobiste”, 19 proc. wskazało „niechęć do instytucji Kościoła”.

Ks. Adamczyk: – Albo pytanie o to, co nadaje sens twojemu życiu: dla 52 proc. jest to miłość, dla 51 proc. zdobycie zaufania, na trzecim miejscu jest rodzina (46 proc.). Głęboka wiara była najważniejsza dla 11 proc. Jeszcze nie tak dawno na pierwszym miejscu była rodzina, dlaczego dziś jest inaczej? Nie, nie dlatego, że młody człowiek odrzuca rodzinę. On realizuje potrzebę miłości w różnych konfiguracjach i miejscach. Młodzi nie zawsze doświadczają w rodzinie miłości.

Kolejne pytanie: czego oczekujesz od Kościoła katolickiego? Ponad 32 proc. doświadczenia Boga, 30 proc. wspierania w sytuacji kryzysowej, 26 proc. niczego nie oczekuje.

Czy to nieoczekiwane niczego można zmienić w oczekiwanie czegośkolwiek? Ks. Adamczyk mówi, że tak, ale tylko w mikroskali. Skala makro jest już stracona, bo wiara w Boga staje się doznaniem indywidualnym, rzadziej wspólnotowym.

Ksiądz nie musi być herosem

Ks. Adamczyk: – Młodzi są coraz bardziej krytyczni wobec księży, oczekują od nich autentyczności. Żeby to, co głoszą, nie różniło się z tym, jak żyją i kim są. Ksiądz nie musi być herosem. Ma rozumieć, a nie oceniać. Parafia? Młodzi chcą, żeby była czymś w rodzaju pogotowia, kiedy pojawi się kryzys. Mówią o tym bardzo otwarcie.

O. Tomasz Dostatni, dominikanin: – Młodzież rozchodzi się z Kościołem. Młodzi rzadziej zawierają związek małżeński w kościele, a potem rzadziej chrzczą dzieci; te dzieci nie pójdą już do komunii. W Szczecinie, gdzie mieszkam, aż 75 proc. mieszkańców nie korzysta z żadnej usługi Kościoła, to najbardziej zsekularyzowane miasto w Polsce. Które będzie następne?

Dostatni wspomina, jak jeździł na Spotkania Młodych na Lednicy. Młodzi mówili mu, że czują się poważnie traktowani, że wreszcie ktoś ich słucha: – Czy nie możemy tak na coś dzień? Nie bardzo. Masowy Kościół to wiecznie zajęci i zmęczeni księża. Co do bierzmowania: powinniśmy się cieszyć, że ktoś w ogóle chce przystępować do tego sakramentu.

Kazał mi wyjść i ochłoniąć

Zapytałam nastolatków (w sieci, bo tam chętniej odpowiadają), co myślą o sakramencie bierzmowania. Przystąpią? Już przystąpili? A może nie czują takiej potrzeby?

– Przystąpiłam. I było to piękne przeżycie, w przeciwieństwie do komunii, która była stresująca i zwyczajnie droga. Bierzmowanie ma w sobie coś pierwotnie czystego, autentycznego.

– Jeżeli bierzmowanie jest sakramentem chrześcijańskiej dojrzałości, to ja czuję się – w sensie wiary w Boga – przed-szkolakiem. Infantylnie były zawsze lekcje religii, gdzie człowiek uczył się o kościołach w swoim mieście albo musiał rysować róże dla Maryi. A tu nagle bum – wielki i doskonały Duch Święty. To tak, jakby uczyć się angielskiego i z poziomu A1 przejść od razu do C2.

– Na jednej katechezie przed bierzmowaniem zapytałam księdza, czy można prosić o dar Ducha Świętego dla matki. Ksiądz się zjeżył i kazał mi wyjść i ochłoniąć, myślał, że jaja sobie robię. A gdyby poświęcił mi czas na osobności, powiedziałbym mu, że ten dar to trzeźwość. Naprawdę bardzo zależało mi na tej odpowiedzi.

© RENATA RADŁOWSKA

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym, dla m. st. Warszawy w Warszawie, I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 752/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Annie Filipskiej, córce Tadeusza i Ireny z domu Sochaczyńska, zmarłej w dniu 6 lutego 2022 r. w Warszawie, ostatnio stale przebywającej w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Wieliczce pod sygn. akt I Ns 699/22 toczy się sprawa z wniosku Mirosławy Jaros o zasiedzenie nieruchomości położonej w Zabierzowie Bocheńskim (gm. Niepołomice), oznaczonej jako działka nr 952, dla której prowadzona jest księga wieczysta nr KR2I/00021820/2.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, w tym następców prawnych Maryanny Wałęckiej, Szczepana Schmidta, Marii Schmidt, Maryanny Schmidówny, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w tutejszym Sądzie i udowodnili swe prawo własności, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, o ile zostanie udowodnione.

ZUZANNA

Radzik: Mój protest



KTO NIE CHCIAŁBY KOŃCA TEJ WOJNY? OD siedmiu miesięcy nie ja jedna trwam w osłupieniu i beznadziei. „To jest inny kraj, inne społeczeństwo, nie to, które znałaś” – powtarza w każdej rozmowie osiemdziesięcioletnia przyjaciółka z Jerozolimy, z poczuciem beznadziei, braku liderów i braku rozwiązań. Inna, wychodząc z kolacji, ma łzy w oczach. Odwiedzają synów studiujących w Europie, odruchowo przy pożegnaniu zapraszają do siebie, by po chwili zaproszenie cofnąć: „Jednak nie teraz, ale nie wiem, kiedy będziecie mogli przyjechać”. „Kiedyś jeszcze będzie normalnie” – mówię pocieszająco. „Nie wiem” – odpowiada ona. Rok temu, gdy tam byłam w czasie szczytu ulicznych protestów, nawet nie zdołała się ze mną spotkać, zbyt zajęta antyrządowymi demonstracjami. Dziś traci nadzieję.

Opowiadają o nastrojach, egzystencjalnych lękach Izraelczyków i Palestyńczyków, które sprawiają, że nie widać szansy i końca. Mówią, że pierwszy raz zastanawiają się, czy to nie koniec i czy nie trzeba będzie szukać w świecie innego miejsca. On zachnął się, że nigdzie nie jedzie, woli zginąć wraz ze swoim krajem. Syn spojrzał zdziwiony, ona też nieco. „Nie chcę być gdzieś wśród obcych w Europie, gdzie nikt mnie nie obroni” – mówi syn Ocalałych z Zagłady, a przez niego przemawia ich doświadczenie. Jeszcze dwa lata temu przy świątecznym stole rozmawiałam po polsku z jego matką. Zarówno ona, jak i ojciec przywieźli najgorsze wspomnienia i z czasu Zagłady, i z czasu po wyzwoleniu. Opowiadała, jak sąsiadki z klatki w Tel Awiwie uczyły ją prowadzenia domu i zajmowania się dziećmi, bo nie miała nikogo, a młodość spędziła uciekając i ukrywając się. Nie mieli po co zostawać w Europie. Ot, tacy z nich byli imperialni kolonizatorzy.

Opowiadają o nastrojach, egzystencjalnych lękach Izraelczyków i Palestyńczyków, które sprawiają, że nie widać szansy i końca. Mówią, że pierwszy raz zastanawiają się, czy to nie koniec i czy nie trzeba będzie szukać w świecie innego miejsca. On zachnął się, że nigdzie nie jedzie, woli zginąć wraz ze swoim krajem. Syn spojrzał zdziwiony, ona też nieco. „Nie chcę być gdzieś wśród obcych w Europie, gdzie nikt mnie nie obroni” – mówi syn Ocalałych z Zagłady, a przez niego przemawia ich doświadczenie. Jeszcze dwa lata temu przy świątecznym stole rozmawiałam po polsku z jego matką. Zarówno ona, jak i ojciec przywieźli najgorsze wspomnienia i z czasu Zagłady, i z czasu po wyzwoleniu. Opowiadała, jak sąsiadki z klatki w Tel Awiwie uczyły ją prowadzenia domu i zajmowania się dziećmi, bo nie miała nikogo, a młodość spędziła uciekając i ukrywając się. Nie mieli po co zostawać w Europie. Ot, tacy z nich byli imperialni kolonizatorzy.

Nie ujmuje to dramatowi Palestyńczyków, po prostu trudne ludzkie losy splatają się w niemożliwym gordyjskim węźle w tej

części świata. W dodatku moje pokolenie, które świadome globalnej polityki zaczynało być w czasie drugiej intifady, kojarzy tę część świata jako problem. Wieczny problem bez szans na zmianę. Z pogłębiającą się okupacją, konfliktem, starzejącym się Abbasem i niemal ciągłymi rządami izraelskiej prawicy. Ominął nas entuzjazm porozumień z Oslo i nadzieja, że to się jakoś poukłada. Zostało poczucie fundamentalnego braku rozwiązań i braku woli. I ta przyczajona katastrofa teraz się ziściła.

Tylko czemu w reakcji na sytuację w Gazie uczniowie dodają uczącym o Zagładzie nauczycielom: „Widzisz, co robią ci Żydzi”? I czemu są miejsca w Polsce, w których pomniki ofiar i pamiątkowe tablice zniszczono lub oklejono propalestyńskimi hasłami? Czemu to, co nigdy nie było łatwe – pamięć o Żydach w Polsce – znów staje się trudniejsze?

Z wycofania, w którym obserwuję, co się dzieje, wyrwały mnie blokady kampusów i postulaty studentów kilku polskich uniwersytetów. Po siedmiu miesiącach wojny, negocjacjach Waszyngtonu, rezolucjach ONZ i interwencjach międzynarodowych trybunałów świat pewnie nie czeka, by Uniwersytet Warszawski czy Wrocławski wydały oświadczenia. Ostatnio Harvard po jesiennych oświadczeniach, które nie zadowolili nikogo, opublikował raport z wnioskiem, że najlepiej będzie w przyszłości wypowiadać się publicznie na tematy dotyczące samego Harvardu, a nie spraw życia publicznego i globalnej polityki. Nie każda instytucja musi mieć zdanie na tematy, którymi się nie zajmuje.

Poczułam jednak złość, słysząc, że demonstrujący studenci żądają też zerwania współpracy z uczelniami izraelskimi. Bo pamiętam, jak dziergane były te współprace. Na oparach pieniędzy czy na krótkich rządowych stypendiach przecierano szlaki, wykuwano kadry, zdobywano kontakty i budowano zręby wspólnych projektów. Nie komplikowała tego tylko logistyka i koszty, ale też przepaści stworzone przez dzieje rodzin i wzajemne uprzedzenia. Współprace uniwersyteckie to jest praca polsko-izraelskiego pojednania, którą na sobie wykonali akademicy. Wierzę, że uniwersytety sięgną w tej sytuacji po swoje najważniejsze kompetencje: prowadzenie badań i uczenie krytycznego myślenia. Niezmiennie, również z izraelskimi partnerami.

©






Szkota uczuć

Katarzyna Kubisiowska i Bogdan de Barbaro zapraszają na cykl rozmów o uczuciach – tych codziennych i niecodziennych, ekstatycznych i dojmujących, pojętych i niepojętych. Zawsze ludzkich.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
 FOT. GRAZYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH

**Tylko w podkaście
Tygodnika Powszechnego**



LITERY ŚWIATA

EWA GORDON, HEBRAISTKA I KALIGRAFKA:

Największym wyzwaniem jest imię Boga. Nie można go ścierać. Gdy popełni się błąd, trzeba usuwać cały fragment. Litery muszą być napisane, nie mogą być stworzone w inny sposób. Praca sofera nie polega wyłącznie na przepisaniu pewnego wzoru.

KINGA DAWIDOWICZ: Czym różni się kaligrafia hebrajska od innych?

EWA GORDON: Mistyczną perspektywą – alfabet hebrajski jest postrzegany jako święty, każda litera jest święta, nawet jej części składowe. W judaizmie funkcjonuje przekonanie, że Bóg do stwarzania świata użył liter hebrajskiego alfabetu. Nie mówimy tu o grafice, ponieważ wiadomo, że historycznie litery zmieniały trochę swoją strukturę. Istotny jest sam pomysł, że wzorem świata jest Tora, która istniała przed stworzeniem świata i jest napisana literami, które mają status świętych.

Słowo, szczególnie ręcznie pisane, zajmuje wyjątkową pozycję w judaizmie?

Żeby przeczytać Torę w synagodze, musi ona być napisana ręcznie. Tefilin, czyli dwa małe skórzane pudełka z wersami Tory używane do modlitwy, muszą zawierać napisane ręcznie wersety. Każdy dom żydowski ma również wypisaną ręcznie mezuzę.

Czy jest miejsce na obraz, stronę wizualną?

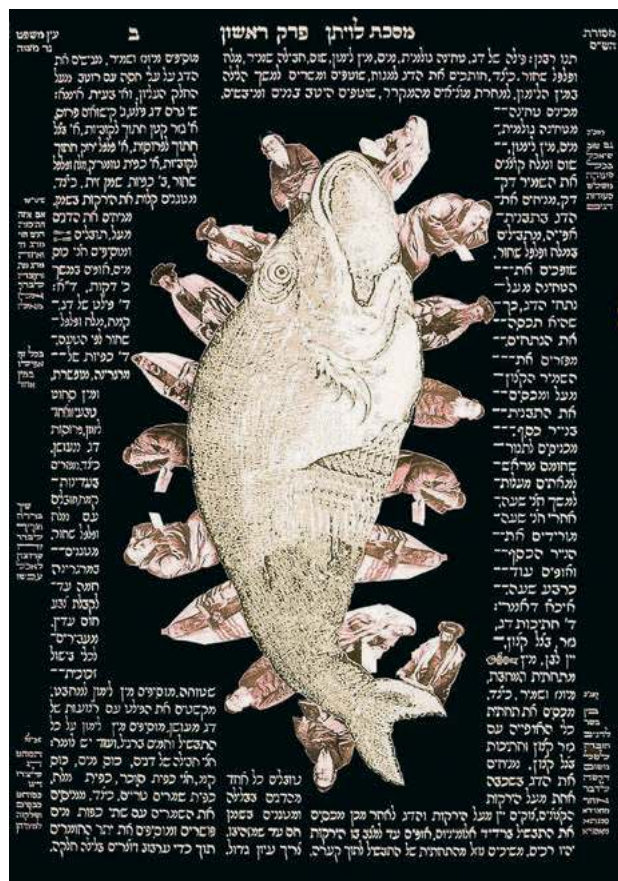
Przedstawianie postaci ludzkiej czy jakiegokolwiek innej nie było powszechnie akceptowane. Sztuka żydowska skupiła się przede wszystkim wokół liter, kaligraficznych technik i zdobień, w których litery zajmowały centralne miejsce.

Sztuka kaligrafii ewoluuje?

Ostatnie zmiany zaszły prawdopodobnie w średniowieczu. Postanowiono, że można pisać nie tylko przyciętą trzciną, ale też ptasim piórem. Narzędzia się jednak doskonaliły, obecnie stosuje się np. plastikowe pióro, które wygląda jak ptasie. Same zasady, które rządzą sztuką kaligrafii – sposób pisania, co wolno zapisać, czego nie wolno, co można usunąć – pozostają niezmiennie od wieków.

Jakich zasad powinien przestrzegać sofer, czyli osoba zajmująca się przepisywaniem świętych rzeczy?

Tych zasad jest około czterech tysięcy. Dotyczą koszerności – pergaminy i atramentu, który musi być koniecznie czarny. Jeżeli jest się soferem aszkenazyjskim, to pisze się ptasim piórem. Do tego jeszcze linijka do zaznaczania linii, które muszą być wyciśnięte w skórce. Bez linii nic nie może być napisane. Atrament robi się na bazie galasów, czyli narośli powstających na liściach dębu. Niezwykle istotną sprawą jest też intencja, która towarzyszy soferowi na wszystkich etapach pisania. Sofer powinien mieć opinię człowieka pobożnego



Ewa Gordon „Masechet Lewiatan/Traktat Lewiatan”, atrament na papierze, collage (współczesne przepisy na ryby i halachy z „Szulchan Aruch” i „Miszna Berura” dotyczące spożywania ryb).

i godnego zaufania, ponieważ tylko on wie, czy zapisał wszystko poprawnie, czy popełnił jakiś błąd.

Soferem może zostać tylko mężczyzna?

W ortodoksyjnym judaizmie tak, ale w nurcie konserwatywnym, postępowym czy reformowanym wygląda to inaczej. Jak zaczynałam moją przygodę z kaligrafią w latach 90., nie słyszałam o żadnej kobiecie-soferce. Później dowiedziałam się o Aviel Barclay, która by nauczyć się tej sztuki, musiała przejść bardzo trudną drogę. Po długich poszukiwaniach znalazła mistrza w Izraelu, który się zgodził ją uczyć, ale pod warunkiem, że nie zdradzi jego nazwiska. Przytłaczająca to potem wyrzuceniem ze szkoły, ale nigdy nie wyjawiała nazwiska nauczyciela. Z czasem pojawiło się więcej kobiet. To już nie jest takie kuriozum, jak w czasach, kiedy zaczynałam.

Jak wygląda zapis imienia Boga?

Przed zapisaniem imienia Boga sofer musi powziąć kawane, czyli intencję, że pisze to Imię jako święte. Są tacy, którzy na karcie zostawiają miejsce do wpisania imienia Boga, udają się do mykwy i potem od razu z intencją uzupełniają brakujące miejsca. Jak widać, nie jest to zwykła praca polegająca tylko na przepisaniu pewnego wzoru.

Czy jakiś rodzaj korekty jest dozwolony?

Imię Boga jest największym wyzwaniem. Nie można go ścierać. Gdy popełni się błąd, trzeba usuwać cały fragment. Litery muszą być napisane, nie mogą być stworzone w inny sposób. Jeżeli napiszę



FKZ

błędnie literę, która przypomina inną, nie mogę żyłką wydrapać kształtu tej właściwej, tylko muszę zdrapać całą literę i napisać ją od nowa, żeby każda miała status napisanej, a nie wydrapanej. Gdy przepisujemy tefilin, musi być zachowana dokładnie taka kolejności liter i wersów, jak we wzorze, czyli Torze. Jeżeli sofer się pomyli, nie może wrócić na początek i poprawić błędu. Musi wtedy zetrzeć wszystko aż do miejsca pomyłki.

Skąd pomysł, żeby zajmować się akurat tym?

Pierwsze było wykształcenie plastyczne. Później pojawił się pomysł, żeby sztukę połączyć z hebraistyką. Przechodziłam wszystkie etapy nauki kaligrafii, od nauki pisma aż po kopiowanie Księgi Estery. Tworzyłam mikrografie na papierze, czyli sztukę zdobniczą z liter – gdy z małych liter powstaje liniowo albo płaszczyznowo cały obraz. W pewnym momencie odkryłam, że można się tym zajmować przy użyciu farb akrylowych na desce.

Kaligrafia, ta tradycyjna, religijna, związana jest z ograniczeniami i obostrzeniami. Z kolei Pani twórczość daje większą wolność.

Ale też narzucam sobie pewne ramy. Wyznaczam sobie zadanie, żeby przedstawić coś przy pomocy samych liter, bez malowania przedmiotów. Malowanie byłoby za proste, ciekawią mnie wyzwania, jakie stawiają litery. W judaizmie sztuka wizualna nie jest bardzo obfita, a istnieje mnóstwo tematów, które w żaden sposób nie zostały podjęte.

Na przykład?

Jak się patrzy na religijną sztukę żydowską, wygląda dość naiwnie.

Słowo dominuje, a strona wizualna kuleje?

Tak. Obraz nie był żydowską domeną, tylko właśnie słowo, dźwięk. To, co jest czytane. Coś do oglądania – plafony w synagogach itp. – była to w zasadzie forma podglądania i naśladownictwa, jak tworzą inni, nie-Żydzi. Wiele tematów, choćby mistycznych, nie jest podejmowanych w sztuce żydowskiej.

Dlaczego?

Ci, którzy studiują religię, nie studiują sztuki i odwrotnie. Gdy się znajdziemy na przykład w słynnym miasteczku Safed, gdzie mieszkają kabaliści, którzy zajmują się też sztuką, to jest to dość trudne doświadczenie wizualne, przynajmniej dla europejskiego oka.

A większe ośrodki, choćby Nowy Jork?

Sztuka kaligrafii jest raczej niszowym zajęciem. Moim ideałem jest Mark Podwal, z Nowego Jorku właśnie. Stworzył wizualizację dla miasteczka żydowskiego w Pradze. Zajmuje się grafiką, jest genialny. Łączy nowoczesność ze zrozumieniem tradycji żydowskiej. To jest właśnie kierunek, w którym powinna zmierzać sztuka żydowska. We Francji działał Raymond Moretti, bardzo ciekawa postać, świetny rysownik. Tworzył też rzeźby z hebrajskich liter, ilustrował książki obrazami z liter. Michel D'anastasio zajmuje się zdobieniami synagog przy pomocy liter i robi to bardzo nowocześnie.

Które projekty Pani autorstwa są Pani najbliższe?

Lubię obraz, który właśnie skończyłam, a jeszcze bardziej ten, który dopiero namaluję. Ostatni jest dość ciekawy – mapa Wenecji zrobiona z liter, Wenecji z przełomu XVI i XVII wieku. Za każdym razem to rok uczenia się, studiowania i zagłębienia do mnóstwa materiałów.

Podczas najbliższego Festiwalu Kultury Żydowskiej odbędą się warsztaty z Pani udziałem. Proszę o nich opowiedzieć.

W latach poprzednich prowadziłam warsztaty czysto kaligraficzne, gdzie uczyłam pisać. W tym roku warsztaty będą bardziej edukacyjne, skupione na tym, jak litery hebrajskie są rozumiane, interpretowane, jakie teksty są dostępne na temat samych liter w ujęciu mistycznym. Litery są przedmiotem medytacji. Można je odczytywać poprzez gematrię, jako że litery są też cyframi, więc można liczyć wartość liczbową słowa, wartość wersetu itd., porównywać to z innym słowem czy wersetem – które słowo ma taką samą liczbę i co z czym się łączy? Hebrajski umożliwia takie działania, bo jest językiem kombinatorycznym. W żadnym innym języku nie dałoby się tego zrobić. To ciekawe, że przez tak długi czas ortografia hebrajska się w zasadzie nie zmieniała. Tekst sprzed trzech tysięcy lat wygląda jak współczesny.

Alfabet hebrajski nie ulegał wpływowi?

Istniało niegdyś pismo starohebrajskie i jest hebrajskie kwadratowe, którego używamy obecnie. W czasach imperium perskiego urzędowym pismem był alfabet aramejski, a jedna z odmian alfabetu aramejskiego stała się obecnie znanym alfabetem hebrajskim. W momencie określania kanonu ksiąg biblijnych zastrzeżono, że ten alfabet kwadratowy przeznaczony jest do kopiowania świętych ksiąg. I jest on ciągle używany, z niewielkimi zmianami, które wynikają z różnych narzędzi do przepisywania. Gdy się bierze rękopis do ręki, od razu widać, czy jest on sefardyjski czy aszkenazyjski. Sefardyjskie były pisane trzciną, co powoduje, że litery są bardziej krągłe. Aszkenazyjskie, pisane ptasim piórem, ma ostrzejsze zakończenia liter. Czytelność obu jest taka sama, różnice są estetyczne. Istnieje jeszcze pismo półkursywne, które rzeczywiście wykazuje wpływ lokalnych alfabetów, czy to tacińskich, czy arabskich. Oraz pismo kursywne do szybkiego zapisu.

Kaligrafia jest dobrą drogą, żeby poznać i zrozumieć kulturę judaizmu?

Jeżeli ktokolwiek chce wejść w świat judaizmu, nie może tego zrobić bez hebrajskiego, bez słów i bez alfabetu.

© Rozmawiała KINGA DAWIDOWICZ

Ewa Gordon jest tłumaczką klasycznej religijnej literatury hebrajskiej i autorką opracowań popularnonaukowych z dziedziny judaizmu i obyczajów żydowskich. Prowadzi warsztaty kaligrafii hebrajskiej i wykłady na temat judaizmu, literatury i gramatyki hebrajskiej oraz sztuki żydowskiej. Więcej o jej twórczości na stronie www.donieba.com.



**FESTIWAL
KULTURY
ŻYDOWSKIEJ**

Podczas tegorocznej edycji Festiwalu Kultury Żydowskiej Ewa Gordon poprowadzi warsztaty związane z alfabetem hebrajskim. 23–25 czerwca, godz. 11.00, synagoga Wysoka, ul. Józefa 38 w Krakowie. Więcej informacji na 33.jewishfestival.pl

SPRINTEM PO WŁADZĘ

Po miażdżącym zwycięstwie w eurowyborach radykalna prawica pod przywództwem Marine Le Pen może już za miesiąc współrządzić Francją. Grozi to chaosem w kraju i osłabieniem proukraińskiego kursu Paryża.

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA



TO BYŁ JEJ WIECZÓR. „JESTEŚMY GOTOWI do objęcia władzy” – powiedziała Marine Le Pen tuż po tym, jak prezydent Emmanuel Macron wystąpił w telewizji z orędziem, w którym ogłosił, zupełnie nieoczekiwanie, że rozwiązuje parlament i rozpisuje przedterminowe wybory na 30 czerwca i 7 lipca (w dwóch turach).

Francja ma ustrój prezydencki, Macron mógł to zrobić. Jego decyzja wywołuje prawdziwe trzęsienie ziemi we francuskiej polityce: może otworzyć nacjonalistycznej prawicy drogę do władzy, po raz pierwszy w powojennej historii kraju. Bo to właśnie Zjednoczenie Narodowe (RN) jest dziś zdecydowanym faworytem.

Wcześniej Marine Le Pen planowała długi marsz po władzę – liczyła, że wygra wybory prezydenckie w 2027 r., w których Macron nie może już kandydować. Niespodziewany „prezent” od prezydenta sprawił, że jej partia może dotrzeć do celu sprintem. Choć, jak się przekonamy, możliwe są wciąż także inne scenariusze.

Katastrofa dla Macrona

Od tamtego wieczora wszyscy nad Sekwaną łamią sobie głowę: dlaczego Macron zdecydował się rozwiązać parlament? Dlaczego teraz?

Tuż po wystąpieniu prezydenta zdumienie i niedowierzanie widoczne było nawet wśród liderów prezydenckiej partii Renesans – założonej przez niego w 2016 r. (wówczas pod nazwą Naprzód, Republiko!, La République en marche) jako jego polityczne zaplecze, i mającej profil centrowo-liberalny. Dziennik „Le Figaro” podaje, że przewodnicząca Zgromadzenia Narodowego (parlamentu) Yaël Braun-Pivet z partii prezydenckiej próbowała tuż przed orędziem odwieść szefa państwa od tej decyzji. Na darmo.

Bezpośrednim pretekstem do rozwiązania izby niższej parlamentu był katastrofalny wynik Renesansu w eurowyborach: rządzący obóz otrzymał 14,5 proc. głosów, podczas gdy RN ponad dwukrotnie więcej (31,5 proc.). Partia prezydencka wyprzedziła tylko o włos trzecią w kolejności listę Partii Socjalistycznej/Miejsca Publicznego (blisko 14 proc.). Za podium ułokowały się, kwalifikując się do Parlamentu Europejskiego, cztery inne listy: radykalnie lewicowa Francja Nieujarzmiona (bli-

sko 10 proc.), konserwatywni Republikańscy (7 proc.) oraz Ekolodzy (Zieloni) i niewielka skrajnie prawicowa Rekonkwista Erica Zemmoura (dwie ostatnie z prawie identycznym wynikiem 5,5 proc.).

Uczucie gniewu

– To miażdżące zwycięstwo RN jest już trzecim we francuskich eurowyborach, po roku 2014 i 2019. Porażka jest dla Macrona tym bardziej dotkliwa, że to wybory europejskie, a prezydent postawił Unię w centrum swojego programu – mówi „Tygodnikowi” Bruno Cautrès z paryskiego Instytutu Nauk Politycznych Sciences Po. – Po raz kolejny RN przebija tzw. szklany sufit, uzyskując jeszcze wyższe wyniki niż w poprzednich eurowyborach.

Dodajmy, że w ostatniej dekadzie Le Pen dwukrotnie (w roku 2017 i 2022) dostała się do drugiej tury wyborów prezydenckich.

Bruno Cautrès podkreśla, że z wszystkich badań wynika, iż elektorat RN rozszerzył się na wszystkie kategorie wiekowe i grupy społeczne. Jeszcze niedawno dominowali tu ludzie młodzi, robotnicy i inni pracownicy o niższych zarobkach. Teraz na RN głosują też emeryci i klasa średnia, w tym kadry zarządzające. Wyborców tych, według badań, łączy głębokie uczucie gniewu wobec systemu politycznego i społecznego.

Retoryka RN eksploatuje na różne sposoby ten gniew: zażarcie krytykuje Unię Europejską, obiecuje zastopować masową imigrację i bezwzględnie walczyć z radykalnym islamem. Strach przed terroryzmem islamskim – po licznych zamachach w ostatnich latach (najkrwawszych w listopadzie 2015 r. w Paryżu i w lipcu 2016 r. w Nicei) – ma we Francji realne podstawy.

Dryfujący prezydent

Bruno Cautrès uważa, że główną przyczyną klęski Macrona jest znużenie jego rządami i poczucie, że brak mu jasnego kursu. – Obóz prezydencki rządzi już od siedmiu lat. Dwa lata po rozpoczęciu drugiej kadencji Macron ciągle nie potrafi wytłumaczyć Francuzom, dokąd zmierza. Np. czy chce obniżenia deficytu publicznego, czy idzie w stronę modernizacji państwa i usług publicznych – uważa Cautrès.

Można też przypuszczać, że głosując tak, Francuzi zrewanżowali się rządzącym liberalom za niepopularne reformy,

zwłaszcza za przeprowadzone w 2023 r. podwyższenie wieku emerytalnego z 62 do 64 lat. Protesty wyprowadziły wtedy na ulice setki tysięcy ludzi.

Na finiszu kampanii przed eurowyborami Macron, widząc fatalne sondaże, próbował ratować sytuację, mnożąc swoje przemówienia i wywiady w telewizji. Mocnym momentem kampanii miała być jego mowa na Sorbonie 25 kwietnia na temat przyszłości Unii w obliczu wojny i innych wyzwań. „Europa może dziś umrzeć i zależy to wyłącznie od naszego wyboru” – alarmował. Wezwał partnerów z Unii do wspólnego zrywu w kwestii finansowania europejskiej polityki obronnej.

Propozycje Macrona nie wywołały prawie żadnej dyskusji w kraju ani reakcji ze strony oponentów. – Części Francuzów znudziły się wielkie mowy Macrona i już nie chcą go słuchać. Uznają, że prezydenta jest za dużo w mediach – uważa Cautrès.

Zagranie pokerowe

Jednak fatalny wynik Renesansu tylko po części może tłumaczyć decyzję Macrona. Prezydent nie był zobligowany do rozwiązania parlamentu. Mógł wybrać inną opcję, np. rekonstrukcję rządu lub zawarcie sojuszu z umiarkowanymi republikańcami w celu zapewnienia stabilnej większości w Zgromadzeniu Narodowym. Liberalny rząd Gabriela Attala, człowieka Macrona, nie ma większości w parlamencie i zmuszony jest przy każdym głosowaniu szukać wsparcia pośród opozycji.

Do przedterminowych wyborów wywołała prezydenta tylko jedna siła: właśnie RN, ale wszyscy traktowali to jako błąd bez znaczenia. Tymczasem Macron przystał na żądanie swojego głównego przeciwnika.

– To bardzo ryzykowna, pokerowa zagrywka Macrona, który bierze pod uwagę dwie opcje – mówi „Tygodnikowi” Sébastien Maillard z paryskiego think tanku Instytut Jacquesa Delors’a. – Pierwsza jest taka, że RN wygra wybory, utworzy rząd i dojdzie do kohabitacji. Macron liczy na to, że RN nie poradzi sobie z rządem, bo nie ma kompetentnych kadr, i w efekcie straci poparcie, a tym samym przepadnie w wyborach prezydenckich w 2027 r. Opcja druga: być może Macron liczy, że wyborcy przestraszą się skrajnej prawicy i zagłosują jednak przeciw lepenistom. W takiej sytuacji obóz prezydencki ➔

Marine Le Pen podczas wyborczego wiecu w Paryżu, 2 czerwca 2024 r.

→ mógłby wyjść z obecnego kryzysu nawet wzmocniony.

Wariant trzeci

Kalkulacje Macrona mogą się nie sprawdzić, jeśli okaże się, że w nowym parlamencie nie ma większości zdolnej do rządzenia. W takiej sytuacji Francja byłaby skazana na paraliż prac parlamentarnych, co miałooby trudne do przewidzenia skutki.

Ten wariant wydaje się o tyle realny, że sukces skrajnej prawicy zmobilizował do zjednoczenia całą lewicę wraz z jej radykalnym skrzydłem. Eurowyborzy potwierdziły, że przesuwający się na prawo macroniści utracili młody progresywny elektorat centrowy i elektorat centrolewicowy. Z tego skorzystali zwłaszcza socjaliści (PS) i sprzymierzona z nimi mała partia ekologiczno-prounijna Miejsce Publiczne Raphaëla Glucksmanna.

Po decyzji Macrona główne formacje lewicy – socjaliści, Francja Nieujarzmiona, Ekolodzy (dawni Zieloni) i komuniści – zawarły w ekspresowym tempie wstępne porozumienie (w chwili kończenia tekstu, 13 czerwca, trwały jeszcze negocja-

cje w sprawie programu) o wystawieniu wspólnych kandydatów pod etykietą Nowy Front Ludowy. Blok ten mógłby liczyć, wedle pierwszych sondaży, na 25 proc. głosów. Jeśli nawet nie ma szans na przejęcie władzy, mógłby pokrzyżować szlaki lepenistom marzącym o większości.

Po eurowyborach psychodramę przeżywa natomiast umiarkowana prawica, czyli Republikanie (jeszcze niedawno, w latach 2007-2012, rządzący krajem). Ich prezes Éric Ciotti ogłosił nagle sojusz wyborczy z RN, co inni liderzy Republikanów uznali za zdradę i wyrzucili Ciottiego z partii. W wyniku tego kryzysu potężna niedawno formacja – korzeniami wywodząca się z epoki generała de Gaulle'a – może w ogóle nie dostać się do parlamentu.

I jeszcze jedno: jeśli wybory wygra Le Pen, jej nowy rząd – z premierem Jordnem Bardellą – zacząłby urzędowanie na dwa-trzy tygodnie przed igrzyskami olimpijskimi w Paryżu. Największą imprezą sportową na świecie, za której bezpieczeństwo odpowiada francuskie MSW. To znów element ryzyka, które budzi niepokój licznych komentatorów.

Strategia oswojania

Dlaczego skrajną prawicę popiera dziś tak wielu Francuzów? I jakie skutki mogłyby mieć jej rządy?

Według badania Ipsos z października 2023 r. co drugi Francuz uważał partię Le Pen za niebezpieczną dla demokracji; cztery lata temu tego zdania było 61 proc. Politolodzy uważają, że sukces RN polega w dużej mierze na tym, co nazywają „strategią banalizacji” lub „oddemonizowania”. Le Pen i jej partia przekonują wyborców, że są zwykłą formacją, która przestrzega demokratycznych reguł gry. Oraz że nie ma nic wspólnego z ekstremizmem, antysemityzmem i rasizmem, które jeszcze 15 lat temu cechowały Front Narodowy Jean-Marie Le Pena, ojca Marine (wśród współzałożycieli FN w 1972 r. był Pierre Bousquet, w czasie II wojny światowej członek złożonej z Francuzów dywizji Waffen SS „Charlemagne”). Od momentu przejścia sterów partii przez Marine Le Pen w 2011 r. jej ugrupowanie (które w 2018 r. przemianowano na RN) odmieniło całkowicie swoje oblicze – strategia się opłaciła.

Jordan Bardella: młoda twarz lepenizmu

WYSTUDIOWANY UŚMIECH, nienaganne maniery, staranny przedziałek: 28-letni Jordan Bardella (na zdj.) jest najmłodszym szefem dużej partii we Francji. Stery trzyma nadal Marine Le Pen, choć formalnie jest tylko przewodniczącą klubu parlamentarnego RN. Usunęła się w cień – w kampanii przed eurowyborami brylował Bardella. Można w tym widzieć wizerunkowy zabieg, dzięki któremu partia chce pozyskać nowy elektorat, dotąd jej obojętny lub niechętny.

KARIERA BARDELLI była błyskawiczna. Chłopak o włoskich korzeniach (po oboju rodzicach), spędzał dzieciństwo na



BERTRAND GUAY / AFP / EAST NEWS

ubogich przedmieściach Paryża. Wstąpił w wieku 16 lat do partii Le Pen (wtedy o nazwie Front Narodowy; zmieniła ją w 2018 r.). Udane występy w mediach, prezencja i urok osobisty sprawiły, że Le Pen zwróciła na niego uwagę. Zadbła o jego awans w partyjnym aparacie. Tak szybko, że Bardella, który zaczął studia z geografii na Sorbonie, przerwał je dla kariery politycznej. W 2019 r. został,

w wieku 23 lat, eurodeputowanym. Od 2021 r. jest szefem partii, choć faktycznie rządzi nią nadal Le Pen.

STARSZYM FRANCUZOM Bardella może przypominać Jacquesa Chiraca z czasów jego młodości – tak ocenia tygodnik „Le Nouvel Obs”. Młodszych porównują jego profile w mediach społecznościowych. Prasa nazywa go „królem Tik Toka” (ma tu ponad milion

fanów). Na jego wiecach panuje „bardellmania”. Nie tylko wśród młodych. Eric, sympatyk partii w średnim wieku, kiedyś głosujący na socjalistów, z zawodu ochroniarz, mówi „Tygodnikowi”: – Widziałem Bardellę w telewizji w debacie kandydatów. Wszystkich rozłożył na łopatki. Jest jak pitbul: spokojny, opanowany, nagle skoczy i zagryzie. Marine nie jest mocna w debatach, za to Jordan wymiata. To on powinien zostać prezydentem w 2027 r.

WBREW OPINII Erica, Marine Le Pen deklaruje, że nie zrezygnuje z walki o Pałac Elizejski za trzy lata. Wcześniej kandydowała już trzykrotnie na urząd głowy państwa, bez sukcesu. Ostatni raz w 2022 r., gdy walczyć w drugiej turze z Macronem, uzyskała prawie 42 proc. głosów. © Szt

RN, przynajmniej deklaratywnie, zmieniło nastawienie do Unii Europejskiej. Po 2017 r. jej politycy przestali nawoływać, jak wcześniej, do opuszczenia przez Francję strefy euro. Także w trakcie ostatniej kampanii przed eurowyborami lider listy RN i jednocześnie formalny przewodniczący partii Jordan Bardella podkreślał, że nie życzy sobie zniknięcia Unii, lecz że chce ją „przekształcić” i „zmienić reguły gry” wewnątrz Wspólnoty.

Bardella, młode oblicze tej radykalnej formacji, jest uosobieniem „strategii banalizacji” w erze mediów społecznościowych. Przed eurowyborami Le Pen namaszczyła go na premiera w razie zwycięstwa w przyszłych wyborach parlamentarnych.

Podwójna gra

Na ile to tylko zmiana retoryki, a na ile zmiana głębsza? I co mogłaby oznaczać nowa kohabitacja: z jednej strony rząd Bardelli, z drugiej prezydent Macron?

Wielu obserwatorów uważa, że mimo złagodzonej retoryki działania RN w Europie zmierzają do rozmontowania Unii. „Wcześniej RN chciało rozbić Europę z zewnątrz, teraz chce to zrobić od środka. Cel jest ten sam, zmieniła się tylko strategia” – mówił Gilles Finchelstein, ekspert think tanku Fundacja Jeana Jaurès, w Radio Classique.

Analizując program wyborczy RN, dziennik „Le Parisien” zauważa z kolei, że partia Le Pen nie kryje się z tym, iż chce odebrać Komisji Europejskiej władzę decyzyjną, ograniczając jej rolę do czegoś w rodzaju sekretariatu Rady Europejskiej (gremium skupiającego szefów rządów krajów unijnych). RN sprzeciwia się też rozszerzeniu Unii o Bałkany i Ukrainę.

O profilu partii Marine Le Pen może świadczyć to, z kim jej po drodze w Parlamencie Europejskim. W mijającej ka-

We Francji to prezydent decyduje o polityce zagranicznej i obronnej.

Macron będzie nim jeszcze przez trzy lata.

dencji RN należało do grupy Tożsamość i Demokracja (ID), wraz z takimi prawicowymi radykałami jak włoska Liga Matteo Salvini czy Alternatywa dla Niemiec (AfD) (w maju grupa ID usunęła ze swojego grona AfD po serii skandali z udziałem kierownictwa tej partii). W trakcie kampanii do eurowyborów RN wzięło udział w międzynarodowym zjeździe nacjonalistyczno-konserwatywnej prawicy w Madrycie, z udziałem m.in. Braci Włochów premier Giorgii Meloni, PiS-u i węgierskiego Fideszu.

Podwójną grę RN można zauważyć w sprawie wojny w Ukrainie. Oficjalnie obóz Le Pen, który przez wiele lat jawnie wspierał politykę Putina (w tym aneksję Krymu w 2014 r.), zmienił front po 24 lutego 2022 r.: potępił rosyjską agresję i wsparł Ukraińców. Ale to słowa. A czyni? Jak píše „Le Parisien”, lepiści sprzeciwiali się dotąd dostarczaniu Kijowowi „broni ofensywnej” (np. rakiet Scalp) i nie poparli niedawnej rezolucji europarlamentu wzywającej do wykozystania zamrożonych majątków rosyjskich dla wsparcia Ukrainy.

Kohabitacja z konsekwencjami

A jakie mogłyby być konsekwencje kohabitacji Macrona ze skrajną prawicą?

Tym, co niepokoi wielu w Europie, jest możliwość raptownej zmiany kursu w polityce zagranicznej. Partia Le Pen,

przez wiele lat antyunijna i prorosyjska, nadal zachowuje się ambiwalentnie wobec Unii i Moskwy, pozostając niechętną wobec NATO. Pod tymi względami Macron to jej przeciwieństwo.

Jak podkreślał w radiu France Inter Pierre Haski, analityk spraw międzynarodowych, przy kohabitacji Macron-Bardella proukraińska postawa Francji może osłabnąć. Prezydent wyszedł ostatnio przed sojusznicy szeregiem, deklarując gotowość wysłania francuskich instruktorów wojskowych do Ukrainy. „Czy byłoby to możliwe w kohabitacji z RN? Na pewno nie” – mówił Haski. Uważa on, że dojście do władzy radykalnej prawicy – niechętniej i europejskiej polityce obronnej, i NATO – przyhamuje działania Paryża w tych obszarach.

Inni komentatorzy tonują ten pesymizm: zwracają uwagę na „bezpieczniki” wmontowane we francuskie prawo: konstytucja daje prezydentowi znaczące prerogatywy w polityce zagranicznej i obronnej.

Zwykli Francuzi, jak i wszystkie inne nacje, dużo bardziej troszczą się o codzienny byt niż o meandry globalnej polityki. Wygląda na to, że znużeni „macronizmem”, liberalnym gospodarczo, są gotowi dać szansę partii Le Pen. Sprzyjają jej mocno prawicowe nastroje w Europie. Trudno też sobie wyobrazić, że słabnący obóz prezydenta czy „zlepiona” naprędce (lecz nadal zważniona) lewica potrafią w ciągu miesiąca przechylić szalę na własną korzyść.

Sam Macron stoi wciąż na mostku kapitańskim – i niezależnie od wyniku czerwcowo-lipcowych wyborów – pozostanie na nim przez kolejne trzy lata.

© SZYMON ŁUCYK

Tekst ukończono 13 czerwca

W Sądzie Rejonowym w Chełmie I Wydziale Cywilnym toczy się postępowanie (sygn. akt I Ns 565/23) z wniosku Mirosława Tatary i Teresy Tatary o stwierdzenie nabycia w drodze zasiedzenia do majątku wspólnego prawa własności nieruchomości położonej w obrębie 0035 Weremowice, jedn. ewidencyjna 060303_2, Chełm oznaczonej jako działka nr 10, o pow. 0,25 ha, dla której nie ma urządzonej księgi wieczystej ani zbioru dokumentów, znajdującej się w posiadaniu Mirosława Tatary i Teresy Tatary.

Wzywa się wszystkie zainteresowane osoby, a w szczególności następców prawnych Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Uhrze, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili i udowodnili swoje prawa do nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia własności nieruchomości.

W Sądzie Rejonowym dla miasta stołecznego Warszawy w Warszawie pod sygn. akt II Ns 987/21 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Piotrze Marku Kępskim, zmarłym w dniu 27 marca 2016 roku w Warszawie.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w ciągu 3 miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Duchy przodków

TEKST I ZDJĘCIA **ANTONINA PALARCZYK** Z OBWODU DONIECKIEGO

Ich publiczność jest wymagająca. Rodzin nie widziała ponad dwa lata, jest znużona wojną, może reagować różnie. Jeśli się uśmiechnie, osiągną swój cel.

WYSOKO W KORONACH DRZEW ŚPIEWają leśne ptaki. Odpowiadają na delikatny akompaniament gitary. Te drzewa są cenne: kryją nas przed kamerami innych „ptaków” – dronów. W ich cieniu grupa chłopców i dziewczyn z brygady pancерnej rozsiadła się. Patrzą niepewnie – w obwodzie donieckim to sytuacja niecodzienna.

Przed nimi swój kram rozkłada kilkoro artystów, też w mundurach. Wśród ich narzędzi pracy jest lira korbowa: typowy dla ukraińskiej muzyki ludowej instrument strunowy z korbką, jego tradycja sięga kilkuset lat.

Kulturalny Desant: tak się nazywali. Wędrują wzdłuż frontu, odwiedzają oddziały, grają i śpiewają. Desant tworzą ludzie, których poza doświadczeniem wojennym łączy fach z przeszłości: przed lutym 2022 r. byli artystami. Jedni grali muzykę tradycyjną, inni rap. Jak Yarmak, dawniej bożyszcz (miliony odsłuchań), dziś „dronczyk” (operator drona). Są poeci i pianiści, i aktorzy teatru marionetek. „Nasza broń to sztuka i miłość do własnej kultury – piszą w sieci. – Podtrzymujemy bojowego ducha, jednoczymy kulturą, udowadniamy, że fajnie jest być Ukraińcem”.

ANIOŁ | Śledzą wzrokiem za dłońmi Taisji. Jako jedyna w grupie, Taisja nosi cywilne ubranie. Rozkłada pudełko z piaskiem i kilka teatralnych lalek, robionych ręcznie. Gdy zaczniesz mówić, towarzyszyć jej będzie gitara Saszy.

– Występuję także przed dziećmi, one wiedzą, że jeżdżę do was. Proszą, żeby coś przekazać wam, bohaterom. Jeśli bohaterowie są gotowi, to przekazuję. Gotowi? W takim razie proszę o uwagę. To od dzieci dla was! – Taisja unosi dłonie i macha do nich, bohaterów. Z uśmiechem dziecka: szerokim, szczerym. W odpowiedzi na zdezorientowanych początkowo twarzach poja-

wiają się uśmiechy. Ktoś reaguje machaniem.

– Wyobraźcie sobie przestrzeń, gdzie nie ma nic prócz piasku i wiatru. Zjawia się tam Anioł. Tak go nazywam, bo przypomina mi Anioła, a wam? – Figurka w rękę Taisji zaczyna żyć. – Myśli sobie, po co się tu zjawił? Czemu wszyscy wokół cały czas czymś się zajmują? Usiadł nasz Anioł i czas przestał dla niego istnieć. Wiecie, o co chodzi, kiedy tak siadasz i nic nie robisz. Jak długo tak można? Skoro u dorosłych to niemożliwe, siedzieć tak wiecznie, to wyobraźcie sobie, jak bardzo niemożliwe u dzieci. Od razu za coś się zabiorą, np. zaczną rysować na tym piasku. Jeśli przypomnimy sobie, jak to jest być dzieckiem, może uda nam się coś znaleźć. Na przykład historię o Człowieku.

ŻYJ! | Obok teatru lalek, który budzi u widzów różne emocje (wzruszenie, uśmiech, zadumę), Kulturalny Desant to głównie koncerty.

Cel ma dwojaki. Chwila wytchnienia to jedno, najważniejsze. Drugie: pokazać ukraińską kulturę, jej korzenie. I tak, „Pieśń o świętym Juriju”, wykonaną przez Artura na lirze korbowej, poprzedzi opowieść o kobzarach: pieśniarzach, którzy wędrowali niegdyś po ukraińskich opłotkach. Jak teraz ludzie z Kulturalnego Desantu wzdłuż frontu.

– Człowiek również znalazł się w przestrzeni, gdzie nie było nic prócz wiatru i piasku – na końcach sznurków, pociąganych palcami Taisji, z kopczyka piasku wyłania się kukielka, błada i apatyczna. – Nie wiedział, kim jest i po co żyje, więc spojrzał w piasek, by przypomnieć sobie swoją przeszłość. Albo dowiedzieć się, co będzie. Albo zrozumieć świat. Ale nie zobaczył nic prócz piasku. Inaczej niż Anioł Człowiek nie mógł po prostu stanąć. Wiatr zwał go z nóg. I co dalej? Wstał – powtarza Taisja za jednym z żołnie-

rzy. – Bo Człowiek zawsze walczy o swoją drogę. Ale gdy znów upadł, przestał już wstawać.

– Anioł zauważył Człowieka. Zaciekawiał się i krzyknął: oho, Człowiek! To musi być wolna istota. Tak, taki wolny Człowiek bardzo mi się podoba, chcę mu się przyjrzeć. Ale jeśli przyjrzeć się bliżej, można zauważyć, że jemu jest... smutno? Ale dlaczego smutno, przecież ma tyle wolności. Może dlatego, że nikt się z nim nie bawi? Wiem, jak temu zaradzić. Hej, zaraz zagramy w grę! Zakrywam oczy i liczę do pięciu, a ty, Człowieku, zacznij coś robić, kiedy nie będę patrzeć. Gotowy? Raz, dwa... Otwieram oczy i patrzę, a nie zrobiłeś nic. Może nie zrozumiałeś zasad gry? Dawaj, jeszcze raz. Człowieku, nie możesz tak po prostu siedzieć i nic nie robić! Powinieneś gdzieś iść, zaciekawić się czymś! Powinieneś żyć, Człowieku! Jak mogę ci pomóc? Mogę cię podnieść, znajdę twoją drogę. Może tu, może tam... – Oczami Anioła widzowie rozglądają się po przestrzeni piasku i wiatru. – Dawaj, Człowieku, zasłonię cię moim skrzydłem od wiatru. Przejdziemy razem twoją drogę.

TAISJA | – Myślę, że wielu z nas towarzyszy taki Anioł – Taisja rozgląda się po twarzach, teraz melancholijnych, choć uśmiechniętych. Niektórym szklą się oczy. – Jak myślicie, kim on może być? Albo: co to jest? Śmiało, nie ma jednej odpowiedzi.

– Słyszę od żołnierzy różne propozycje – powie mi potem Taisja, lat 24. – Zwykle: wiara, nadzieja, miłość. Dziś usłyszałam coś nowego: żołnierzy wskazali swojego dowódcę.

– Tak naprawdę to oni nadają serce tej sztuce, którą gram – dodaje.

Spektakl wyreżyserował Walera Dzech, założyciel charkowskiego Małego Teatru Marionetek. Teraz Walera jest w Kulturalnym Desancie. – A ja jestem tu wolontariuszką – mówi Taisja.

Pytam, czy boi się reakcji żołnierzy. – Bałam się na początku. Zaczynałam od spektakli dla dzieci. Jeździliśmy z występami po terenach, które były wcześniej pod okupacją.

– Dla żołnierzy to może być jak powrót do dzieciństwa – zastanawia się. – Gdy pierwszy raz miałam wystąpić przed wojskiem wraz z Desantem, w samochodzie cały czas pytałam chłopaków: jacy



Artur
(z lewej)
gra na lirze
korbowej
„Pieśń
o świętym
Juriju”



Taisja
– jedyny
cywil
w grupie
Kulturalny
Desant



Anton
(z prawej)
– w cywilu
frontman
lwowskiej
grupy Joryj
Kłoc,
czerwiec
2024 r.

oni są? Bo to różne rzeczy, spektakl dla zwykłego widza, dla dziecka z wyzwolonej wioski czy dla żołnierza. Zaczynamy więc występ. Część chłopaków z oddziału saperskiego spóźniła się i jak już przyszedli, to podpici. Zaczęły się śmiechy, no bo co my gadamy, z czym do nich przyjechaliśmy? Z lalczkami i pudłem piasku? Co to ma być?

Taisja: – Oni nie widzieli rodzin przez dwa lata, są znużeni wojną. Rozumiem taką reakcję. Dlatego metodą prób i błędów doszliśmy w końcu tego, że najlepszy jest dialog. Bo jeśli będę przyjeżdżać, aby opowiedzieć im jakąś bajeczkę, to nie zadziała. Najlepiej jest opowiadać i w trakcie zadawać pytania. Staram się łapać ich spojrzenia. Ludzie rzadko patrzą w oczy, wolą po prostu słuchać. Dziś się udało, odpowiadali, uśmiechali się.

WIĘŻ | Anton, od niedawna członek Kulturalnego Desantu, wcześniej służył w piechocie. Był pod Chersoniem, Bachmutem, Kupiańskiem. W cywilnym życiu jest frontmanem lwowskiej grupy Joryj Kłoc, która gra folk na granicy współczesnych gatunków („ukraińska obzędowa hip-hop-daj-Boże-etno-czort-wataha”, tak o sobie mówią). W 2022 r. grupa była w Polsce na festiwalu w Gorajcu (co odnotował w swej relacji autor „Tygodnika”).

Wojna nie zakończyła jego grania, w trakcie przepustek wyrwał się, by koncertować. Teraz kontuzja, której nabawił się, obsługując moździerz, sprawiła, że jego bronią są instrumenty i własny głos. A ten ma mocny. Siada okrakiem na drewnianej skrzyni, improwizowanym bębnie, i – zanim zacznie śpiewać przed braćmi – zaczyna od opowieści.

– Mamy w sobie prastarą energię naszych przodków – mówi Anton publiczności.

I wspomina moment, gdy poczuł więź z przodkami. To było na kierunku chersońskim. Tam tylko step i kurhany. Tylu kurhanów w jednym miejscu Anton nigdy nie widział.

Miejscowość nazywała się Kamiańska Sicz – to jedno z miejsc nad Dnieprem, gdzie kilkadziesiąt lat temu istniały sicze, kozackie obozy. Tam w stepie chowali się przed rosyjskim ogniem.

– I tam poczułem, że ochraniają nas nasi kozaccy przodkowie. ©



Serhij Koreniew, wicemerc Mikołajowa, prezentuje swoje miasto na konferencji w Berlinie, czerwiec 2024 r.

Kiedyś będzie przepięknie

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z BERLINA

Choć rosyjskie rakiety wciąż spadają na Ukrainę, Zachód planuje już wielką odbudowę. Tym razem także Polska wydaje się przygotowana.

WOŁODYMYR ZEŁENSKI W UBIEGŁYM tygodniu przybył do Berlina, by wziąć udział w Konferencji Odbudowy Ukrainy. Mieszkańcy na tę wizytę reagowali głównie frustracją: ze względów bezpieczeństwa zamykano ulice, sparaliżowany został transport publiczny. Stłoczeni w porannych godzinach na peronach miejskiej kolejki, głośno wyrażali swoje zdanie na temat ukraińskiego przywódcy. – Niech wraca do domu – to jedna z niewielu zasłyszanych wypowiedzi, która nadaje się do cytowania.

Nerwy można jakoś zrozumieć. Sporo mieszkańców Berlina spóźniło się do pracy. Problemy te błędną jednak, gdyby

zestawić je z codziennością ukraińskich miast.

NOWY MIKOŁAJÓW | – Teraz jest w miarę bezpiecznie, na nasze miasto leci tylko kilka rakiet w miesiącu – mówi „Tygodnikowi” Serhij Koreniew, wicemerc Mikołajowa, obwodowego miasta w południowej Ukrainie. W każdej unijnej stolicy wystarczyłaby jedna raketa, by wzbudzić masową panikę. Tymczasem dla Mikołajowa to w miarę spokojny czas.

Po zajęciu sąsiedniego Chersonia, wiosną 2022 r. siły rosyjskie próbowały zdobyć także Mikołajów. Ofensywę udało się odeprzeć, ale skutki walk są widoczne do dziś. Tysiące budynków zostało uszkodzonych, w tym szkoły. Część dzieci do dziś uczy się zdalnie. Rosjanie zniszczyli ujęcia wody pitnej, mieszkańcy muszą czerpać ją w wyznaczonych punktach. – Przez osiem godzin dziennie nie ma prądu – opisuje Koreniew.

Miastem postanowił zaopiekować się rząd Danii. Wcale nie symbolicznie: dzięki duńskiemu wsparciu w wielu budynkach znów zjawyły się okna, do użytku przywrócono jedną ze szkół. Przy pomocy międzynarodowych partnerów tworzone są urbanistyczne plany, które przedstawiciele miasta przywieźli do Berlina. W planach jest rewitalizacja stoczni (w Mikołajowie, który przez szeroko rozlaną rzekę Boh ma dostęp do Morza Czarnego, jest ich kilka). Powstać ma nowy park przemysłowy.

Powojenny Mikołajów na komputerowo wygenerowanych prezentacjach prezentuje się spektakularnie. Tylko że to wciąż plany, a Rosjanie są wciąż blisko. Miasto leży kilkadziesiąt kilometrów na północ od linii frontu, którą stanowi naturalna linia Dniepru. Wróg kontroluje ruch wodny, port w Mikołajowie jest zaatakowany. Ryzyko jest za duże, by już teraz inwestować w ambitne pomysły.

CZY TO MA SENS? | – W tym momencie wciąż nie może być mowy o klasycznej powojennej odbudowie. Dziś idzie o to, by utrzymać Ukrainę przy życiu – mówi „Tygodnikowi” Nico Lange, jeden z najbardziej cenionych w Niemczech analityków ds. Ukrainy i bezpieczeństwa.

Lange nie ma wątpliwości: przyszłość Ukrainy zdecyduje się na polu bitwy. Mimo to docenia nacisk, jaki w Berlinie położono na kwestię przyszłej odbudowy. – To ważne dla ludzi, którzy tu przyjechali – podkreśla. Lange wskazuje, że większość zagranicznych delegacji jadących do Ukrainy odbywa standardowy kurs pociągiem do Kijowa i z powrotem. W trakcie berlińskiego forum samorządowcy z Zaporozża, Czerniowców czy Mikołajowa mogli choć przez dwa dni poczuć światowe zainteresowanie i wsparcie.

Podobnie widzi to Wojciech Konończuk, dyrektor Ośrodka Studiów Wschodnich (OSW), uczestnik konferencji: – Ważne jest utrzymanie kwestii odbudowy na agendzie międzynarodowej. Również społeczeństwo Ukrainy potrzebuje takich sygnałów.

Stąd liczą się też punktowe symbole, wskazujące kierunek rozwoju po wojnie. Z pomocą międzynarodową remontowane są pojedyncze szpitale, mosty, przedszkola. Wielka odbudowa to pieśń przyszłości. – Wielkie grupy kapitałowe i fundusze inwestycyjne zajmują już pozycje startowe, ale nie otwierają jeszcze kiesy – mówi Konończuk „Tygodnikowi”.

TERAZ BĘDZIE INACZEJ | Powojenna odbudowa to nie tylko altruistyczne pobudki i marzenia. Biznes i świat polityki kalkulują i czekają, by zarobić. Polska już raz miała dostać swój kawałek powojennego tortu: dwie dekady temu polski rząd przekonywał, że za udział w inwazji USA na Irak polskie firmy dostaną kontrakty. Końców nic z tego nie wyszło.

– Porównanie z Irakiem jest nieadekwatne – mówi „Tygodnikowi” Radosław Sikorski, jeden z głównych gości w Berlinie. – Polska ma gigantyczne atuty. Rzeszów już jest hubem logistycznym dla wojska i pomocy zbrojeniowej – minister dyplomacji jest przekonany, że Polska stanie się ośrodkiem odbudowy wschodniego sąsiada.

– Istnieje prosty powód, dlaczego polscy przewoźnicy zdominowali przewozy z Europy Zachodniej na tereny byłego Związku Sowieckiego. Nasi są odważniejsi w podróżowaniu i inwestowaniu – dodaje Sikorski z łobuzerskim uśmiechem. – W Ukrainie działają polskie firmy, które nie dały drapak, funkcjonują dalej i będą się rozwijać. Wolumen transportu przez polską granicę w stronę Ukrainy w czasie wojny nawet wzrósł.

Również Wojciech Konończuk jest przekonany, że nie będzie można odbudować Ukrainy bez Polski: – Jesteśmy kluczowym państwem tranzytowym, a skala potrzeb ukraińskich będzie ogromna. Takie materiały jak okna, płytki, glazura, rury, wszystko, co jest potrzebne do prac budowlanych, łatwiej będzie kupić w Polsce niż we Francji czy Portugalii.

BARDZO WIDOCZNI | Kluczowym pytaniem pozostaje, czy polskie firmy będą podwykonawcami zachodnich koncernów, czy też będą samodzielnie realizować duże kontrakty? Polityczne decyzje w tym zakresie podejmować będzie specjalna platforma utworzona przy grupie państw G7. Można zostać jej członkiem, ale wejście do tego grona kosztuje okrągły miliard dolarów. Tyle trzeba przeznaczyć na odbudowę Ukrainy. Obecnie Polska wydała na ten cel 100 mln dolarów.

Niemcy, organizując z pompą konferencję, chcieli zaznaczyć, że są i będą liderami procesu odbudowy. Ale również polskie ambicje były w Berlinie bardzo widoczne. Liczni politycy, samorządowcy i przedstawiciele biznesu znad Wisły stanowili trzecią co do wielkości grupę narodową po Niemcach i Ukraińcach. To zasługa wielu polsko-niemieckich spotkań roboczych, które miały miejsce w ostatnich miesiącach.

– Proces odbudowy Ukrainy jest próbą przekroczenia pewnego pułapu niemożności dla polskich firm – twierdzi Paweł Kowal, przewodniczący polskiej Rady ds. Współpracy z Ukrainą. Kowal zapew-

nia w rozmowie z „Tygodnikiem”, że pod jego nadzorem ruszą szkolenia dla polskich firm, które chcą zaangażować się w inwestycje za wschodnią granicą.

RZETELNY RYNEK | Polski biznes nie wycofał się z Ukrainy po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji także dzięki dyskretnemu, ale odważnemu wsparciu instytucji państwowych. Katarzyna Kowalska, wiceprezesa Korporacji Ubezpieczeń Kredytów Eksportowych (KUKE), mogła podczas dyskusji w Berlinie bez kompleksów promować działania swojej instytucji z pozycji światowego czempiona.

– To, w czym od początku inwazji jesteśmy liderem, to ubezpieczanie eksportu do Ukrainy. Polscy eksporterzy, którzy wysyłają tam towar z odroczonym terminem płatności, ubezpieczają się na wypadek, gdyby nie otrzymali na czas zapłaty – tłumaczy Kowalska „Tygodnikowi”.

W ciągu dwóch lat od rozpoczęcia inwazji KUKE ubezpieczyła polski eksport wartości około miliarda dolarów. – Jak pokazują nasze dane, rynek ukraiński wcale nie okazuje się ryzykowny, a ukraińscy odbiorcy rzetelnie płacą swoje zobowiązania. W tym samym okresie musieliśmy wypłacić więcej odszkodowań w związku z upadłościami firm w Niemczech – mówi Katarzyna Kowalska. – Nasze działania wspierają ukraińską gospodarkę, bo bez tych dostaw z Polski, które ubezpieczamy, gorzej byłoby zaopatrzenie tamtejszego rynku.

INWESTYCJE DŁUGOTERMINOWE | KUKE wraz z Bankiem Światowym finalizuje obecnie transakcję ubezpieczenia jednej z polskich inwestycji w Ukrainie od ryzyka wojny. Szczegóły nie mogą trafić do mediów. Nawet w normalnych warunkach biznes potrzebuje ciszy. Tymczasem każda nowa inwestycja na terenie Ukrainy to dziś ryzyko zupełnie innego wymiaru – na taki obiekt może przylecieć rakietą. Objęcie takich działań ubezpieczeniem jest mocnym sygnałem politycznej woli.

Polski ubezpieczyciel prowadzi też rozmowy o przyszłej współpracy, gdy rozpocznie się docelowa faza odbudowy, czyli remonty dróg, kolei, szpitali i całej infrastruktury.

Katarzyna Kowalska: – To będą inwestycje długoterminowe i będziemy starać się to robić razem z podmiotami z innych krajów. Przykładowo Polska i Niemcy po-

dzielać się ryzykiem i zaoferują ubezpieczenie jakiegoś projektu w ramach odbudowy, ale jego realizacja będzie prowadzona partnersko, np. firma niemiecka będzie odbudowywać szpital, ale drzwi, okna i sprzęt medyczny zostanie zakupiony w Polsce.

POWRÓT NA ZIEMIĘ | Słuchając o tych wszystkich pozytywnych przykładach oraz o kolejnych deklaracjach wsparcia, można było odnieść wrażenie, że Ukraina znajduje się na drodze jednokierunkowej – ku rozwojowi i niekończącym się perspektywom. Tymczasem sytuacja na miejscu jest bardziej niż trudna. Zmasowane ataki rakietowe, które Rosja systematycznie prowadzi od marca, doprowadziły do zniszczenia większości infrastruktury energetycznej kraju (o czym więcej pisaliśmy w poprzednim numerze „TP”).

– Musimy reagować niekonwencjonalnie – apeluje Nico Lange. – Nie tylko trzeba jak najszybciej naprawić uszkodzone elektrownie. Ale też nasze elektrownie, których nie potrzebujemy w Niemczech, trzeba rozmontować i następnie zmontować na terenie Ukrainy. Przecież generatory nie zaopatrzą w energię np. wielkich zakładów stalowych. Kolejne dokumenty tworzone przez polityków też nie. A jak gospodarka stanie, to wielu Ukraińców znów zacznie myśleć o opuszczeniu kraju – argumentuje Lange.

I tak oto jednym z głównych wniosków konferencji, która ma dotyczyć odbudowy, okazuje się pilna potrzeba wzmocnienia militarnego Ukrainy, by mogła lepiej bronić swojej przestrzeni powietrznej. – Ukraińcy potrzebują od nas amunicji do obrony powietrznej, systemów przeciwdronowych i pomocy w naprawie czołgów oraz wozów bojowych – wylicza Lange.

Podczas pobytu Zełenskiego w Berlinie niemieckie władze obiecały przekazanie Ukraińcom kolejnego zestawu Patriot i amunicji do systemów obrony przeciwrakietowej. – Teraz musimy przede wszystkim przyspieszyć produkcję w sektorze zbrojeniowym, aby można było usprawnić wysyłkę pomocy militarnej Ukrainie – uważa Lange.

Inaczej na kolejnej, przyszłorocznej międzynarodowej konferencji trzeba będzie planować odbudowę na jeszcze większą skalę. ©

W sieci kłamstw

EVANNA HU, EKSPERTKA NATO:

Narzędzia sztucznej inteligencji dają nowe i wielkie możliwości autorom dezinformacji i propagandy. Ale nie jesteśmy bezbronni.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI: Wygląda na to, że mamy idealne warunki dla masowego szerzenia dezinformacji. Trwają dwa światowe konflikty z udziałem mocarstw. Czy to przekłada się na sieć?

EVANNA HU: Obie wojny, na Ukrainie i Bliskim Wschodzie, podkreślają znaczenie operacji informacyjnych i to, jak powszechne są one w sieci. Ale nie sądzę, aby było to coś nadzwyczajnego. Operacje wpływu online, prowadzone na wielką skalę, zaczęły pojawiać się podczas globalnej wojny z terroryzmem, ale teraz ludzie są ich bardziej świadomi. Sama dezinformacja jest stara jak ludzkość.

Pojawienie się narzędzi generatywnej sztucznej inteligencji [tworzy ona teksty i obrazy na podstawie danych, na których jest szkolona – red.], jak ChatGPT, wywołało obawy, że teraz wszystko może być sztucznie tworzone i tracimy wiarę w podstawy rzeczywistości. To naprawdę tak duża zmiana?

Podzieliłabym to pytanie na dwie części: jak te narzędzia wpłynęły na tworzenie treści, a jak na ich rozpowszechnianie.

Dzięki generatywnej sztucznej inteligencji możesz stworzyć lepszy deepfake. Przykład: możesz odtworzyć głos Bidena i wykorzystać go do obdzwaniania wyborców w prawyborach w New Hampshire.

To miało miejsce kilka miesięcy temu.

Jednak na razie takie działania mają mniejszą skalę, niż obawiało się wielu ekspertów. Nie znaczy to jednak, że oni

niepotrzebnie biją na alarm. Po prostu jeszcze nie nadszedł ten czas. To dobrze, bo mimo upływu 10 lat, które spędziłyśmy na rozmowach o zagrożeniach ze strony takich sztucznych mediów, wciąż nie mamy na nie dobrego sposobu.

Aktualny przykład wykorzystania deepfake'ów na dużą skalę to wybory w Pakistanie. Główny kandydat opozycji, Imran Khan, podczas kampanii siedział w więzieniu, wyraził więc zgodę na tworzenie deepfake'ów na swoje podobieństwo, by móc uczestniczyć w kampanii. To przykład legalnego wykorzystywania sztucznej inteligencji.

A problem rozpowszechniania treści?

Sztuczna inteligencja może być niezwykle pomocna w szerzeniu dezinformacji. Można ją wykorzystać do tworzenia botów i całych ich sieci oraz do prowadzenia fałszywych kont.

Jedna osoba może monitorować np. 10 tysięcy fałszywych kont.

Podczas amerykańskich wyborów w 2016 r., w które Rosja ingerowała, jedna osoba z rosyjskiej Agencji Badań Inter-

netu – eufemistyczna nazwa – monitorowała najwyżej 20 kont. Teraz ta liczba może wzrosnąć dramatycznie.

Jak duży to problem?

To zależy od firm prowadzących platformy mediów społecznościowych i komunikatory. Wykrywanie fałszywych kont nie stanowi problemu technologicznego. Pytanie brzmi, czy one powinny być usuwane i czy firmy prowadzące media społecznościowe są skłonne podejmować realne działania, czy tylko zasłaniają się pustosłowiem.

Mieliśmy w Europie falę protestów rolników. Czy mogli wpływać na nie zewnętrzni aktorzy? Czy takie protesty mogą być narzędziem dezinformacji?

Oczywiście – najlepsza operacja informacyjna to nie taka, którą tworzysz z niczego, lecz taka, która opiera się na wykorzystaniu istniejących problemów. Rolnicy mają swoje realne problemy, których Rosja nie wymyśliła. Dołożyła jedynie więcej paliwa do ognia.

Udane działania wpływu muszą odpowiadać rzeczywistości przeżywanej przez



DAWID MACHECKI / NOWINY.PL / EAST NEWS

Protest rolników w Gorzyczkach (woj. śląskie), luty 2024 r.

docelową populację. Wykorzystanie istniejących napięć pozwala tworzyć przekazy, które są skuteczniejsze i trudniejsze do podważenia.

Jak radzimy sobie, jako Zachód, z wymierzonymi w nas operacjami?

Jeśli mówimy tylko o zachodnich rządach, to radzą one sobie coraz lepiej. Ale czy jesteśmy tak dobrzy, jak byliśmy w czasie zimnej wojny? Absolutnie nie. Można powiedzieć, że przez ostatnich kilkadziesiąt lat miłośnicy odpowiadające za reagowanie na takie operacje uległy u nas atrofii i dopiero od niedawna znów próbujemy je ćwiczyć. Ale rządy faktycznie zaczęły nad tym pracować.

Problem w tym, że działania rządów są z natury powolne. Muszą przeanalizować problem, potem rok czy dwa zajmie powołanie zespołu do pracy nad nim, następnie znów upłynie sporo czasu, zanim znajdzie się rozwiązanie i dostosuje do niego prawo. To sprawia, że zachodnie rządy zaczęły prowadzić aktywne działania przeciw operacjom wpływu dopiero kilka lat temu.

Mówisz, że straciliśmy coś, co mieliśmy podczas zimnej wojny. Co to było?

Wtedy znaleźliśmy znaczenie operacji wpływu. W USA mieliśmy coś, co nazywa się Agencją Informacyjną USA. Przeznaczaliśmy też dużo pieniędzy na wspieranie niezależnych redakcyjnie mediów, jak Radio Wolna Europa czy Radio Swoboda. Ich obecny budżet jest niewiele wyższy niż za administracji Trumpa, gdy został zredukowany do zera.

Gdzie są dziś linie frontu bitwy informacyjnej?

Celem autorów dezinformacji jest tworzenie komór echowych [sytuacji, gdy człowiek spotyka tylko opinie odpowiadające jego poglądom – red.], a ostatecznie doprowadzenie ludzi do apatii. Zawsze łatwiej jest komuś powiedzieć, by nie wierzył w nic, niż żeby zmienił swoje poglądy. Oni starają się zasiać apatię i nieufność, zwłaszcza wobec demokratycznych instytucji. Pierwszym krokiem jest tu

przekonanie odbiorcy, że jego obecny światopogląd jest błędny. A jeśli zaczynam kwestionować mój światopogląd, nieuchronnie szukam innego. I znajduję go: na ich progu. Choć wydaje mi się, że sama podjęłam tę decyzję.

Mamy iluzję wolnego wyboru.

U podstaw całej koncepcji społeczeństwa demokratycznego jest wiara w wolną wolę. Dlatego to naprawdę sprytny sposób na jej przejęcie.

Kim są tu główni gracze? To państwa czy organizacje, jak swego czasu Państwo Islamskie, mocno obecne w mediach społecznościowych?

Widzimy wielu niepaństwowych aktorów, ale ci, którzy nas teraz martwią, są sponsorowani przez państwa. Jeśli spojrzymy na to, co dzieje się wokół konfliktu w Gazie, na Hamas czy Hezbollah, to większość ich ludzi od mediów społecznościowych i komunikacji strategicznej zostało przeszkolonych przez Irańską Akademię Mediów Społecznościowych.

Głównymi graczami są dziś prawdopodobnie Iran, Rosja, Chiny. Ale operacje wpływu coraz częściej prowadzą też cyberprzestępcy: gangi zarabiają, sprzedając w mrocznej sieci dezinformację jako usługę.

To duży biznes?

Nie ma zbyt wielu twardych danych. Ale gwarantuję, że jeśli potrzebujesz dezinformacji jako usługi, możesz ją znaleźć.

Ile to kosztuje?

Poniżej 10 tys. dolarów za bardzo dobrą kampanię w języku angielskim. Inne języki mogą kosztować więcej.

Powinniśmy się martwić, że narzędzia, które pozwalają tworzyć deepfaki i inne treści generowane przez sztuczną inteligencję, są coraz bardziej zaawansowane?

Każdego narzędzia można użyć do złego lub dobrego. Ta sama technologia może służyć także do zwalczania dezinformacji. Ale mamy ogromną

książki POWSZECHNE

Literatura potrafi zmieniać świat, bo dzięki niej stajemy się uważniejsi, bardziej krytyczni i dociekliwi. Uczymy się patrzeć oczami innych ludzi, wychodzić poza jednostkowe horyzonty myślenia i wartości. Jednak każda lektura domaga się rozmowy, bo literatura działa najlepiej, gdy wydarza się między ludźmi.

Dlatego zapraszamy na cykl spotkań i dyskusji **Książki Powszechne**, organizowany (bardzo po krakowsku) przez „Tygodnik Powszechny” i Wydawnictwo Literackie.

Na początek spróbujemy odpowiedzieć na pytanie: Jak dzisiejsza literatura opisuje wchodzenie w dorosłość młodych ludzi?

Gośćmi spotkania będą **Łukasz Barys** („Kości, które nosisz w kieszeni”, „Małe pająki”) oraz **Anna Cieplak** (m.in. „Ma być czysto”, „Rozpływaj się”, „Ciało huty”), a rozmawiać z nimi będzie redaktorka „Tygodnika” **Monika Ochędowska**.



26 czerwca, godzina 19:00
LOKATOR coffee & books,
ul. Mostowa 1, Kraków



**WYDAWNICTWO
LITERACKIE**

→ dysproporcję wydatków. Generatywna sztuczna inteligencja opiera się na 40 latach badań, w które zainwestowano biliony dolarów. A jeśli spojrzeć na drugą stronę problemu, na wykorzystanie tej technologii do wykrywania mediów syntetycznych, ta przestrzeń istnieje dopiero od jakiejś dekady, a inwestycje w nią są ograniczone. Na to musimy położyć większy nacisk.

Nowe rozporządzenie Unii dotyczące sztucznej inteligencji nakazuje mediom oznaczać treści tak generowane. Ale to dotyczy tylko legalnych podmiotów. Pomysł polityków to chyba: zmuszamy firmy do robienia czegoś z tym problemem, skoro to one go stworzyły. Co jeszcze można zrobić?

Rządy muszą pogodzić się z tym, że w przypadku nowych technologii znalazły się w niespotykanej wcześniej sytuacji, tj. że nie mogą ich kontrolować. To jeden z pierwszych przypadków, gdy taka technologia była rozwijana i finansowana bez kontroli rządów. Prywatny sektor zainwestował w sztuczną inteligencję dużo więcej niż rządy. Stąd politycy czują się nieswojo.

Tymczasem rzecz osiągnęła już taką skalę, że należy ją uznać za istotny problem społeczny. Społeczeństwa muszą pociągnąć korporacje do odpowiedzialności, ale tego nie robią. Rządy nie współpracują w tej sferze wystarczająco z organizacjami społeczeństwa obywatelskiego.

Tymczasem gdy spojrzymy na kwestie związane ze zmianami klimatu – czyli kolejną kwestię, której rządy nie są w stanie kontrolować – widać, jak szybko ton rządzących zmienił się, gdy tylko społeczeństwo powiedziało: „dość, nie chcemy żyć na takiej planecie, zróbcie coś”. Ale inicjatywa nie wyszła od rządów, ich działania były opóźnione względem zmiany postaw społecznych. Do podobnych przemian musi dojść w środowisku informacyjnym.

Waga problemu jest podobna jak w przypadku zmian klimatu?

Nawet większa, bo atak na nasze bezpieczeństwo poznawcze wpływa na to, jak podejmujemy wszystkie decyzje, w tym te dotyczące zmian klimatu. Jeśli żyjesz we własnej „bańce”, jak niektórzy ekstremiści, możesz wciąż nie wierzyć



ARCHIWUM PRYWATNE

EVANNA HU jest ekspertką NATO i Rady Atlantyckiej, od lat bada radykalizację i to, jak napędzana jest ona przez komputerowe algorytmy. Firma Omelas, którą zarządza, wykorzystuje sztuczną inteligencję do identyfikowania zagrożeń informacyjnych w sieci. Hu gościła w Warszawie na zaproszenie ambasady USA.

w zmiany klimatu i nie podejmować tu żadnych działań.

Jak przebić się do takich „baniek”?

Z takimi ludźmi trzeba pracować indywidualnie. To wynika z naszych doświadczeń z deradykalizacji neonazistów w Skandynawii. Zdaliśmy sobie sprawę, że jedynym sposobem, by na nich wpłynąć, jest traktowanie ich jako jednostki. Każdy jest osobnym przypadkiem, każdy ma przypisanego pracownika socjalnego. Nie są traktowani jak wielka grupa, do której kieruje się jedynie zbiorowe komunikaty.

Gdy zaczynasz rozmawiać z kimś z drugiej strony barykady, szybko zdajesz sobie sprawę, że niezależnie od naszych poglądów wszyscy pragniemy tych samych trzech rzeczy: chcemy być szczęśliwi, zdrowi i chcemy, by nasze dzieci miały lepiej niż my. Drogi do osiągnięcia tych celów są tym, co nas różni. Siedziałam przy stole z terrorystami, którzy chcieli rozmawiać głównie o tym, że ich roczne dziecko właśnie zaczęło chodzić. To był ich powód do dumy. Musimy być w stanie jakoś odłożyć na bok wiele naszego gniewu i frustracji. Ale nie sprzyja temu to, jak funkcjonuje nasze społeczeństwo.

Kogo więc powinniśmy edukować jako pierwszych? Wyborców, dziennikarzy czy polityków?

Powinniśmy uczyć ludzi krytycznego myślenia i wiedzy o mediach, aby budować ich odporność. Powinniśmy szkolić dziennikarzy, jak rozpoznać dezinformację i jak o niej informować bez dalszego jej szerzenia.

Ale tym, co przede wszystkim musi się zmienić, jest fundament funkcjonowania mediów społecznościowych, oparty na skupianiu ludzkiej uwagi i sprzedaży reklam. Inaczej zawsze najskuteczniejszym sposobem na sprzedaż reklam będzie pokazywanie ludziom treści budzących złość i gniew, bo na te emocje najsilniej reagujemy. Model reklamowy wykorzystuje nasze biologiczne dźwignie. Musimy znaleźć inny sposób na komunikację.

Powinniśmy też wrócić do uczenia etyki. Wiele uczelni wprowadziło już zajęcia z niej na kierunkach informatycznych. Tak jak studenci medycyny muszą uczyć się etyki, by zostać lekarzami, tak powinni ją rozumieć ludzie kierujący projektami informatycznymi.

Bo oni kształtują to, jak działa społeczeństwo.

Tak. I często sprowadza się to do tego jednego inżyniera czy menadżera, który chce zrobić coś, czego nikt wcześniej nie robił. Jeśli nie znają etyki, to nie mają tego cichego głosu z tyłu głowy, który im podpowie, kiedy coś nie jest dobrym pomysłem.

Jakie są scenariusze na przyszłość?

Problem będzie się pogłębiał, dopóki korporacje nie zaczną się nim naprawdę przejmować. A nie będą się nim przejmować, dopóki dezinformacja nie zabije wielu ludzi. Ona już zabija – przez wojny, nękanie, samobójstwa. Ale nie osiągnęliśmy jeszcze niestety progu, na którym to mobilizowałoby firmy do działania.

Problemem jest też to, że zawsze rozmawiamy o narzędziach. Tymczasem to jest tak, jak z cyberbezpieczeństwem: możemy dać ludziom wszystkie narzędzia do obrony przed hakerami, ale ostatecznie to oni muszą zmienić swoje zachowanie. Bo jeśli ustawiasz swoje hasło „12345”, nikt nie jest w stanie ci pomóc i najlepsze narzędzia nie mają wtedy znaczenia.

© Rozmawiał WOJCIECH BRZEZIŃSKI

ELIZA

Kącka: Szybki self z powstaniem



KOSZT KLIKANIA W SIECI – PRZYCHODZI wiadomość: „Szanowna Pani, przeczytała Pani artykuł dedykowany stresowi i przemęczeniu. Artykuł ten odsyła do strony, która posiada intencję pomocy osobom wchodzącym w nasz link. Jeśli

trapi Cię stres potrzebujesz, roślinnej przemiany. Posiadamy komponenty pozwalające likwidować przyczyny stresu, a nie tylko jego przejawy. Są w stu procentach wegetatywne i nie posiadają źródła odzwierzęcego. Nie czekaj, Eliza Kącka, użyj linku zamawiającego ofertę dopasowaną do własnego poziomu stresu. Tylko do piątku promocja sięga nawet dwie trzecich ceny”.

AUTOBUS 116, W MOJEJ PAKAMERZE SIEDZENIOWEJ TRZY DZIEWCZYNY W WIEKU STUDENCKIM. „Majka, idziesz jak burza”. „No daj spokój, mam po dziesięć polubień”. „Idziesz jak burza. Ja muszę sobie jeszcze udostępnienia załatwić”. „No ale ty masz setki lajków”. „Słuchaj, to mało. Muszę podbić zasięgi na instagramie”. „Instagrama to ja nawet nie mam”. „Nie masz? Dziwne. Ale spoko, idziesz jak burza”.

KOŁOBRZEG, PERYFERIA, WCHODZĘ W WYLOTOWĄ. PRZED Mną czteroosobowa grupa – na oko – sześćdziesięcioletków. Gość w kapeluszu wędkarskim: „Widzieliście już morze?”. Gość w klapkach: „Jeszcze nie”. Kobieta z kijkami: „A ono gdzie jest?”. Klapkowy: „No przy brzegu”. Wędkarski: „Fajnie, a gdzie tu masz brzeg?”. Kobieta w sandałach: „Pewnie za drzewami”. Kijkowa: „To daleko? Kolana mi stanęły”. Klapkowy: „No gdzie te psu braty Bałtyk schowały”. Sandałowa: „Mnie martwi, że szumu nie słyszać”. Klapkowy: „Fakt, coś za cicho tutaj”. Sandałowa: „To jednak fura wody”. Wędkarski: „Jakbym ja miał morze, to by je było widać”. Klapkowy: „Spytam w sklepie”. Kijkowa: „Ja wyżej pół kilometra zwalnim się z oglądania. Muszę kupić”.

KOŁOBRZEG, KRÓTKI SPACER, LODZIARNIA. KOCZUJĘ Z KOMPUTEREM przy stoliku, dłubię. Dosiada się para niemłodych, acz zażywnych letników. On: „Pracuje pani”. „Aha”. Ona: „My tu z mężem tylko odpoczywamy”. „To pięknie”. On: „W domu też odpoczywasz”. Ona: „Ale bez widoków”. On: „My pani przeszkadzamy. A co pani robi?”. „A warsztat pisarski prowadzę”. Ona: „Boże, to ciężkie!”. On: „A co się na takim warsztacie robi?”. „Czyta teksty, omawia...”. Ona: „Ale ci uczestnicy są zmuszeni?”. „W sensie?”. „Czy muszą

w tym uczestniczyć?”. „Nie. Piszą książki i chcą pokazać”. Ona: „Jak na polskim, nie znośłam tego”. On – zdetonowany: „Dużo chętnych jest?”. „A sporo”. On: „Zawsze tak było?”. „?”. „Ja się nie orientuję aktualnie. Trochę śledziłem Sienkiewicza”. „Hehe, to inne dzieje”. „On był po mojemu sprawny”. Ona: „Zasłużył na ekranizację”. On: „Ale po co tyłu pisarzy? Nawet ich nie sfilmują”.

WAGON CISZY, SIEDZĘ JAK NA IGLE, BO GOŚĆ PRZED Mną i gość po przekątnej mają najwyraźniej problem z każdym ruchem w okolicy. Od pięciu minut staruszka poszeptuje ze staruszką. Młody okręca się ku nim: „To jest wagon ciszy”. „No, toż cicho mówię” – staruszka na głos. „Tu się nie rozmawia. Ludzie chcą pracować”. „Szep tam, nie gadam”. Przez czas jakiś cisza zupełna. A tu moja dzinsowa kurtka zsunęła się z półki i wyśladowała między siedzeniami. Gość po przekątnej syknął: „Cholera”. Uśmiecham się: „Sabotaż”. Gość przede mną: „Jakbym wiedział, że tu tak będzie, kupiłbym normalny”. Młody znad paczki głośnożernych czipsów: „Tu i tak jest ciszej”. „Ale tam bym się nie napinał”.

AUTOBUS 503, WYCIEZKA WCZESNOSZKOLNA. STOJĘ W ŁĄCZNIKU. Dzieci na sąsiednich siedzeniach szczytują telefony albo się przekrzykują. Chłopiec balansujący w łączniku tuż przy mnie: „To się da zrobić w pół godziny”. Dziewczynka spod okna: „Puszczą nas potem?”. „Ja nie wracam do szkoły”. Chłopiec z siedzeń sąsiednich: „No, chyba nie puszczą. Babka mówiła, że mamy przeżywać”. Łącznikowy: „Czyli...?”. „No, nie wiem, pewnie spacerować całą lekcję”. „Co?! Dwaście minut maks”. Dziewczynka: „Ale tych tablic trzeba szukać”. Łącznikowy: „Już je zguglowałem. Dwie wiszą prawie obok siebie. Mam trasę na ajfonie”. Sąsiad dziewczynki: „Obie z 44?”. „Tak, dawajcie: szybki self z powstaniem i spadamy na pizzę”.

SIEDZĘ SOBIE I CZYTAM W ŁAZIENKACH. ZATRZYMUJE SIĘ dziewczyna w wieku licealnym. Pyta, czy może się przysiąść. „Mama mi pokazała fragment pani książki o lisie”. Książki o lisie? Zbiłam ją miną z tropu. „Napisała pani książkę, w której jest lis...”. „Aaa, no tak”. „Też mam tak z lisem”. „Czyli...?”. „Też mi pomógł. Na podchodach w podstawówce”. „O!”. „To tylko tak brzmi śmiesznie, ale było strasznie. Gubiłam się w lasku”. „U, też się gubiłam”. „Pani zna takie gry?!”. „Owszem. Tyle że nigdy solidnie nie zagrałam, bo miałam problemy oddechowe w biegach przez las”. „Aaa, no tak. A ja się gubiłam. I raz bardzo się bałam, bo błdziłam dobrą godzinę. I wtedy przyszedł”. „Lis?”. „Lis. Zaczęłam mówić »Aniele Boży« – i przyszedł. Zaprowadził mnie do grupy. Było już po konkursie, szukali mnie”. „Spóźnienie!”. „Zawsze się spóźniam. Ale później spotkałam lisa – nie wiem, czy tego samego – na grobie dziadka, kiedy poszłam z dziadkiem pogadać. Siedział schodek wyżej i patrzył się tak...”. „Jak?”. „Jakby się znali”. „Aha”. „Albo jakby mnie prześwietał. Wiedząco. Wie pani? Ja czasem myślę, że lis to nie zwierzę, to znak”.

©

KOREKTA BIOGRAFII



Jest uważany za asa wywiadu AK. Tymczasem z naszych ustaleń wynika, że Kazimierz Leski znacznie podkręcił swoją legendę. I przypisał sobie zasługi innych – w tym tych, co zginęli.

WŁADYSŁAW BUŁHAK, MARIUSZ OLCZAK

JEGO ZAGRANICZNE MISJE PO EUROPIE to w opinii wielu jeden z najbardziej sensacyjnych rozdziałów w dziejach polskiego wywiadu podczas II wojny światowej. Pewien historyk pisał, że Kazimierz Leski ps. „Bradł” zdobył plany osławionego Wału Atlantyckiego. Miał to uczynić w ten sposób, że „w mundurze generała Wehrmachtu jeździł wzdłuż północnego wybrzeża Francji i rozpoznawał jego sieć obronną”. Tym samym Leski miał wpłynąć na losy woj-

ny, a co najmniej na sukces alianckiego desantu w Normandii 80 lat temu.

W budowie tej narracji – opartej na książce Leskiego pt. „Życie niewłaściwie urozmaicone: wspomnienia oficera wywiadu i kontrwywiadu AK” (swego czasu była bestsellerem) – uczestniczył szereg poważnych historyków oraz instytucji, od Związku Bojowników o Wolność i Demokrację w czasach PRL-u aż po Muzeum Powstania Warszawskiego w wolnej Polsce. Także liczni dziennika-

rze chętnie kreowali „Bradla” na bohatera zbiorowej wyobraźni. Z czego też nie czynimy nikomu zarzutu – sami kiedyś ufaliśmy naszemu bohaterowi na słowo, zapominając, że gry, wcielenia i fałszywe tropy to element świata wywiadu, do którego bez wątplenia przynależał on całym sobą.

Weryfikowanie jego przeszłości jest tym trudniejsze, gdyż mowa tu o bezdyskusyjnym bohaterze: odznaczony w powstaniu warszawskim za odwagę, po 1945 r. żołnierz podziemia niepodle-

Gdyby wierzyć legendzie Kazimierza Leskiego, wpłynął on na losy wojny – zdobywając dla aliantów plany niemieckich umocnień nadbrzeżnych we Francji.

Na zdjęciu: żołnierze kanadyjscy lądują na plaży w Normandii, czerwiec 1944 r.

głościowego, przez komunistów został skazany w procesie pokazowym i w więzieniu spędził 10 lat, swoją postawą dając przykład innym więźniom. Wreszcie, już w wolnej Polsce, o autorytecie dla środowisk weteranów i całych pokoleń Polaków zainteresowanych historią.

PYTANIA | Chcemy odpowiedzieć na kilka podstawowych pytań, które pozwolą potwierdzić bądź rozwiać wątpliwości odnośnie do najbardziej spektakularnych szczegółów jego biografii. A zatem: jak Leski trafił do podziemnego wywiadu? Czy podróżował po Europie w niemieckim mundurze general-skim? Ile było tych podróży i kiedy? Czy udało mu się zdobyć plany Wału Atlantyckiego? Jak wyglądała naprawdę jego rola w budowie sieci łączności zagranicznej AK? Dlaczego Leski przemilcza kilku innych uczestników tej operacji? Jakimi źródłami dysponujemy dziś w tych wszystkich kwestiach?

Zacznijmy od ostatniego pytania, gdyż warunkuje ono odpowiedzi na pozostałe. A zatem nie udało nam się znaleźć potwierdzenia licznych (siłą rzeczy kosztownych) podróży „generalskich” Leskiego w dokumentacji finansowej podziemia, materiałach pionu legalizacji ani w korespondencji szyfrowej dotyczącej ruchu kurierów. Potwierdzenia takiego nie ma też w raportach uczestników podobnych misji, które składali władzom polskim w Londynie oraz po 1945 r. w zeznaniach wymuszonych przez Urząd Bezpieczeństwa. Bardziej ambiwalentny charakter mają relacje świadków gromadzone w latach 70. i 80. XX w. przez słynną emsariuszkę AK Elżbietę Zawacką ps. „Zo”.

W oparciu o te wszystkie materiały formułujemy nasze poniższe twierdzenia. Jednocześnie odrzucamy wspierające wersję Leskiego fragmenty wspomnień dwóch (zasłużonych) „cichociemnych”: Aleksandra Stpiczyńskiego „Wilskiego” i Stanisława Jankowskiego „Agatona” jako sprzeczne z chronologią ich znanych biografii.

DROGA DO WYWIADU | Kazimierz Natanson (później Leski), rocznik 1912, wywodził się z zasłużonej dla kraju żydowskiej rodziny, która uległa asymilacji w polskim środowisku, łącząc się z ziemiańskim rodem Olszyńskich. Jego dziad, Kazimierz Natanson, był współtwórcą Banku Handlowego. Ojciec Juliusz Natanson-Leski, legionista i oficer WP, budował polski przemysł zbrojeniowy. Za jego sprawą część rodziny przyjęła w 1920 r. nazwisko Leski, z motywów patriotycznych.

Kazimierz uczył się w warszawskim gimnazjum im. Władysława IV, po czym podjął studia inżynierskie w Warszawie i Holandii (uczestniczył tam w budowie



Kazimierz Leski, lata II wojny światowej

okrętu podwodnego „Orzeł”). Jego pasją zawodową była logistyka, ale międzynarodową karierę w tej dziedzinie prze-rwała wojna. W 1939 r. latał jako strzelec-obszernik. Po 17 września z uszkodzonym kręgosłupem dostał się do sowieckiej niewoli, ale udało mu się uciec i dostać do Warszawy.

Tu związał swe losy z organizacją wywiadowczą „Muszkietierowie”, kierowaną przez jedną z najbardziej tajemniczych postaci polskiej konspiracji, Stefana Witkowskiego. Dzięki talentom organizacyjnym i interpersonalnym zbudował on w okupowanym kraju sieć wywiadu i prowadził na własną rękę gry operacyjne z wywiadami brytyjskim, niemieckim, sowieckim i węgierskim. Witkowski powierzył Leskiemu organizowanie kontrwywiadu jego organizacji. Nie ulega wątpliwości, że był jego mentorem.

Koniec końców Leski zerwał jednak z Witkowskim i znalazł się w kontrwywiadzie Związku Walki Zbrojnej (potem AK), a Witkowski za swoje nieodpowiedzialne gry zapłacił życiem, zlikwidowany przez nowych kolegów swego wychowanka.

MUNDUR, ALE JAKI? | Leski wspominał, że motywem wcielenia się przezeń w postać generała o nazwisku Julius von Hallman była chęć poprawy komfortu w jego podróżach na Zachód z misją stworzenia nowego kanału łączności wywiadu ZWZ/AK. Pisał, że na korytarzach zatłoczonych pociągów dokuczał mu uszkodzony kręgosłup.

Taka samowolna zmiana tożsamości stanowiłaby jednak złamanie podstawowej zasady w pracy wywiadu, jaką jest „wtopienie się w tłum”. Poza tym jego przełożeni z AK w teorii musieliby zgodzić się, aby kluczowy dla bezpieczeństwa całej konspiracji pion legalizacji wykonał dużą pracę i podjął dodatkowe ryzyko z powodu dyskomfortu jednego z kurierów.

Nawet jeśli pominąć młody wiek Leskiego (30 lat), trudno też wyobrazić sobie generała z tej epoki podróżującego samotnie, z walizką w rękę, bez swity adiutantów, i nawiązującego służbowe relacje bez zapowiedzenia się zwłaszcza na niższych szczeblach hierarchii czy wreszcie załatwianego osobiście takie sprawy jak pobranie kart żywnościowych czy przydziału hotelu w Paryżu. A o tym wszystkim pisze Leski we wspomnieniach.

LEGENDA KURIERA | W rzeczywistości były łatwiejsze sposoby podróżowania po okupowanej Europie. Współpracownik Leskiego na tym polu – Tadeusz Jabłoński ps. „Jan” – wspominał, że wiosną 1942 r. w niemieckiej komendanturze w Paryżu jako urzędnik *Ostbahn* (tj. kolei GG) uzyskał dokumenty uprawniające do podróży specjalnymi pociągami dla urlopowanych żołnierzy Wehrmachtu, które na granicach kontrolowano tylko pobieżnie.

W kraju jego przyjaciel „Brad” miał szybko spowodować wykonanie wielu „klonów” z tych dokumentów. Dzięki nim kurierzy AK jeździli jako żołnierze Wehrmachtu i mieszkali w hotelach dla Niemców. Jabłoński wcielił się wtedy w Roberta Wintera w stopniu *Reichsbahn-Obersekretär* (odpowiednik podporucznika w wojsku), co

→ uprawniało go do noszenia munduru przypominającego inne spektakularne niemieckie uniformy.

Podobną hipotezę dotyczącą *modus operandi* polskich kurierów na tej trasie potwierdza też zachowana kolekcja fałszywych dokumentów francuskich i niemieckich wytworzonych dla kolejnego z nich: Józefa Kopyto ps. „Andrzej”, następcy Leskiego na tej trasie. Podróżował on jako inżynier Leo Müller, zatrudniony w węźle kolejowym w Kijowie. W Paryżu faktycznie zatrzymywał się na koszt Niemców w luksusowym hotelu Carlton's przy 55 Boulevard de Rochechouart.

Można bezpiecznie założyć, że dokumenty i legendy, jakimi posługiwali się Leski, Kopyto i Jabłoński, musiały być zbliżone. Także z pragmatycznych przyczyn – ułatwienia wynikające z „produkcji seryjnej” niemieckich tożsamości. „Bradl” mógł się zatem podawać za Hallmana, ale na pewno występował w innym mundurze, niż twierdził po latach.

WAŁ ATLANTYCKI | Podobnie ma się rzecz z opowieścią o pozyskaniu planów Wału Atlantyckiego – niemieckich umocnień zachodniej Europy, mających bronić jej przed alianckim desantem – twórczo rozwijaną przez licznych historyków i dziennikarzy. Ta sprawa jeszcze lepiej pokazuje metodę, którą Leski kreował swoją historię, utkaną z sugestii i także niedopowiedzeń, które można różnie rozumieć – także w sensie mimowolnej nadinterpretacji skądinąd prawdziwych faktów.

We wspomnieniach Leski utrzymuje, że jako generał Hallman składał wizyty „w jednym ze sztabów naczelnego dowódcy wojsk niemieckich w Europie Zachodniej marszałka von Runstedta” o nazwie *Wirtschaftstab VII*. Pod pozorem szukania Francuzów do prac fortyfikacyjnych na froncie wschodnim miał uzyskać „sporą dawkę informacji i danych” dotyczących budowanych przez Niemców umocnień. Ta wywiadowcza gra miała trwać rok.

I rzeczywiście w strukturze niemieckiego zarządu wojskowego we Francji istniał *Wehrwirtschafts- und Rüstungsstab* (tj. zarząd gospodarki wojennej i uzbrojenia), którego wydział VII odpowiadał m.in. za rekrutację Francuzów na roboty do Niemiec. Co potwierdza, że Leski mógł mieć z tą strukturą jakiś kontakt, nawet

jeśli cała jego opowieść przypomina przysłowiowe „dzwony z odległego kościoła”.

Wątpliwe jednak, aby urzędnicy tego wydziału mieli dostęp do planów Wału Atlantyckiego. Co oczywiście nie znaczy, że jakieś elementy pozyskanych od nich informacji nie nadawały się do wywiadowczego wykorzystania, w kontekście rozpoznania niemieckiej maszyny wojennej. Jednak wizytowanie takiej podrzędnej komórki przez tajemniczego młodego „generała” musiałoby budzić zdziwienie w hotelu przy avenue Kléber, gdzie mieścił się ów zarząd. Na pewno i tutaj Leski występował zatem pod dużo skromniejszą tożsamością.

ILE PODRÓŻY? | We wspomnieniach Leski sugeruje, że jego podróże na Zachód obejmowały cały okres między końcem roku 1941 a powstaniem warszawskim, a jego misje były bardzo liczne. Z innych źródeł jednak wynika, że główny okres jego zagranicznej aktywności zamykał się między kwietniem a grudniem 1942 r., i że w tym czasie odbył dwie podróże; kolejną zapewne rok później.

Dostępne relacje są zbieżne, że Leskiego przymusowo odsunięto następnie (pod koniec 1942 lub na początku 1943 r.) od spraw łączności zagranicznej AK, a to z trzech poważnych przyczyn. Pierwszą było wykorzystywanie przezeń kurierów do zbierania informacji wywiadowczych, co zwiększało zagrożenie neuralgicznej sieci łączności (w ten sposób wywiad niejako „pasożytował” na ludziach i wysiłkach organizacyjnych działu łączności zagranicznej Oddziału V ZWZ/AK, kryptonim „Zagroda”). Drugą był konflikt kompetencyjny i osobisty z odpowiedzialną za „Zagrodę” Emilią Malessą „Marcysią”. Trzecią wreszcie: tyleż chwalebny, co nieodpowiedzialny fakt przerzucenia tą trasą przez Leskiego do Londynu, bez uzgodnienia z kimkolwiek, żydowskiego biznesmena Edwarda Rajnfelda-Toharięgo (co ostatnio opisał historyk Dariusz Libionka).

W SIECI ŁĄCZNOŚCI | To wszystko nie oznacza wszakże, że Leski nie odegrał żadnej roli w organizacji nowego systemu łączności zagranicznej AK.

Jest prawdą, że pod koniec 1941 r. Sztab Naczelnego Wodza w Londynie i Komenda Główna ZWZ w Warszawie podjęły wysiłek budowy nowej trasy szybkiego przerzutu kurierów przez Francję

jako alternatywy wobec coraz mniej bezpiecznych i powolnych szlaków przez Węgry i Rumunię. Planowano, że kurierzy z kraju będą wozili swoją pocztę do Marsylii bądź bezpośrednio do Vichy (nieokupowanej części Francji), dokąd mieli docierać przez Paryż albo neutralną Szwajcarię.

Przełomowym krokiem było tu przeżycie do Francji energicznego wysłannika z centrali, porucznika Stanisława Sokołowskiego „Ziomka” pod koniec czerwca 1942 r. Jego zadaniem było zorganizowanie bazy łączności w „Klarze” (kryptonim nieokupowanej części Francji), do której miały prowadzić wspomniane trasy kurierskie. Przewidywano, że już pod koniec kwietnia 1942 r. przez Paryż do południowej Francji wyruszą kurierzy „Bolesław” i „Jan” (wspomniany w tej opowieści Tadeusz Jabłoński), a przez Berno „Seweryn” (Tadeusz Niedbalski). Przy czym to „Bolesław” był wtedy głównym emisariuszem wysłanym z Warszawy przez Komendę Główną AK o specjalnych szerokich pełnomocnictwach. „Jan” najwyraźniej pełnił funkcję jego eskorty czy asysty.

„Bolesław” to jednak nie jest inny pseudonim Leskiego, lecz porucznika Bohdana Wernera (1897-1971). Pochodzący z rodziny przemysłowców, był on konstruktorem lotniczym i poliglotą, władał siedmioma językami.

DUBLER „BOLESŁAWA” | Leski i Werner musieli znać się z Warszawy – obracali się w tych samych wąskich kręgach przemysłowych, politechnicznych, lotniczych i wreszcie konspiracyjnych. Także „Jan” w swojej relacji z 1947 r. potwierdzał wysłanie „Bolesława” do Francji. Jego zdaniem jednak Werner „był bardzo pechowy i swym wyglądem zwracał uwagę Grenzpolizei”. Inny wtajemniczony konspirator uważał, że Werner nie nadaje się na kuriera, gdyż „zachowuje się jak tajemniczy James”.

Być może to spowodowało, że w maju 1942 r. Werner został aresztowany na kilka tygodni i znalazł się we francuskim więzieniu w Limoges (podlegającemu władzom Vichy), skąd jednak niebawem wrócił do Paryża. Tu przez kolejne tygodnie oczekiwał na dogodną możliwość wyruszenia na południe Francji. Konieczne było też ponowne przesłanie z Warszawy poczty kurierskiej, zniszczonej przez niego w chwili zagrożenia.

W związku z tym na wstępne rozmowy z „Ziomkiem” na południe Francji wysłano przebywającego akurat w Paryżu innego kuriera z kraju, w charakterze swobodnego dublera. W powojennych zeznaniach w UB Leski opowiadał o swoim spotkaniu z „Ziomkiem” w Nicei na tyle dokładnie, że wydaje się, iż rzeczywiście był to on. Wspominał mianowicie, że „zgłosił się [tam] do jakiegoś instytutu polskiego i osoba wskazana mi w kraju, kobieta, zorganizowała mi z nim spotkanie”.

Wszystko tutaj zgadza się z informacjami z innych źródeł. Zaraz też poznamy tożsamość owej kobiety. Także Jabłoński potwierdzał, iż to „Bradł” i „Ziomek” zaczęli „organizację przerzutów kurierów i poczty do centrali przez Hiszpanię”, czyli alternatywną – wobec zaplanowanej w Londynie i Warszawie – trasą przez Bordeaux nad Atlantykiem (tj. w strefie okupowanej), realizując tym swoisty „plan B”.

MODELKA-AGENTKA | Pełnomocnictwa Komendy Głównej AK, kluczową pocztę i instrukcje przekazane mu ustnie w Warszawie nadal posiadał jednak nie Leski, lecz Werner. Nie może więc dziwić, że na początku lipca 1942 r. „kraj” zapowiedział ponowne przybycie „Bolesława”, który miał dotrzeć do Marsylii przez Paryż właśnie na spotkanie „Ziomka”.

W tym miejscu wypada wprowadzić kolejną kluczową bohaterkę tej historii – w osobie Lotki Leitner ps. „Kalo” (francuskie imię i nazwisko po mężu: Charlotte Trolley de Prévaux). Była to polska Żydówka, słynna wówczas modelka i celebrytka, a zarazem polska agentka, pracująca dla Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza, czyli „Dwójki”.

Lotka (Charlotte) była żoną wysokiego oficera marynarki francuskiej, kontradmirała Jacques’a Trolley de Prévaux – również członka francusko-polskiej sieci wywiadowczej o kryptonimie F-2; kontradmirał nosił pseudonim „Vox”. W 1944 r. oboje zostali aresztowani i rozstrzelani przez Niemców. Ich niezwykle losy są w Polsce prawie nieznane – polski przekład książki o nich, napisanej przez francuską dziennikarkę (i ich córkę, urodzoną w 1943 r.), ukazał się w niszowym wydawnictwie (książka została wydana też po holendersku i niemiecku).

Oczywiście to Lotka (Charlotte) była tajemniczą kobietą, która skontaktowała



SERVICE HISTORIQUE DE LA DÉFENSE / MINISTÈRE DES ARMÉES / MATERIEL PRASOWE x2

Od góry: Konradmiral Jacques Trolley de Prévaux – członek francusko-polskiej sieci wywiadowczej o pseudonimie „Vox”.

Lotka Leitner ps. „Kalo” (Charlotte Trolley de Prévaux). Polska Żydówka – modelka, celebrytka i agentka, pracująca dla Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza.

Leskiego z Sokołowskim. We wspomnieniach Leski redukuje ją niestety do roli anonimowej gospodyni domowej, a zarazem przemiłej polskiej żony równie anonimowego oficera francuskiej marynarki, a także autorki świetnej, jak pisze, zupy *bouillabaisse*...

„KALO” WYKONAŁA MISJĘ | Szczęśliwie – dla pamięci o dzielnej „Kalo” i jej mężu – zachował się raport „w sprawie łączności z krajem”, który oddaje jej sprawiedliwość jako jednej z głównych organizatorek placówki łączności AK we Francji, a także „Bolesławowi”, czyli Wernerowi.

Czytamy w nim, że 19 sierpnia 1942 r. „wróciła kurierka KALO z Paryża po całkowitym wykonaniu powierzonych jej misji. Linie demarkacyjne przeszła w obie strony na zielono [tj. nielegalnie – red.].

Przywiozła pocztę (...). KALO przywiozła nadto cały szereg ustnych postulatów kuriera BOLESŁAW, które to postulaty wraz z wyżej wspomnianą pocztą zostały przekazane ZIOMKOWI”.

Dodatkowo „Kalo” wyrobiła wówczas „Bolesławowi” – jak czytamy – „papiery osobiste francuskie”, co miało służyć jego kolejnej bezpiecznej podróży na południe Francji. Jak czytamy w wewnętrznej korespondencji Sztabu Naczelnego Wodza, „kurier ten przyjechał na te dokumenty do zony wolnej [tj. nieokupowanej części Francji – red.] i był przekazany ZIOMKOWI”.

Co bardzo ciekawe, z omawianego raportu wynika też, że kurierów, z którymi spotkała się w Paryżu „Kalo”, „było dwóch”. Tym drugim mógł rzeczywiście być „Bradł”. Nie wiadomo jednak, czy to on towarzyszył następnie Wernerowi w wyprawie na południe Francji. To zasadnicze spotkanie organizacyjne „kuriera z kraju” (Wenera) z „wysłannikiem centrali” (Sokołowskim) miało miejsce 3 września 1942 r., a kolejne w październiku, już w Paryżu.

ZASŁUGI ZMARŁYCH | Wszystko to wyjaśnia – choć oczywiście nie usprawiedliwia – dlaczego Kazimierz Leski prawie całkowicie „wygumkował” postacie Bohdana Wenera ps. „Bolesław” oraz Lotki/Charloty Trolley de Prévaux ps. „Kalo” z opowiadanego przez siebie historii, a także poważnie zredukował postać Tadeusza Jabłońskiego „Jana”.

Po prostu Leski po części przypisał sobie ich rolę i ich zasługi – ponieważ korzystając z tego, że nie było już ich wśród żywych.

Co nie przeszkadza nam wciąż uważać „Bradla” za bohatera – tyle że prawdziwie polskiego, to znaczy ze skazą na swoim wizerunku. © WŁADYSŁAW BUŁHAK,

MARIUSZ OLCZAK

DR HAB. WŁADYSŁAW BUŁHAK jest historykiem i specjalistą w zakresie bezpieczeństwa, pracuje w Biurze Badań Historycznych IPN w Warszawie i na Wydziale Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego.

DR MARIUSZ OLCZAK jest dyrektorem Archiwum Akt Nowych w Warszawie, zajmuje się historią Polskiego Państwa Podziemnego i Dolnego Śląska.

PODRÓŻE MAŁE I DUŻE

Bakterie rzadko budzą naszą bezinteresowną ciekawość. Te maleńkie stworzenia potrafią jednak aktywnie poszukiwać pokarmu, unikać antybiotyków, a nawet pamiętać i się uczyć.

KALINA WĘGRZYN

WYBRAŁEM SIĘ NA WYBRZEŻE w Scheveningen, wiatr wiał od strony morza i słońce przygrzewało; oglądając uważnie wodę, spostrzegłem żyjące w niej różnorodne zwierzęta. Dałem mężczyźnie idącemu do morza, by się umyć, nową butelkę, kupioną specjalnie w tym celu, instruując go, by przebywając w morzu, najpierw przemył ją dwukrotnie lub trzykrotnie, a następnie wypełnił wodą morską; gdy moja chęć została spełniona, zatkałem dokładnie butelkę umyтым pęcherzem” – napisał 27 lipca 1675 r. Antoni van Leeuwenhoek.

Antoni był z zawodu kupcem bławatnym i pewnego dnia postanowił stworzyć soczewkę, która pozwoliłaby mu lepiej oceniać jakość płótna. Z czasem osiągnął w tym taki kunszt, że zaczął konstruować pierwsze na świecie mikroskopy i obserwować coraz ciekawsze obiekty. Po odkryciu maleńkich żyjątek, które nazwał *animalcula*, poszukiwał ich we wszystkich dostępnych

mu miejscach – oglądał pod mikroskopem nie tylko morską wodę zbieraną na nadbrzeżu w Scheveningen, ale też kości, mięso, napar z goździków, głowy much i oczy wielorybów. Aby przekonać uczonych z Towarzystwa Królewskiego o prawdziwości swoich odkryć, zatrudnił rysownika. Ten jako pierwszy w historii uwiecznił poruszanie się stworzeń jednokomórkowych uznawanych dziś za pierwotniaki i bakterie. „Ruch wielu z tych żyjątek w wodzie był tak zwinny, z wznoszeniami, pikowaniem i obrotami, że cudownie było to oglądać”.

Śruba okrętowa

Z czasem ruch bakterii stał się jednym z najlepiej poznanych zachowań w biologii. Prowadzenie badań nad ich sposobami przemieszczania się i poznawania świata nie było już uzasadnione jedynie czystą ciekawością. Wiele z bakteryjnych „zmysłów” i zdolności okazało się kluczowych dla powstawania i rozwoju niebezpiecznych chorób.

Spojrzenie na świat z perspektywy bakterii może się wydawać niewykonalnym zadaniem. W przypadku mikroorganizmów trudno mówić o zmysłach. Poznawanie świata dla większości z nich ogranicza się do reagowania na substancje chemiczne obecne w otoczeniu. Receptory bakterii rozpoznają składniki odżywcze, jony niezbędnych do życia pierwiastków, a nawet pozwalają na odbiór sygnałów chemicznych od innych bakterii. Trudno się zatem dziwić, że ruch bakterii to zazwyczaj chemotaksja – poruszanie się w kierunku korzystnego dla niej związku chemicznego (na przykład pożywienia) albo uciekanie przed niebezpieczną substancją (na przykład antybiotykiem).

Escherichia coli to bakteria występująca w układzie pokarmowym człowieka. Niektóre z jej odmian wywołują choroby jelit, jednak większość nie jest groźna dla zdrowia. *E. coli* ma podłużny kształt i posiada około pięciu długich rzęsek. Każda z nich może się obracać, działając jak śruba okrętowa. Rzęski poruszają się



MATTHIEU LOUIS / ADOBE STOCK

w sposób skoordynowany – tak że bakteria płynie przez dłuższy czas w tym samym kierunku – lub chaotycznie – bakteria wykonuje wtedy mało zgrabny obrót. Nie wszystkie bakterie są zdolne do ruchu w taki sposób, ale dla *E. coli* jest to wyjątkowo korzystne: nie potrafi ona tworzyć form przetrwalnikowych, więc jej przeżycie zależy od sprawnego znajdowania pokarmu i ucieczki przed niebezpieczeństwem.

Zapach pizzy

Wyobraźmy sobie, że idziemy przez miasto i nagle z jednej z bocznych uliczek czujemy zapach pizzy. Nawet gdybyśmy szli z zamkniętymi oczami, to dzięki porównaniu natężenia zapachu między prawą a lewą stroną naszego ciała oraz pamięci, w której być może zapisany jest układ ulic w mieście, nasz mózg jest w stanie w końcu zlokalizować źródło zapachu. *Escherichia* jest jednak na tyle mała, że z każdej strony do jej receptorów dociera podobna liczba cząsteczek

związku, na który reagują. Nie jest możliwe zatem, by „wyznaczyła sobie” tor ruchu podobną metodą geometryczną.

Zamiast tego *E. coli* przemieszcza się w podobny sposób, co osoba grająca w ciuciubabkę. Poruszając miarowo rzęskami, płynie w ustalonym kierunku, a jej receptory na bieżąco monitorują zawartość różnych związków chemicznych wokół komórki. Kiedy otoczenie stanie się dla niej niekorzystne – zawiera mało składników odżywczych albo antybiotyk – rzęski bakterii gwałtownie wierzgają, co powoduje obrót.

W ten sposób bakteria koryguje kierunek ruchu i losowo obiera nową drogę. Jeśli nadal będzie ona wiodła przez niekorzystny teren, to sygnał z receptorów doprowadzi do kolejnego obrotu.

Kierunkowskaz

Za ten proces odpowiada prosty mechanizm oparty na współpracujących ze sobą białkach enzymatycznych. W skład tego zestawu wchodzi: receptor, regulator od-

Niektóre bakterie reagują na poziom jasności. W 2017 roku okazało się, że cyjanobakterie Synechocystis potrafią łączyć się ze swoimi towarzyszami i ciągnąć ich za sobą, dzięki czemu całe ich kolonie uśredniają kierunek swojego ruchu w stronę światła.

powiedzi i wyłącznik regulatora odpowiedzi (w tym przypadku jest to enzym nazywany fosfatazą). Kiedy *E. coli* płynie prosto, wszystkie jej rzęski obracają się w tę samą stronę, a do receptorów przyłączają się pływające w otoczeniu cząsteczki. Jeśli z receptorem łączy się antybiotyk albo nie łączy się wystarczająco dużo składnika odżywczego, to uruchamia się alarm. Receptor przekazuje chemiczny sygnał do regulatora odpowiedzi. Regulator działa szybko, żeby rozwiązać problem – przyczepia się do rzęsek, powodując ich obrót w przeciwnym kierunku, dzięki czemu bakteria wykonuje fikołka.

Jednak reakcja nie jest jeszcze zakończona. Bakteria musi przestać się obracać i popłynąć prosto w nowym kierunku. Obrót kończy wyłącznik, który momentalnie dezaktywuje regulator, dzięki czemu rzęski znowu poruszają się we wspólnym rytmie.

Warto zauważyć, że działanie tej sieci jest właściwie niezależne od rodzaju związku wykrywanego przez receptory. Ten sam regulator koordynuje ucieczkę przed antybiotykiem i poszukiwanie związków odżywczych. Z punktu widzenia oszczędności energetycznej jest to bardzo korzystne. Być może jeśli jakaś odmiana *E. coli* miałaby się dostosować do unikania nowego antybiotyku, to wystarczyłoby jej wytworzyć nowe receptory, a regulator i wyłącznik pozostałyby takie same.

Uciec z pułapki

Nie da się jednak zająć daleko, grając w ciuciubabkę. Gdyby bakteryjny system sterowania składał się wyłącznie z receptora, regulatora i wyłącznika, to pozwalałby tylko na reakcję na obecny stan rzeczy, bez możliwości pamiętania przeszłości i przewidywania przyszłości. Natomiast bakterie często poruszają się w środowiskach, które w ogóle nie przypominają jednorodnej szalki laboratoryjnej – na przykład wewnątrz ciała człowieka albo po gnijącej leśnej ściółce. Wyobraźmy sobie, że bakteria (prawdopodobnie nie byłaby to *E. coli*) płynie →

→ przez warstwę ściółki, w której występują też wydzielające antybiotyki grzyby. Jeśli natrafi na antybiotyk, to nie ma żadnego sposobu, by określić, czy produkujący go grzyb wypadł z koszyka nieuważnego grzybiarza, czy właśnie znalazła się w samym środku zabójczej sieci strzępek.

W pierwszym przypadku nie ma się czym przejmować, w drugim należałoby jak najbardziej wyczulić receptory na antybiotyki, by uciec z pułapki. *E. coli* to potrafi! W komórce tej bakterii znajdują się jeszcze dwa białka, które możemy nazwać wzmacniaczem i osłabiaczem receptorów alarmu.

Wzmacniacz to enzym, który chemicznie modyfikuje receptory. Sprawia to, że silniej aktywują one regulator odpowiedzi, a bakteria staje się bardziej wyczulona na sygnały związane ze zmianą kierunku. Osłabiacz działa przeciwnie – usuwa modyfikację wprowadzoną przez wzmacniacz, przez co bakteria jest mniej wrażliwa na chemiczne sygnały.

Osłabiacz i wzmacniacz działają dużo wolniej niż regulator i wyłącznik. Z tego powodu wprowadzane przez nie modyfikacje receptorów określa się czasem chemiczną pamięcią bakterii. Czas, przez który bakteria jest wyczulona albo znieczulona na określony związek, może być nawet kilkukrotnie dłuższy niż jej „spacer”. Co więcej, czas trwania tej pamięci nie zawsze jest taki sam i zależy od różnic między kolejnymi sygnałami docierającymi do receptorów. Obecność osłabiacza i wzmacniacza pozwala zatem precyzyjnie dostosować reakcję do zmieniającej się ilości związku w otoczeniu.

Receptor, regulator i inne towarzyszące im enzymy działają szybko, oszczędnie i niezawodnie, więc zostały w toku ewolucji przystosowane również do innych niż chemotaksja celów. Jeden z takich zaskakujących procesów został odkryty właściwie przypadkiem przez pewnego badacza zafascynowanego światłem.

Razem silniejsze

Grzyby, parzydełkowce, żebroplawy, wieloszczety, ważki, muchówki, małżoraczki, dwuparce i osłonice – to stworzenia, które w żadnej klasyfikacji taksonomicznej nie stoją blisko siebie. W muzeach historii naturalnej zwykle przydziela im się osobne sale, a nawet piętra. Mają jednak ze sobą coś wspólnego: we wszystkich tych grupach występują gatunki

Bakterie *Allivibrio* jarzyły się jasnoniebieską poświatą. Ale tylko wtedy, gdy **znalazły się w odpowiednio dużej grupie.**

wykazujące zjawisko bioluminescencji, czyli wytwarzające światło. I wszystkie były badane przez Johna Woodlanda Hastingsa. Ten pochodzący ze Stanów Zjednoczonych naukowiec od młodych lat szukał cząsteczek i mechanizmów powodujących emisję światła przez organizmy, co doprowadziło go do zupełnie niespodziewanego odkrycia.

W 1970 r. Hastings wraz z kolegami, Terryem Plathem i Kennethem Nelsonem, próbował wyhodować bakterie *Allivibrio fischeri* w laboratorium. *Allivibrio* występują wewnątrz ciał kałamarnic i wytwarzają lucyferazę, białko odpowiedzialne za bioluminescencję. Naukowcy zauważyli jednak ciekawe zjawisko. Bakterie *Allivibrio* jarzyły się niebieską poświatą tylko wtedy, kiedy znalazły się w dużej grupie. Gdy badacze przenosili małe ilości bakterii na szalki ze świeżą pożywką, świecenie ustawało. Oznaczało to, że bakterie przestały produkować lucyferazę.

Z czasem naukowcy doszli do wniosku, że *Allivibrio* muszą w jakiś sposób rozpoznawać „gęstość zaludnienia” pożywki. Okazało się, że robią to za pomocą mechanizmu do złudzenia przypominającego chemotaksję *E. coli*. *Allivibrio* wytwarzają i wydzielają do otoczenia charakterystyczny dla swojego gatunku związek chemiczny nazywany autoinduktorem. Każda z bakterii posiada receptory autoinduktora oraz towarzyszący im regulator odpowiedzi.

Kiedy komórka przebywa w środowisku, w którym znajduje się wiele innych bakterii tego samego gatunku, a więc stężenie autoinduktora jest wysokie, jej receptory uruchamiają regulator odpowiedzi. On z kolei reguluje tutaj nie ruch rzęsek, ale wytwarzanie lucyferazy. Sprawia to, że bakterie *Allivibrio* świecą dopiero w większej grupie.

Kworum

Badacze nazwali nowo odkryte zjawisko *quorum sensing* („wyczuwanie kworum”).

Niedługo później zaczęli przypuszczać, że ten rodzaj komunikacji między bakteriami może mieć niebagatelne znaczenie dla mikrobów wywołujących choroby. Nie mylili się, do dziś trwają badania nad wieloma bakteriami, które wykorzystują ten mechanizm w wyjątkowo zjadliwy sposób.

Odmiana *E. coli* O157:H7, zdolna zarówno do chemotaksji, jak i *quorum sensing*, jest główną bakterią odpowiedzialną za zatrucia pokarmowe na całym świecie. Od komunikacji między bakteriami zależy też wirulencja (czyli zdolność do wnikania do tkanek gospodarza i uszkadzania ich) przecinkowca cholery. Z kolei odpowiedzialna zarówno za gnicie sałaty, jak i ciężkie zakażenia szpitalne bakteria *Pseudomonas aeruginosa* wykorzystuje *quorum sensing* do komunikacji wewnątrz biofilmu, czyli wilgotnego skupiska tysięcy komórek bakterii, do wnętrza którego nie przenikają antybiotyki.

Nie wszystkie zastosowania *quorum sensing* są nam znane, ale wszystkie opierają się na tej samej zasadzie: bakterie wydzielają charakterystyczny dla gatunku związek, rozpoznają go i reagują na niego za pomocą podobnego zestawu białek, co te wykorzystywane w chemotaksji.

Treść nad formą

W porównaniu do roślin i zwierząt bakterie mogą wydawać się nieciekawe. Daleko im do małp o złożonych zachowaniach społecznych i ogromu tropikalnego lasu. Ich wyjątkowość polega raczej na prostocie i osiąganiu celów wspólnych wszystkim organizmom dużo mniejszym kosztem. Do poznawania otoczenia i komunikacji w „stadzie” wystarczy im system złożony z kilku białek, który w razie potrzeby może być też wykorzystany do ataku na inne organizmy.

Możemy badać takie układy, by znaleźć nowe sposoby leczenia chorób, ale możemy też zastanawiać się, co bakterijskie życie mówi nam o życiu w ogóle. Jak bakterie radzą sobie z ograniczoną ilością informacji? Co zyskują, kiedy zamieszkują w ciele kałamarnicy? Co daje im przebywanie w grupie? Takie pytania z pewnością zaciekawiłyby Leeuwenhoeka, który choć nie wiedział, że patrzy na bakterie, poszukiwał wszędzie *animalcula* i z pasją obserwował ich życie.

© KALINA WĘGRZYN

Wakacje są zawsze po to, by odpocząć. By zwolnić, przyjrzeć się czemuś nowemu, wyjść poza granice swojej codzienności. By zatrzymać myśli.

W tym zatrzymaniu myśli nasze nowe wydanie specjalne będzie dobrą pomocą.

– Michał Okoński, redaktor „Tygodnika Powszechnego”



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. GRAŻYNA MAKARA

E-WYDANIE:
powszech.net/szerokiejdrogi



**Wydanie Specjalne „Tygodnika Powszechnego”
w dobrych miejscach z prasą**

allegro

Jak książki z najlepszej strony, to Allegro

Nowości i bestsellery w niskich cenach

🔍 jak tak, to...



TYGODNIK
POWSZECHNY

MAGAZYN
CONRAD 01

„TP” 25/2024

AUTENTYCZNOŚĆ
CONRAD FESTIVAL
21 – 27.X.2024
KRAKÓW



Festiwal Conrada, 21–27 października 2024



MICHAŁ SOWIŃSKI

Tom Kettle, bohater powieści „Czas starego Boga” Sebastiana Barry’ego, jest samotnym, emerytowanym detektywem, który większość dni spędza na kontemplacji morza. Ze światem zewnętrznym kontaktuje się wyłącznie wtedy, gdy jest to absolutnie konieczne. Żeby nie zdradzać wielu szczegółów z tej zaskakującej i wstrząsającej historii, powiem tylko, że jego życie pod wieloma względami się skończyło. Jednak stan ducha, w którym znajduje się, gdy spotykamy go na początku powieści, bliższy jest pogodnej melancholii niż depresyjnej rezygnacji. Tom, którego Barry wprost nazywa postacią heroiczną, nie poddaje się – mimo że już nie pracuje w policji, dalej pozostaje detektywem, próbującym wyjaśnić mroczne sekrety z historii swojej rodziny.

Śledztwo okazuje się niezwykle bolesne. Rzeczy, o których latami starał się nie myśleć, wracają teraz ze zdwojoną siłą, a stare rany ponownie się otwierają – traumatyczne wydarzenia z przeszłości domagają się powtórnego przeżycia. Oczywiście nic dwa razy zdarzyć się nie może, więc Tom skazany jest wyłącznie na „skrawki i cienie z dawnego życia”, jak mówi Barry w rozmowie z „Tygodnikiem”. Pamięć bywa zawodna, pełno w niej dziur, do których wpadają istotne szczegóły. Nie ma jednak wyboru – historia żony i dzieci Toma musi zostać opowiedziana od początku do końca.

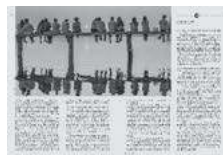
Barry w swoich powieściach nieustannie stawia pytanie o to, czym właściwie jest autentyczność – zarówno w przypadku naszej egzystencji, jak również prób jej literackiej reprezentacji. W jego przypadku obie te przestrzenie nachodzą na siebie, zaplatają się – i choć nigdy całkiem się nie sklejają, to bez wątpienia stają się sobie nawzajem niezbędne. Nie tylko w przypadku autowiwisekcji jak u Toma-ascety, ale także przy budowaniu relacji z innymi ludźmi.

Ale czy możemy mówić o autentyczności, gdy opowiada się o życiu kogoś innego? Nawet jeśli robi się to w jak najlepszej intencji, bo ten ktoś, z różnych powodów, nie może zrobić tego sam? Czy da się jednak inaczej? – zdaje się pytać Barry w każdej powieści, a Claudia Piñeiro, którą również będziemy gościć w Krakowie jesienią, podbija dodatkowo to pytanie o aspekt społeczno-polityczny. Czy można przy pomocy prozy gatunkowej opowiedzieć prawdę o miejscu i czasie, w którym się żyje? Popularność nurtu latynoskiej prozy *neopolicial*, w ramach którego Piñeiro osiągnęła literackie wyżyny, daje taką nadzieję.

Autentyczność, która w zachodnim modelu nowoczesności stała się jedną z najcenniejszych walut, co rusz okazuje się wartością trudną do zdefiniowania. Niemniej w tym roku na Festiwalu Conrada podejmiemy się tego niełatwego zadania. Bądźcie wtedy z nami w Krakowie i zobaczcie na własne oczy, czy nam się to uda.

© MICHAŁ SOWIŃSKI, REDAKTOR LITERACKI FESTIWALU

W NUMERZE



71

OLGA DRENDA
Bądź sobą!
Albo i nie



75

MICHAŁ SOWIŃSKI,
SEBASTIAN BARRY
Bohaterowie Księgi
Życia



80

MONIKA OCHĘDOWSKA
Przelane na papier



82

TOMASZ PINDEŁ
W Argentynie,
czyli wszędzie



85

ALICJA URBANIK-KOPEC
Przeszłość to obcy kraj



90

JACEK DEHNEL
Koniec wolnej
amerykanki

REDAKCJA
Michał Sowiński
PROJEKT GRAFICZNY
Marek Zalejski
TP TYPOGRAFIA
Zuzanna Kardyś
FOTOEDYCJA
Grażyna Makara
GRAFIKA NA OKŁADCE
Marcin Wolny



Organizatorzy:



Fundacja
Tygodnika
Powszechnego



Instytucja
Kultury
Miasta
Krakowa

kbf:



KRAKÓW
MIASTO LITERATURY
UNESCO



Kraków

Projekt współfinansowany
ze środków Miasta Krakowa

Partnerzy strategiczni:



allegro

www.conradfestival.com

Dyrektorka kreatywna
– Olga Drenda
Dyrektorka wykonawcza
– Urszula Chwalba
Redaktor literacki
– Michał Sowiński
Manager Festiwalu
– Marcin Dyrz

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Bądź sobą! Albo i nie

OLGA DRENDA

**Niektórzy próbują fabrykować autentyczność,
najczęściej jednak bez skutku.
Jest ona dobrem rzadkim, ale też najwyżej pożądanym.
Być może nie potrafimy jej precyzyjnie zdefiniować,
ale zdarza się, że da się ją uchwycić w locie.**

1 Podczas pracy nad programem tegorocznej edycji Festiwalu, a więc i nad niniejszym tekstem, nucę czasem w głowie „Come as You Are” Nirvany. W latach 90. utwór ten uznawano za hymn na cześć autentyczności. Bądź, jaki/jaka jesteś: to brzmi jak buddyjski koan. Z podobną zagadką mierzę się, myśląc o hasle: autentyczność. O tym, co wydaje się nam autentyczne lub nie, bywamy skłonni orzekać odruchowo, jakbyśmy dysponowali wewnętrznym, nieomylnym aparatem pomiarowym. Jednocześnie próbując wyjaśnić, co rozumiemy przez autentyczność, możemy napotkać trudności: mimo obietnicy doprowadzenia do sedna, zawiera ono w sobie wiele kierunków i punktów dojścia.

Kłopotliwość tego pojęcia zachęca do wyciągnięcia poszczególnych nitów z tej płataniny. Mamy oto termin nieobojętny aksjologicznie, leży bowiem blisko prawdziwości, szczerości, wiarygodności (choć nie jest z nimi w pełni tożsamy). Jego przeciwieństwem jest nawet nie kłamstwo czy fikcja, a coś, co łatwo uznać za karygodne i niskie: imitacja, podróbka, fałsz. Jednocześnie należy on do zasobu terminów „spranych”, wykorzystanych i pozbawionych właściwej wartości przez frazes, slogan – tak, by stał się „bezpiecznie nieznaczący” i powiększał objętość waty słownej.

Kultura popularna XX i XXI w., a zwłaszcza historia kontrkultury, przypomina przy okazji, że wystarczy chwila, by autentyczność przemienić w towar. Również dlatego warto przyjrzeć się ponownie temu pojęciu. Co chcemy osiągnąć, żądając autentyczności, i na ile takie żądanie może w ogóle być zasadne? Zachęcam, by przyjrzeć się różnym sposobom pojmowania autentyczności – jako kategorii pokrewnej wiarygodności, szczerości, przeżyciu i doświadczeniu, „prawdziwemu ja”, wreszcie – by spróbować prześledzić jej potencjał w światach i opowieściach wymyślonych.

2 Prawdopodobnie każdego dnia musimy odpowiadać na zadane nam przez biometryczny lub inny system zabezpieczeń pytanie: czy my to w rzeczywistości my? To znaczy, że codziennie jesteśmy pytani o egzystencjalny fundament. Odpowiadamy zapewne intuicyjnie, od-

ruchowo, ponieważ czujemy wewnętrzną spójność. Ale jednocześnie oznacza to regularną konfrontację z kieszonkową wyrocznią delficką, która każe nam *poznać samych siebie* i potwierdzić naszą „sobość” (by pożyczyć termin od Barbary Skargi). Skąd wiemy, że odruch ten kieruje nas ku właściwej odpowiedzi? Czy prowadzi nas „instynkt prawdy”, czy musimy go w sobie dopiero wypracować, wyostrzyć – przy pomocy introspekcji albo czynu?

Pojęcie autentyczności to jeden z kluczy do nowoczesności; można traktować te kategorie jako rówieśnicze. Choć samopoznanie jako takie nie jest nowoczesnym wynalazkiem (znamy je także pod postacią „gnothi seauton” czy jako „tat tvam asi” – „ty jesteś tym”), to jego pierwszoplanowy status, czyli ukierunkowanie na jednostkę i „obciążenie moralne” już tak. Autentyczność jako postulat pojawia się pierwszy raz tak wyraźnie u Rousseau, który kreślił wizję niezakłóconego przez zewnętrzne wpływy „poczucia istnienia”. To marzenie o ucieczce z teatru pozorów, bo tak filozof rozumiał świat relacji społecznych, i wskazówka co do tego, jak skalibrować własny kompas moralny: zgodnie z własną naturą. Można wątpić w wykonalność tego zadania, jednak obietnica, jaka się za nim kryje, pozostaje czytelna: nawet gdy popełnimy błędy czy się rozczarujemy, przynajmniej będziemy pewni, że nie zdradziliśmy jedynej osoby, która pozostanie z nami do końca życia, czyli siebie.

Jako twórca nowego typu autobiografii Jan Jakub Rousseau uznał, że musi wyznać bez ogródek wszystko, wliczając w to czyny niechlubne. „Chcę pokazać swoim bliźnim człowieka w całej prawdzie jego natury; a tym człowiekiem będę ja. Ja sam. Czuję moje serce, i znam ludzi”, oznajmia na początku swoich „Wyznań” (tłum. T. Boy-Żeleński). „Nie jestem podobny żadnemu z tych, których widziałem; śmiem wierzyć, iż nie jestem podobien żadnemu z istniejących”. Ten manifest zdumiewa poziomem pewności siebie i przywiązaniem do przekonania o niepowtarzalności – zwłaszcza gdy spróbujemy przyłożyć go do literackiej współczesności z jej zwrotem autobiograficznym, zwrotem ku sobie, ale też pragnieniem uwiarygodnienia własnego doświadczenia w opowieściach innych. Współczesna literatura z dziedziny

→



→ autofikcji czy eseju autobiograficznego mówi bowiem zupełnie co innego niż Rousseau i składa innego rodzaju obietnice; wplatając osobiste wyznania w wywiedzione z nauk społecznych tło, podpowiada raczej: ależ jesteś podobny! Jesteś jedną z wielu permutacji powszechnych ludzkich doświadczeń, zależnych od miejsca, czasu, położenia na społecznej drabinie. Jesteś dobrze opowiedzianym (szczęściarzu!) przykładem ilustrującym szerszy proces.

Czy to słuszny kierunek – pytanie pozostawię otwarte, jednocześnie zachęcając do namysłu nad tym, co o autentyczności pisali egzystencjaliści. U Martina Heideggera jest ona predyspozycją jednostki ludzkiej, cnotą, ale też aktywną pracą. Nie jest dana raz na zawsze, gdyż „Się”, rozumiane jako bezpieczna, bezosobowa anonimowość, nieustannie wciąga, a pokusie poddania się jej i tym samym rezygnacji z jednostkowości niełatwo się oprzeć. Egzystencjalizm łączył autentyczność z rodzajem odpowiedzialności: ujrzenie w całość przejrzystości własnego surowego istnienia „wrzuconego” w świat może stać się impulsem, by podjąć się świadomie jakiegos trudu. Ta świadomość i samopoznanie dają w perspektywie tej szkoły filozoficznej największą szansę na przeżycie swojego życia w sposób spełniony, to spełnienie wiąże się jednak z wysiłkiem, może wręcz odwagą – kluczowa

w autentyczności jest bowiem dla egzystencjalisty spójność przekonań i działań, dotrzymywanie samemu sobie słowa.

3 Nowoczesne rozumienie autentyczności odnajdziemy w jeszcze jednej kategorii – outsiderstwa. Postulat wierności sobie implikuje bowiem podążanie „drogą mniej uczęszczaną”, nie zawsze z wyboru. Taka postawa, w literaturze czy nie, potęguje ryzyko sporu, niezgody, a na pewno wymusza pozostawanie na osobnej pozycji. Konsekwentnie trzymający się takiej drogi autor musiałby „nauczyć się żyć bez wiary, bez kraju, bez sojuszników, w samotności i w ciszy”, jak pisał William S. Burroughs, kreśląc wyzwania dla pisarza epoki lotów kosmicznych. Czy zatem autentyczność wymusza na piszących niezłomność w osobności, a może zwiększa ryzyko konfrontacji? Czy trzeba jej bronić?

Nieco prowokacyjnie warto zapytać, czy poszukiwanie autentyczności nie ściąga w kierunku złudzeń, nie podąża zbyt łatwo za prostym skojarzeniem. Wówczas coś, co *wydaje się* przekonujące, zbyt łatwo uznamy za prawdziwe. Tak bywa z narracjami, które eksponują to, co bezlitosne, brutalne, możliwie przypominające wiwisekcję: czy utożsamienie takiej zawartości z autentycznością



*East Lake Park w Wuhan.
Chiny, wrzesień 2022 r.*

racji – który koniec końców sam staje się prawdą mocniej przyswojoną?

Nominalna szczerość również miewa swoje konwencje, swoje „Się”, w które łatwo mimowolnie popaść. Ilustruje to dobrze anegdota o legendarnym bluesmanie Leadbellym, który zasłynął wykonaniami surowych, chropowatych pieśni więziennych. Gdy odkrył go etnomuzykolog John Lomax, faktycznie odbywał on wyrok. Po wyjściu na wolność Leadbelly postanowił nosić garnitur i grać popularny jazz, jak na wolnego człowieka przystało. Lomax nakłaniał swojego podopiecznego, by ten wciąż występował w stroju więźnia, gdyż to jego zdaniem sprzyjało bardziej autentycznemu wizerunkowi. Ten zdążył jednak w międzyczasie oddalić się od bieżącego życia, od doświadczenia teraźniejszości. Po czyjej stronie leżała zatem racja co do autentyczności? Który wizerunek miałby być „prawdziwszy”?

4 Możemy również podejść do tego zagadnienia odwrotnie. Filozof Charles Taylor, zainteresowany zagadnieniem autentyczności, zauważa, że żadna świadomość nie istnieje bez pewnego horyzontu znaczeń, że każda jednostka definiuje swoje istnienie poprzez pozostawanie w dialogu z kimś lub czymś. Nie oznacza to przy tym zniewolenia konwenansem, lecz sprawczy rewers zagubienia i atomizacji. Według Taylora to „twórcza wyobraźnia jednostki” obdarza napotkany świat sensem. To, jak w nim istniejemy, to rezultat ciągłych indywidualnych objawień. Ta myśl prowadzi do pytania o obecność autentyczności w obrębie utartych konwencji.

Literaturoznawca Jacek Kolbuszewski analizował kiedyś listy pisane na przełomie XIX i XX w. przez ludzi dorosłych, którzy niedawno posiadli zdolność pisania. Składały się one często z podobnych do siebie zwyczajowych fraz, jednak badacz podkreślał, że ich podobieństwo nie oznacza, że nie kryła się w nich osobista prawda czy intencja. Konwencjonalna forma listów nie oznaczała w tym przypadku pustosłowie, raczej dostarczała jedyne możliwego sposobu wypowiedzenia się we własnym imieniu ludziom, którzy innego typu ekspresji nie poznali. Może dotarcie do autentyczności wymaga czasem rusztowania, na którym można się wesprzeć?

„Tradycje wynalezione”, jak nazwał je historyk Eric Hobsbawm, czyli przejawy kultury (święta, obrzędy, integrujące opowieści, symbole) stworzone często odgórnie po to, by scalać jakąś wspólnotę, mogą nie tylko szybko zostać w pełni przyswojone jako własne, ale nabierają niemal odwiecznej aury. Zwyczaj zaproponowany zaledwie kilka lat wcześniej staje się „czymś, co robiono od zawsze”. Nabiera niepodważalnie autentycznego, domagającego się szacunku charakteru w oczach praktykujących go ludzi, podobnego do aury, która świadczy o niepowtarzalności dzieła sztuki czy wytworu natury u Waltera Benjamina: to „przejaw dali, bez względu na to, jak blisko dana rzecz może się znajdować” (tłum. H. Orłowski).

nie jest rezultatem wymuszenia, szantażu („przecież pokazuję WSZYSTKO!”).

Można ulec również iluzjom outsiderstwa: zakładamy wówczas, że samo pozostawanie na marginesie, wyobcowanie daje rezultat w postaci sztuki bardziej autentycznej, bo wolnej – w sensie takim, jak chciał Rousseau, czyli od wpływów i oczekiwań zewnętrznego świata. Takich jakości poszukiwali w XX w. surrealiści, zwracając się w stronę sztuki wykluczonych czy pozostających wówczas poza obowiązującą normą. Do obszernej kategorii „Innych” wrzucali grupy tak różne, że łatwo zakwestionować ich wspólny mianownik – dzieci, pacjentów szpitali psychiatrycznych, ludy rdzenne. Wiemy już, że ulegli pewnej fikcji, własnemu marzeniu, bo sztuka osobna nie pozostawała w izolacji, a jej twórcy nie byli odporni na wpływy. Bywa, że to, co wydaje się surowe i niekłamane, okazuje się jeszcze jednym złudzeniem.

To prowadzi nas do kolejnych pytań: skoro adaptacja następuje tak gładko, to czy możemy ufać swoim słowom, obrazom, ekspresji? Na ile nasze przekonania, a nawet wspomnienia są w rzeczywistości nasze własne? Skoro nasza kultura ufundowana jest na opowieściach, to czy chropowata albo niespójna prawda ustępuje gładszemu nurtowi nar-

→

Podobnie trzeba oceniać stosunek ludzi do praktykowanych tradycji: nie ma powodu, by nie wierzyć, że naprawdę uznają je za niezmiennie i wieczne. Dlatego warto rozważyć obecność autentyczności w fikcji, w wolnym locie wyobraźni, w prozie gatunkowej, a nawet w czystym zmyśleniu: konwencja daje punkt wyjścia, lecz zawartość może nosić już w pełni autorską pieczęć: „sama to stworzyłam”.

5 To ironia losu, a może jedynie pracujące w tle tryby zeitgeistu, że termin „autentyczność” nabrał w ostatnich miesiącach rozpędu w branży marketingowej. Firmy zajmujące się analizowaniem trendów w reklamie i komunikacji internetowej wskazywały na rosnące zapotrzebowanie na autentyczność, a nawet uznały tę kategorię za hasło na rok 2024. Podczas prac nad koncepcją festiwalu nikt nie był tego szczególnie świadom, lecz tę niespodziewaną zbieżność staram się traktować jako znaczące wyzwanie.

Z jednej strony, obieg towarów i usług (w tym – przemysł udzielania pospiesznych rad i zbyt łatwych rozwiązań na złożone dylematy psychologiczne) nie od dziś posługuje się chętnie kategorią bycia sobą. Na pułapkę znaczeniowej pustki wskazówek o „byciu sobą” naprowadza już Szekspir. „Rzetelnym bądź sam względem siebie”, zaleca Poloniusz Laertesowi w „Hamlecie”. „A jako po dniu noc z porządku idzie, tak za tym pójdzie, że i względem drugich będziesz rzetelnym” (tłum. J. Paszkowski). Wyjęte z kontekstu, słowa te brzmią jak godna wzięcia sobie do serca maksyma. Ponieważ jednak w dramacie wypowiada je bohater najbardziej przywiązany do pozorów i skłonny do intryg, przemieniają się one w pusty frazes.

Zarazem ta gałąź przemysłu produkcji znaczeń choć wskazuje kierunek pragnień, niejednokrotnie w manipulacyjny sposób je wyolbrzymia, podpowiada sposoby ich realizacji tak, by się to opłacało – to wciąż z pewnością dysponuje wrażliwym systemem wyczuwania potrzeb. Zidentyfikowano zatem dojmujące pragnienie autentyczności w odpowiedzi na coraz bardziej spłaszczony i jednakowy przekaz. Autentyczność można próbować fabrykować, najczęściej bez skutku; by jeszcze raz odwołać się do świata reklamy i marketingu (nie widzę powodu, by unikać otaczających nas zewsząd znaków), jest ona rzadkim dobrem, ale też najwyższym pożądanym. Zauważona przez klientów, zostaje doceniona i nagrodzona wiernością. Być może nie potrafimy jej precyzyjnie zdefiniować, ale zdarza się, że da się ją uchwycić w locie.

6 Każde postawione tu pytanie prowadzi do kolejnych. Zamiast jednak spieszyć się z odpowiedziami, proponuję, by się zatrzymać i chwilę pomyśleć. Ale nie

■ To ironia losu, a może jedynie pracujące w tle tryby zeitgeistu, że termin „autentyczność” nabrał w ostatnich miesiącach rozpędu w branży marketingowej. Firmy zajmujące się analizowaniem trendów w reklamie i komunikacji internetowej wskazywały na rosnące zapotrzebowanie na autentyczność, a nawet uznały tę kategorię za hasło na rok 2024.

samotnie, mamy wszak słowo pisane i rozmowy. Literatura oferuje nam może niełatwy, lecz mimo wszystko – luksus niespiesznego namysłu. Również nad kwestią autentyczności. Dostarcza do tego pełnego pakietu narzędzi: bezlitosnej nawet introspekcji, zanurzenia w przeżycie, spekulacji, lotu wyobraźni. Słowo pozwala zarejestrować napięcia między wątpliwością a zaufaniem, indywidualnością a poczuciem jedności, intuicją a świadomym wysiłkiem poznawczym. Być może nie dysponujemy dziś narzędziem bardziej wszechstronnym. A przede wszystkim takim, które równie sprawnie potrafi kwestionować i przekraczać sztywne oczekiwania i zbyt łatwe konkluzje.

Takim kluczem staramy się posługiwać, planując program Festi-

walu. Tym razem jako wyzwanie postawiliśmy sobie autentyczność, ale bez automatyczności, z dala od odruchowych skojarzeń. Argentyńska pisarka Claudia Piñeiro korzysta z formuły literatury gatunkowej, jednak nasycza ją lokalnym szczegółem z precyzją reporterki czy historyczki, przez co absorbujące powieści zyskują szczegółowe dokumentalne tło. Irlandczyk Sebastian Barry to autor, który przemawia rozlicznymi głosami: kreując postacie osadzone w najróżniejszych realiach geograficznych, historycznych, o niejednoznacznym tożsamościowym bagażu, nadaje opowieściom rzadki emocjonalny ciężar. Anna Brzezińska funkcjonuje w dwóch światach: badań nad materią historycznego faktu i literatury gatunkowej, śmiało wchodząc na terytorium literatury nie tylko spekulatywnej, ale i eksperymentalnej. Łukasz Kozak w swoim „Upiorze” z precyzją śledził wkradanie się motywów literackich w potoczną, a później i naukową wyobraźnię, wyczulając na to, by stale zadawać pytania i pozostać czujnymi wobec wiedzy, która do nas dociera. Oboje pasjonująco opowiadają o wzajemnych relacjach fikcji z niefikcją i o ich wzajemnym ząbieniu się. Ale literatura to także sposoby czytania – bywa, że całkowicie po swojemu. Takim nowym obszarem autonomii czytelniczego stał się bookstagram, gdzie tworzą się osobne kanony i tryby lektury. Warto traktować tę przestrzeń serio.

7 Spójrzmy na wizualny motyw przewodni tegorocznej edycji Festiwalu Conrada. Widzimy intensywną, wibrującą plamę koloru, która rozmywa się i rozrzedza, rozchodząc się na zewnątrz. Gdy jednak nieco przestoiemy naszą uwagę i spojrzymy na ten kształt odrobine inaczej, możemy uznać, że kolor zągęszcza się, kondensuje, zmierza do jednolitego środka. W październiku spróbujemy uchwycić coś mgławicowego i zwarte go zarazem. Nie obawiając się paradoksów.

© OLGA DRENDA



Dalkey. Irlandia, maj 2017 r.

Bohaterowie Księgi Życia

SEBASTIAN BARRY, PISARZ IRLANDZKI:

To, co się wydarzyło, ale nie zostało zapisane, tak naprawdę się nie wydarzyło. W swojej prozie starałem się przywrócić światu kilka zapomnianych postaci – jednocześnie próbując uczcić ich autentyczność i paradoksalną, bo pozbawioną znaczenia, istotność.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Zacznijmy od pogody. W Pana książkach jest ona osobnym bohaterem.

SEBASTIAN BARRY: Gdyby irlandzka pogoda była łagodniejsza, a deszcz nie trzymał nas nieustannie w domach, historia Irlandii mogłaby potoczyć się inaczej. A przynajmniej niektórzy tak twierdzą.

Irlandzka pogoda hartuje ducha?

Tego bym nie powiedział. Z pewnością dzięki niej jesteśmy dużo bardziej wilgotni. Ciekawe, czy ktoś przeprowadził badania wpływu tak zwanego „irlandzkiego lata” na zdrowie psychiczne. Trzeba dużo samozaparcia, żeby siedzieć godzinami na irlandzkiej plaży. Drząc jak żrebę z zimna, w nadziei, że szczelna kopuła

chmur pięknie choć na chwilę, przepuszczając kilka promieni słońca.

Uroki wyspiarskiego życia?

Z naszej wyspy niedaleko już do Ul-tima Thule, krańca świata, jak wierzyli ludzie jeszcze w średniowieczu. Z kolei daleko nam do Utopii, jeśli trzymać się tej mitycznej kartografii. Kapryśną pogodę ➔

→ rekompensuje nam za to zniewalające piękno naszego wybrzeża.

Tom Kettle, bohater wydanej właśnie po polsku powieści „Czas starego Boga”, swoją policyjną emeryturę postanowił spędzić wpatrując się w morze.

Część wschodniego wybrzeża Dalkey, kawałek na południe od Dublina, gdzie mieszka Tom, ma kameralny, intymny wręcz charakter. W takich miejscach można się zadowolić, poczuć się swojsko. W przeciwieństwie do wybrzeża Atlantyku, gdzie nieustannie przetaczają się sztormy. Jako dziecko mieszkałem w Queenstown Castle, niedaleko miejsca, w którym osiadł Tom. Mój dom wypełniony był morską poezją, żyliśmy w rytmie kaprysów morza. Jego piękno zawsze dodawało nam otuchy. Obok nas, tak jak opisałem to w powieści, faktycznie mieszkał mężczyzna po sześćdziesiątce, który strzelał z karabinu myśliwskiego do kormoranów żyjących na skałach w pobliżu wyspy Dalkey. Swoją drogą ta wysepka to w pewnym sensie esencja Irlandii – jałowa ziemia o dziwacznej historii. Dla tego to właśnie morze – a nie ląd – było zawsze lekarstwem na nasze troski.

Pisał Pan, że bycie Irlandczykiem oznacza uwikłanie w historię. Dlaczego?

Tworząc postacie chciałem przyjrzeć się uważnie skomplikowanej i bolesnej historii mojego kraju. Jesteśmy potomkami ludzi, którzy wędrowali na zachód przez całą Europę, aż dotarli do miejsca, z którego nie dało się ani iść dalej, ani wrócić. Byli jak schwytane i zdeorientowane stado. Zatrzymało nas morze, ale nasze serca nie były jeszcze całkiem zamknięte, rwały się dalej. Potem wyspa podzieliła się na wiele zwalczających się nawzajem królestw, aż w końcu przyszli nasi sąsiedzi, Anglicy, i powoli, ale konsekwentnie nas podbili. Wtedy już całkiem straciliśmy orientację, przestaliśmy wiedzieć, kim właściwie jesteśmy – wciąż próbujemy się tego dowiedzieć, szczególnie od momentu odzyskania niepodległości w 1922 roku.

Jesteście narodem emigrantów – to nasza wspólna cecha.

Wielu Irlandczyków było zmuszonych do ucieczki do Ameryki albo do Anglii.

Czuję, że jestem potomkiem tej garstki, która została – musiała przetrwać, bo nie była w stanie uciec. A mimo to, mimo całego tego ogromu cierpienia i beznadziei, wciąż mówimy, że kochamy nasz kraj. To dla Irlandii wielkie błogosławieństwo i wybawienie.

Trudna przeszłość ciągle powraca w irlandzkiej kulturze – szczególnie ta związana z katolicyzmem.

W XIX wieku przedstawiciele kleru mieli potencjalnie do odegrania niezwykle ważną rolę – powinni być przywódcami uciskanej ludności. Ale nawet w tej kwestii zawiedli. W XX wieku skupili się niemalże wyłącznie na podtrzymywaniu korzystnego dla siebie społecznego *status quo*, na które składała się między innymi zdumiewająca i zabójczo toksyczna deprawacja seksualna względem dzieci. A także dziwne okrucieństwo wobec każdego, kto pochodził z mniej uprzywilejowanej grupy społecznej. Tego właśnie doświadczył Tom i jego żona June z „Czasu starego Boga” – i to w najokrutniejszym wydaniu.

W „Dniach bez końca” narrator mówi, że bycie Irlandczykiem oznacza podwójne życie, egzystencję wiecznego wygnańca, także z własnej kultury. Co to znaczy?

SEBASTIAN BARRY (ur. 1955)

jest irlandzkim pisarzem, poetą i scenarzystą. Absolwent Trinity College w Dublinie. Zadebiutował powieścią „Macker’s Garden” w 1982 roku. Był wielokrotnie nagradzany, między innymi dwukrotnie otrzymał Costa Book of the Year, był także trzykrotnie nominowany do Man Booker Prize: w 2005 roku za „A Long Long Way”, w 2008 za „The Secret Scripture” oraz w 2023 za powieść „Czas starego Boga”, która właśnie ukazała się po polsku pod patronatem Festiwalu Conrada (przeł. Aga Zano). W Polsce ukazały się także cztery inne jego książki: „Tajny dziennik” (2011, przeł. Magdalena Słysz), „Po stronie Kanaanu” (2015, przeł. Katarzyna Makaruk, w tym roku ukazało się nowe tłumaczenie Krzysztofa Cieślaka nakładem wydawnictwa ArtRage), „Dni bez końca” (2019, przeł. Jędrzej Polak) i „Tysiąc księżyców” (2023, przeł. Krzysztof Cieślak).

Po uzyskaniu przez Irlandię niepodległości wielu ludzi, którzy o nią walczyli na najróżniejsze sposoby, poczuło rozczarowanie. Dla niektórych upragniona ojczyzna okazała się wręcz wroga – musieli z niej uciekać. Wojna domowa z lat 1922-23 tylko pogłębiła ten kryzys. Nawet ci, którzy zostali, często nie potrafili się odnaleźć w nowej rzeczywistości, mieli w sobie poczucie, że są wygnańcami we własnym kraju. Idea upragnionej Irlandii była nieustannie weryfikowana przez różne warianty rzeczywistości. Czy ktoś był wtedy zadowolony z tego,



THE IRISH TIMES / MATERIAŁ PRASOWY

co udało się uzyskać? Czy zadowolenie w ogóle było wówczas czymś celem? Korzenie naszej kultury sięgają głęboko w przeszłość, aż do końcówki starożytności, ale okres, w którym byliśmy odpowiedzialni sami za siebie, trwa zaledwie od kilku pokoleń. Trudno więc się dziwić, że w latach 30., gdy do władzy doszedł Éamon de Valera, całe grupy społeczne – protestanci, kobiety czy choćby pisarze – czuli się wykluczeni z tej monotonnej i ponurej rzeczywistości. Rozczarowanie odziedziczyliśmy po naszych przodkach. A mimo to staramy się kształtować swój

kraj, zmieniać go tak, aby uczynić z niego dom, w którym jak najwięcej ludzi będzie czuło się dobrze.

Udaje się?

Od czasu do czasu promień słońca przebija się nawet przez najciemniejsze chmury.

Irlandia zawsze miała do pomocy swoją wybitną literaturę.

Zdecydowanie tak, choć przez długi czas wielu irlandzkich pisarzy nie mogło żyć i tworzyć w Irlandii, musieli emigro-

wać. Nawet Yeats spędził wiele lat w Anglii, choć najbardziej oczywistym przykładem byłby tu zapewne Joyce.

Colm Tóibín mówił mi kiedyś, że w Irlandii łatwo było o dobrą literaturę, bo ołówek i kartka nie kosztowały wiele. Gorzej z innymi formami sztuki.

To oczywiście prawda, choć zapewne nie tylko w przypadku Irlandii, także innych społeczeństw poddawanych różnym formom represji. Colm miał zapewne na myśli coś jeszcze – irlandzka kultura ↗



→ w pewnym momencie stała się przeszkodą dla samej siebie. Gdy powstało nowe państwo, próbowała wejść w buty uszyte na zupełnie inną miarę. Pod presją czasu i ideałów ukazywała coraz bardziej odkształconą rzeczywistość, co musiało prowadzić do frustracji. Moje pokolenie w większości zostało w kraju, ale niektórzy z naszych najwybitniejszych pisarzy, jak choćby Colum McCann, większość życia spędzili za granicą. W takiej sytuacji nie masz wyjścia – zostajesz badaczem własnej dezorientacji. Jeżeli przez lata mieszka się na przykład w USA, to również można się poczuć w pewnym sensie na wygnaniu, a to zmienia optykę. Czy w takiej sytuacji Irlandia wciąż leży w centrum, czy przesuwa się na peryferie? Można też poetycko, a może nawet nieco politycznie, zapytać – gdzie jest Irlandia Północna? Jak w ogóle zmierzyć się z tą gigantyczną diasporą? Próbowaliśmy rozpaczyliwie myśleć o Irlandii jako o miejscu centralnym dla naszej wyobraźni, ale tak naprawdę nasza ojczyzna ma swój sekret i niepoznawalny kształt. W tym sensie jesteśmy zmuszeni wieść żywot pisarzy światowych.

Czyli jakich?

Wędrownych, czujnych, tęskniących za domem, do tego ze złamanym sercem, ale jednocześnie odczuwających dziwny rodzaj szczęścia.

W tym roku hasłem przewodnim Festiwalu Conrada będzie „autentyczność”. Czy to dla Pana istotny atrybut literatury?

Tak się akurat składa, że pisarzem, który miał na mnie największy wpływ, był właśnie Joseph Conrad. Nikt lepiej od niego nie rozumiał, co to znaczy być skądinąd, jak to bycie-nie-stąd przemycić w sobie niczym tajny ładunek – i jak wielkie ryzyko bycia oskarżonym o nieautentyczność się z tym wiąże. Nauczył się angielskiego dopiero po trzydziestce i, z tego, co wiadomo, w mowie nigdy nie nauczył się nim władać perfekcyjnie. A jednocześnie pisał najbardziej perfekcyjną angielszczyznę w dziejach literatury. Jak to możliwe? Z irlandzkiej perspektywy stosunkowo łatwo nam to zrozumieć, jako że dawno temu straciliśmy nasz język, musieliśmy pogodzić się z faktem, że została nam angielszczyzna. Podobnie jak Conrad musieliśmy przyjąć ją za nasz domyślny język, aczkolwiek tym sekretnym, wewnętr-

■ Tworząc postacie w moich powieściach, chciałem przyjrzeć się uważnie skomplikowanej i bolesnej historii mojego kraju. Jesteśmy potomkami ludzi, którzy wędrowali na zachód przez całą Europę, aż dotarli do miejsca, z którego nie dało się ani iść dalej, ani wrócić.

■ Nikt lepiej od Conrada nie rozumiał, co to znaczy być skądinąd, jak to bycie-nie-stąd przemycić w sobie niczym tajny ładunek – i jak wielkie ryzyko bycia oskarżonym o nieautentyczność się z tym wiąże.

nym wciąż pozostaje irlandzki – a w przypadku Conrada polski.

Taka dwujęzyczność daje większe możliwości literackie?

Tu chodzi o coś więcej niż zwykłą dwujęzyczność. Wydaje mi się, że wciąż nie doceniamy cudu, jaki się wydarzył w przypadku Conrada. Udała mu się sztuka zupełnie niezwykła – przeprowadził się z jednego języka do innego, zupełnie jakby wędrował między krajami. Na jego przykładzie widać, że autentyczność może narodzić się z tego, co z definicji jest głęboko nieautentyczne. Być może autentyczność człowieka wynika z twórczego wysiłku duszy, adaptacji koniecznej z powodu zakłóceń i zbiegów okoliczności. W twórczości wspomnianego już Colma Tóibína widać to świetnie – nie ma zgrzytu między autentycznością

jego prozy a autentycznością jego życia. Tóibín-pisarz i Tóibín-człowiek są bliźniakami w sierocińcu świata.

Bohaterowie Pana powieści poszukują autentyczności?

„Jeśli ktoś nie został zapisany w księdze życia, został wrzucony do jeziora ognia”, jak mówi Apokalipsa św. Jana. Moim zdaniem to, co się wydarzyło, ale nie zostało zapisane, tak naprawdę się nie wydarzyło. Większość naszego życia zostaje automatycznie wymazana na zawsze z pamięci. W swojej prozie starałem się przywrócić światu kilka zapomnianych postaci – jednocześnie próbując uczcić ich autentyczność i paradoksalną, bo pozbawioną znaczenia istotność. Moi bohaterowie pragną stać się częścią Księgi Życia, bo właśnie taką możliwość daje literatura. Niestety, ci biedacy za sekretarza mogą mieć tylko mnie, i nic na to nie są w stanie poradzić.

W swojej prozie przyjmuje Pan najróżniejsze punkty widzenia – na przykład w „Tysiącu księżyców” narratorką jest młoda Indianka. To ryzykowne w czasach tożsamościowych wojen kulturowych. Niektórzy nawet oskarżali Pana o zawłaszczenie kulturowe.

Na takie zarzuty mam krótką odpowiedź – w życiu ma się szansę napisać tylko kilka książek, więc jeżeli złapie się trop, trzeba za nim podążać. To nie jest wybór, tylko konieczność. Jeśli jesteś obwiniany za to, co piszesz, musisz się z tym pogodzić. Nie widzę innego rozwiązania. Pisanie przynależy do królestwa wolności – nie ma tu miejsca na żadne ograniczenia. Uwagi o tym, co można, a czego nie wolno pisać, nie pochodzą od Sofoklesa czy Kartezjusza – wypływa je amorficzne morze internetu.

Wróćmy do „Czasu starego Boga” – czy to próba rozliczenia zbrodni Kościoła katolickiego w Irlandii? Chodzi o sprawiedliwość czy o zemstę?

To z pewnością jeden z wątków tej powieści. Sam zastanawiam się, czy chodzi tu bardziej o rozliczenie przeszłości, czy może faktycznie o jakąś formę odpłaty za dawne krzywdy. Bo czym tak naprawdę jest zemsta? Czy mamy z nią do czynienia wtedy, gdy zawodzi nas prawo i społeczeństwo – kiedy po cichu

kupujemy pistolet albo zaciskamy rękę na nożu? Co dzieje się z niewyobrażalnym bólem skrzywdzonego dziecka, gdy z czasem rozciénia się on w becze późniejszego „ja”?

W kategoriach zemsty to, co w powieści robi dorosła June, jest dobre czy złe?

Zbrodnie przeciwko jednostkowej autentyczności June zostały już dawno temu wyrte w jej duszy. W jej przypadku żadna rekompensata nie wchodzi w grę. Z drugiej strony wypieranie dawnych krzywd nie sprawia, że stają się one mniej dotkliwe – wręcz przeciwnie. Tuszowanie i dwulicowość, strategie typowe dla Kościoła, również nie działają. Wielu irlandzkich księży było mordercami. Nawet jeżeli bezpośrednio nie popełnili zbrodni, byli powolnymi mordercami dusz. Większość nie została za to w żaden sposób ukarana. Były to działania tak zwanych duchownych – czy sam Bóg nie powinien wystąpić przeciwko nim? Chyba że w tym przypadku mówimy raczej o szatanie...

Tom Kettle, który sam nie był ofiarą, ale w wyniku zbrodni księży stracił rodzinę, wciąż ma siłę, żeby żyć. Skąd? Czy dla niego też nie ma zbawienia?

Wynika to z osobistej odwagi Toma, którą bardzo podziwiam. Ostatecznie nasze serca biją niezależnie od tego, czego doświadczamy w życiu. Tom najpierw wszystko dokładnie przeanalizował, potem próbował zapomnieć, a teraz, gdy spotykamy go na początku powieści, musi ponownie zmierzyć się z największymi traumami swojego życia. I godzi się na to. Dzięki temu dostępuje odkupienia. Jako postać najpierw zostaje stworzony, potem rozebrany na części. Jego życie zamienia się w rwący, niebezpieczny potok, musi walczyć z prądem i morderczymi falami, jak mewa w czasie sztormu. To, co mogłoby naprawdę dać mu zbawienie – jego utracona żona June i dzieci – nie są dostępne. Musi sam się uratować, a ma pod ręką wyłącznie skrawki i cienie z dawnego życia.

Pana bohaterowie nieustannie opowiadają historie – o swoim albo czymś innym. Chodzi o przeciwstawienie się wadliwej pamięci?



Sebastian Barry
CZAS STAREGO BOGA

przeł. Aga Zano,
Wydawnictwo ArtRage,
Warszawa 2024.

Książka ukazała się pod patronatem
Festiwalu Conrada.

No cóż, na tym polega przekleństwo bycia człowiekiem – albo błogosławieństwo, zależy jak na to spojrzeć. Zapominanie, odpominanie, pisanie, niepisanie. Czy lepiej stawiać czoło wszystkiemu naraz, czy odłożyć to na bok, wykręcić się niczym zwinny tancerz? Może tak i tak, w zależności od sytuacji. Wiele moich postaci jest wzorowanych na prawdziwych ludziach, których życiorysy zostały wymazane, ponieważ uważano je za niewłaściwe, niewygodne w danym momencie. Nawet dla najbliższych im ludzi. Tak więc pisać ich na nowo, „wymyślać ich”, czasem wręcz od zera, muszę koniecznie mieć w sobie wiarę w to, że pamięć jest czymś niezbędnym. Bez pamięci stajemy się fałszywymi ludźmi. I fałszywymi narodami.

„Czas starego Boga” to także, siłą rzeczy, książka o starości, przemianach.

Dużo pisałem o starości, kiedy byłem jeszcze młody. Może dlatego, że ludzie, którzy uratowali mnie w dzieciństwie, byli z perspektywy dziecka „starzy”? Na przykład moja ciotka Annie, którą opisałem w powieści „Annie Dunne”, albo mój dziadek – Jack w „The Temporary Gentleman” – i wielu innych. Wszyscy dobrzy ludzie, których wtedy znałem, byli starzy. Ale stworzyłem też wiele młodych postaci, na przykład Willie Dunne z „A Long Long Way”, który ma

zaledwie siedemnaście lat. Zaletą pisanie o ludziach w tym wieku jest to, że mają oni jeszcze całe życie przed sobą, które można drobiazgowo przeanalizować i opisać. X młodości sumuje się z Y wieku średniego i Z starości. X+Y+Z zawsze daje jakąś ciekawą konkluzję, może nawet opowieść. Ze starością jest trudniej, bo zostaje tylko wiwisekcja tego, co już przeminięło.

Tym jest właśnie tytułowy czas starego Boga?

To stare irlandzkie wyrażenie oznaczające coś, co wydarzyło się na tyle dawno temu, że nie ma już związku z teraźniejszością. Na przykład jakieś wydarzenie z dzieciństwa albo wczesnej młodości. Jest w tym nuta lekceważenia, ale jednocześnie próba wytłumaczenia przeszłości. Mówiąc inaczej: to było dawno temu – wtedy miało to jakiś sens, ale dziś już nie warto do tego wracać.

To istotny niuans w kontekście tego, o czym jest ta powieść.

Długo zastanawiałem się, czy powinien to być Bóg, czy raczej liczba mnoga – bogowie. Zanim wydarzyła się katastrofa chrześcijaństwa, mieliśmy w Irlandii wielu ciekawych i użytecznych bogów, których musieliśmy się pozbyć. Może jeszcze gdzieś są? Pierwotnie książka miała mieć tytuł „The Cigarillo Man” [cygaretki w życiu głównego bohatera odgrywają ważną rolę – red.], ale gdy pewnego razu mój stolarz użył frazy „czas starego Boga”, od razu pomyślałem, że to dużo lepszy pomysł. Później nagabywałem mnie o tantiemy, ale wytłumaczyłem mu, że nie można mieć zastrzeżonych praw do tytułu. Możliwe, że w związku z tym zapłaciłem nieco więcej za okno, które u niego zamówiłem.

©© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Podczas tegorocznej edycji Festiwalu Conrada odbędzie się spotkanie z **SEBASTIANEM BARRYM**, które poprowadzi **MAGDA HEYDEL**. Z autorem „Czasu starego Boga” będziemy rozmawiać o tym, czym jest autentyczność w obliczu trudnej i domagającej się rewizji przeszłości, a także o tym, jakie związki zachodzą między literaturą a pamięcią. No i oczywiście o Irlandii.

Przelane na papier

MONIKA OCHĘDOWSKA

Powieść ma pozwalać naprawdę coś poczuć, nawet jeśli będą to smutek, zagubienie czy strach. Dlatego w wielu booktokach za główną zaletę książki uznaje się jej ciężar emocjonalny, obietnicę, że oto do naszych rąk trafia coś, co zostawi w nas naprawdę trwałą ślad.

Kilka tygodni temu spotkałam się z grupą kilkunastu ósmoklasistów, by porozmawiać o książce Benedicta Wellsa „Hard Land”. To opowieść relacjonująca kilka letnich miesięcy życia mieszkającego w Missouri piętnastolatka – miesięcy, które na zawsze zmieniają jego życie. Podczas wakacji Sam traci bowiem umierającą na raka matkę i po raz pierwszy się zakochuje. Mieszanka sprzecznych emocji.

W pewnym momencie nasza dyskusja na temat powieści Wellsa zaczęła zmierzać w stronę poszukiwania odpowiedzi na pytanie, czy wielość doświadczeń, które stają się udziałem bohatera, byłaby do udźwignięcia dla jakiegokolwiek innego młodego człowieka. Czy choroba mamy Sama, kiepska sytuacja finansowa rodziny wynikająca z bezrobocia ojca oraz brak przyjaciół to nie za dużo katastrof jak na jednego, właściwie dość sympatycznego, piętnastolatka. Czy Wells nie próbuje tutaj na siłę wzbudzić naszego współczucia?

To zagadnienie nakręcało naszą dyskusję dobry kwadrans, aż wreszcie uznaliśmy, choć nie był to konsensus, że nagromadzenie tragedii w życiu Sama służyć może temu, by każda z czytelniczek i każdy z czytelników znalazł w historii opowiedzianej przez Wellsa coś, co im samym będzie bliskie. Wielu z nas w nastoletnim wieku doświadcza jakiegoś braku, czy będzie to prozaiczny brak kasy na nowe ciuchy, brak przyjaciół, brak wzajemności w uczuciach, czy też brak prawdziwej relacji z ojcem.

Ale dlaczego tak ważne dla moich rozmówczyń i rozmówców były znamiona autentyczności postaci, na które – bez tego spotkania – z pewnością nie zwróciłabym uwagi?

Prawdziwa historia

Zerknijmy na wirtualne półki księgarni i wypożyczalni VOD. Wśród kryminałów – zarówno tych telewizyjnych, jak i literackich – największą popularnością cieszą się tytuły z kategorii *true crime*, dotyczące naprawdę popełnionych morderstw lub niewyjaśnionych zaginięć prawdziwych osób. Z kolei najgłośniejszym serialem ostatnich tygodni był oparty na prawdziwej historii jego twórcy, Richarda Gadda, kontrowersyjny „Reniferek”.

Rankingi sprzedaży pokazują, że chcemy czytać pamiętniki angielskich książąt, ale też biografizujące eseje francuskich, a coraz częściej także polskich intelektualistek i intelektualistów, dotyczące ich ludowego czy robotniczego pochodzenia. Coraz mocniejsza robi się konkurencja programów typu *reality shows*. Do wyboru mamy skomplikowane formaty, w których już nie tylko samotni rolnicy szukają sobie żony, ale też pary z wieloletnim stażem sprawdzają autentyczność swoich relacji, decydując się na eksperymentalne rozstanie. Autentycznie, czyli *unplugged*, grają nasze ulubione zespoły w filmikach wrzucanych na YouTube’a. Aby zdać sobie sprawę, że nie jest to klucz do sukcesu wyłącznie artystów pop, wystarczy sobie przypomnieć, w którym momencie głośno zrobiło się o kontratenorze Jakubie Józefie Orlińskim. Czy nie wtedy, gdy z arią „Vedro con mio diletto” z opery „Il Giustino” Vivaldiego pojawił się na YouTube’owym kanale France Musique w koszuli w kratkę i przybrudzonych adidasach, a towarzyszący mu pianista Alphonse Cémin zasiał do instrumentu w klapkach? Film stał się wiralem.

Życie to rollercoaster

Nic dziwnego, że autentyczność jest istotnym elementem zarówno najnowszej literatury dla młodzieży, jak i jej instagramowych czy tiktokowych (booktokowych) recenzji. Na okładkach książek kierowanych do młodych czytelników i czytelników znajdziemy informacje o emocjach, jakie gwarantuje ich lektura. A sporo booktokowych filmików, na których czytelniczki (bo na temat swoich lektur mówią głównie książkary) dzielą się wrażeniami z lektury, będzie wyglądało jak ucieleśnienie tych obietnic. Główną ich bohaterką jest zwykle autorka kanału, która we własnym pokoju, na tle regałów wypełnionych książkami, opowiada o tym, jak intensywnie doświadczyła powieściowej historii.

Czytelniczkom pod wpływem lektury zdarza się skakać z radości przy dźwiękach ulubionej piosenki albo płakać wprost do kamery. Może się to oczywiście wydarzyć podczas czytania tej samej książki. Nic nie szkodzi, ważna jest zmienność emocji, wpisana w historię ambiwalencji, przeplatanie się momentów zabawnych ze strasznymi, wzruszających z irytującymi, *love* powinno równoważyć *hate*.

Powieść ma bowiem uruchamiać silne emocje, pozwalać naprawdę coś poczuć, nawet jeśli będzie to smutek, zagubienie czy strach. Dlatego w wielu booktokach za główną zaletę książki uznaje się jej ciężar emocjonalny, a wśród tagów określających kategorie powieści – także przez samych wydawców – znajdziemy m.in. „emocjonalny rollercoaster” czy „emotional scars”, a więc obietnicę, że oto do naszych rąk trafia coś, co zostawi w nas naprawdę trwałą ślad. Ten ślad często wiąże się z tym, co oferują nam tzw. ważne historie, czyli opowieści, których fabuła jest



IAN FORSYTH/GETTY IMAGES

Newcastle upon Tyne. Wielka Brytania, kwiecień 2019 r.

splotem społecznie wrażliwych tematów, dotyczących doświadczenia hejtu, depresji, wykluczenia, żałoby itp.

Własnym językiem

To, w czym dorośli dopatrują się słabości książek dla młodzieży, czyli nieskrępowana poetyka wyznania i język, pozwalający mieć pewność, że czyta się coś, co nie podlegało żadnej redakcji – dla nastoletnich czytelniczek stanowi zdecydowany atut. Dlaczego? Wiele popularnych dziś autorek zaczynało tworzyć swoje historie na Wattpadzie, czyli bezpłatnej aplikacji do pisania amatorskich powieści w odcinkach. Niektóre z tych historii, zyskując popularność odbiorczyń, prosto z Wattpada trafiło do druku i za to są kochane przez swoje czytelniczki. Nie tylko dlatego, że reprezentują „autentyczny” pisarski sukces. Chodzi o coś więcej – autentyczność samego języka, który nie sili się na literacki, nie udaje, nie stylizuje.

„Mam wrażenie, że to są słowa przełane od razu na papier”, mówią czytelniczki polskich powieści dla młodzieży, „to jest napisane tak, jak mówimy, i dlatego to się tak dobrze czyta”. „Przelane od razu na papier”, a więc niepoddane wewnętrznej cenzurze – szczere, autentyczne, prawdziwe. Nic dziwnego – poszukiwanie autentyczności jest po prostu poszukiwaniem siebie w opowieściach. Czytając, chcę zrozumieć swoje emocje,

lepiej poznać siebie, spojrzeć na swoje doświadczenia oczami innych. To wszystko prowadzi do *katharsis*.

Potrzeba intensywności jest potrzebą nastoletnich osób w każdym pokoleniu, kiedy to muzyka, filmy i powieści stają się użyteczną scenografią przeżyć. Kto w wieku szesnastu lat nie słuchał nieustannie jakiejś okropnie smutnej piosenki o złamanym sercu, myśląc – „to o mnie”? I choć piosenka nie pozwalała przestać myśleć o rozstaniu czy zranieniu, czy nie czuliśmy przymusu nieustannego jej odtwarzania?

Ale jest coś, co w tym pragnieniu intensywności odróżnia doświadczenie dzisiejszych nastolatów i nastolatek od doświadczenia ich rodziców. Przede wszystkim – otacza nas dziś nadwyżka informacji, także tych, którym nie można ufać. Wśród dostępnych historii wyjaśniających to, co dzieje się na świecie, mamy także liczne teorie spiskowe albo bzdury obliczone na klikalność. Dlatego, jeśli nie jestem w stanie zweryfikować informacji, po prostu je sobie odpuszczam, wierząc, że przynajmniej to, co czuję, jest stuprocentowo autentyczne.

Jest jednak druga strona tego zjawiska. Kogoś, kto kilkadziesiąt razy dziennie przegląda kanały informacyjne i krótkie filmy na TikToku, psychoterapeuta Bogdan de Barbaro porównuje do kibica oglądającego niekończący się mecz

piłki nożnej. W skrócie: to emocjonalnie bardzo wyczerpująca sytuacja, która utrwała w nas przekonanie, że to nie wynik meczu jest ważny, tylko to, co przeżywamy w trakcie. W trakcie, czyli nieustannie, bo ten mecz się przecież nigdy nie kończy.

Bez snobowania

Czytałam i słyszałam niemało głosów potępiających popularne powieści *young adult*, w których wielu widzi jedynie kiepskiej jakości towar wygenerowany przez działy marketingu dużych wydawnictw. W odróżnieniu od tego, czego oczekują ich odbiorczynie, nie byłoby to zatem nic autentycznego, przeciwnie – lipa i hucpa. Produkty, które psują gusta młodych czytelniczek i czytelników już na początku ich przygody z literaturą.

Czy zatem, śledząc booktokerkę, daje się nabrać na to, że – abstrahując od autentycznej popularności konkretnych tytułów – nie ma w tej modzie żadnego snobizmu, natomiast książka mimochodem staje się jednym z elementów stylu życia, służącym również do zabawy?

Tak, zapewne sporo tytułów z gatunku *young adult* rzeczywiście jest produktem obliczonym na zysk. Wiele z nich nie ma walorów literackich, za to do znudzenia powiela schematy fabularne, obliczone na karuzelę emocji. Zakładam, że mnóstwo udających autentyczne kanałów booktokowych sponsorowanych jest przez wydawców.

Ale ostatecznie, kiedy z grupą nastolatek, którzy chcieli przeczytać „Hard Land”, rozmawiam twarzą w twarz o tym, co czuje mieszkający w Missouri piętnastoletni Sam, wierzę, że wszyscy jesteśmy w tym naprawdę. Jesteśmy autentyczni. ©

Podczas tegorocznej edycji Festiwalu Conrada odbędzie się spotkanie z młodymi krytyczkami i krytykami literackimi, które poprowadzi **MONIKA OCHĘDOWSKA**. Podczas debaty będziemy rozmawiać o tym, jakiej krytyki literackiej poszukują dziś młode czytelniczki i młodzi czytelnicy. Czy język, którego się do tego używa, powinien opierać się wyłącznie na autentyzmie literackiego doświadczenia? I na czym ten autentyzm miałby polegać?

W Argentynie, czyli wszędzie

TOMASZ PINDEL

Piñeiro wpisuje się w szeroki nurt latynoskiej prozy „neopolicial”. Nie chodzi jej o to, żeby po raz kolejny śledzić poczynania seryjnego zabójcy czy policjanta z problemem alkoholowym, tylko mierzyć się z palącymi kwestiami społecznymi i politycznymi.

Autorka kryminałów? Owszem, notki na okładkach i liczne gatunkowe nagrody zdają się nie pozostawiać złudzeń. Pisarka społecznie zaangażowana? Bez wątpienia, widać to zarówno w jej książkach, jak i w publicystyce. Mistrzyni społecznej wiwisekcji? Bez dwóch zdań. Wytrawna literacka psycholożka? W każdej powieści znajdziemy przynajmniej kilka wnikliwie sportretowanych postaci.

Mógłbym tak jeszcze wyliczać dobrą chwilę, bowiem Claudia Piñeiro wypracowała nader pojemną formułę powieści i dzięki temu stała się najchętniej czytaną i tłumaczoną współczesną pisarką z Argentyny.

Zbrodnia doskonała

By docenić pisarstwo Piñeiro, warto zacząć od swoistego pakietu i jednym ciągiem przeczytać krótką powieść „Twoja” oraz jej sequel „Czas much”. „Twoja” to pierwsza „dorosła” powieść pisarki, oryginalnie wydana w 2005 r., po polsku ukazała się w jednym tomie z drugą minipowieścią „Elena wie” z roku 2019. Wcześniej Piñeiro opublikowała tylko dwie książki dla dzieci. Powieść jest faktycznie dość krótka, ale jednocześnie niezwykle gęsta.

Główną bohaterką tej historii jest Inés, kobieta w średnim wieku, stateczna pani domu, mężatka i matka dorastającej córki, która odkrywa, że jest zdradzana. Informację przyjmuje stosunkowo spokojnie – bo cóż, wiadomo, jacy są mężczyźni – ale też zdaje sobie sprawę, że nie można tego tak po prostu zostawić, bo jeśli skok w bok okazałby się czymś poważniejszym, to małżeńsko-rodzinne *status quo* może być zagrożone, a do tego dopuścić nie można.

Inés śledzi więc swojego niewiernego małżonka i staje się świadkiem dramatycznej sceny: podczas kłótni i szarpaniny kochanka przewraca się na tyle nieszczęśliwie, że rozbija sobie głowę i ginie na miejscu. Co w tej sytuacji robi dobra żona? Dyskretnie bierze się do roboty i – nie ujawniając swojej wiedzy – za pomocą zakulisowych działań i subtelnych aluzji skierowanych do męża pomaga mu zatuszować sprawę.

To, oczywiście, jedynie punkt wyjścia, bo dalej dzieje się sporo – będą wolty i wstrząsający finał, o których jednak zmilczę. To naprawdę wciągająca historia kryminalna, ale jej siła tkwi w psychologii postaci. Piñeiro portretuje, zdawałoby się, najzwyklejszą rodzinę z klasy średniej, w której z pozoru wszystko wygląda jak należy, podczas gdy tak naprawdę relacje między jej członkami są straszne, a zbrodnia tylko to wszystko uwypukla, uruchamiając serię niefortunnych zdarzeń. Nic dziwnego, że „Twoja” spotkała się ze świetnym przyjęciem i za jej sprawą pisarka błyskawicznie awansowała do grona cenionych hiszpańskojęzycznych twórców ambitnego kryminału.

Jak zmienił się świat

Piętnaście lat później Piñeiro powróciła do swojej bohaterki: „Czas much” (2022, polskie wydanie rok później) rozpoczyna się od sceny, w której Inés, odsiedziawszy wyrok, wychodzi z więzienia. Jej życie sprzed odsiadki już nie istnieje: mąż po rozwodzie wyjechał z kraju, córka ma własne życie i nie życzy sobie żadnych kontaktów z matką. Kobieta musi się jakoś utrzymać, zakłada więc firmę dezynsekcijną, dzieląc biuro z ekstowarzystką z celi, Rączką, która para się procederem detektywistycznym.





I znów: zdradzić z fabuły za wiele nie wypada, w każdym razie obie kobiety pakują się od samego początku w bardzo podejrzaną historię, której dramatyczny finał sprawia, iż czytelnik nie będzie w stanie przerwać lektury ostatnich kilkudziesięciu stron (ja tak miałem). Ale znów dzieje się tu dużo więcej: jest to przede wszystkim opowieść o tym, jak zmienił się świat. Inés po piętnastu latach wraca do społeczeństwa, które uległo głębokiej przemianie, i nie chodzi tylko o samochody czy telefony komórkowe, ale nade wszystko o kwestie praw kobiet, wielki ruch, który rozbił, a raczej: wciąż rozbija, tradycyjny i patriarchalny porządek.

Inés z „Twojej” była koszmarną hipokrytką i osobą bezwzględnie dążącą do swoich celów; Inés z „Czasu much” spogląda na samą siebie sprzed piętnastu lat i zaczyna stawiać pytania: dlaczego taka była? jaka była jej moralna motywacja? Literacko jest to absolutnie mistrzowskie: Piñeiro pokazuje autentyczną ewolucję bohaterki, która wynika nie tylko z osobistych, bardzo trudnych, doświadczeń, ale również z ogromnych przemian społecznych.

Swoistym refrenem historii Inés stają się tu rozdziały chóralne, powracające w powieści co jakiś czas, w których czytamy (słyszemy?) całą masę żeńskich głosów – na podobieństwo chóru w antycznej tragedii komentującego fabułę i dyskutującego o kwestiach związanych z szeroko pojętymi prawami kobiet i feminizmem. Podkreślam: dyskutujących, bo chór nie przemawia jednym głosem, jego członkinie sprzecają się, różnią, kłócą. Piñeiro kolejny raz rozpycha ➔

CLAUDIA PIÑEIRO (ur. 1960) jest argentyńską pisarką. Przez wiele lat była dziennikarką, dramatopisarką i scenarzystką telewizyjną. W 1992 r. otrzymała ważną nagrodę dziennikarską Pléyade, później zaczęła pisać powieści. Jej prozatorski debiut „Twoja” ukazał się w 2005 r. Jeszcze w tym samym roku wydała „Czwartkowe wdowy” (otrzymała za nie prestiżową argentyńską nagrodę Clarín), które błyskawicznie stały się międzynarodowym bestsellerem. W Polsce ukazało się wiele jej książek, m.in. „Czas much” (2023), „Elena wie” (2019, nominowana do Międzynarodowej Nagrody Bookera), „Katedry” (2021), „Kłątwy” (2019) czy „Okruchy szczęścia” (2017). Autorką przekładu dwóch ostatnich tytułów jest Katarzyna Okrasko, pozostałe przełożył Tomasz Pindel.

→ formułę powieści kryminalnej i thrillera – o ile w ogóle do „Czasu much” takie etykiety pasują.

Czterej panowie w basenie

Rok po „Twojej” Claudia Piñeiro wydała swoją drugą powieść – i to ona ostatecznie wywindowała pisarkę na szczyt wydawniczej hierarchii. „Czwartkowe wdowy” sprzedawały się znakomicie i doczekały kinowej ekranizacji w 2009 r., a potem serialowej – osadzonej w realiach Meksyku – wersji w roku 2023. Z czasem miało się okazać, że Piñeiro jest pisarką bardzo filmową, reżyserzy chętnie sięgają po jej teksty, ona sama zaś ma na koncie kilka scenariuszy, w tym do netfliksowskiej serii „Jego królestwo”.

„Czwartkowe wdowy” zaczynają się niczym rasowy kryminał: jak w każdy czwartek, czwórka przyjaciół spotyka się w domu jednego z nich, by spędzić razem męski wieczorek. Żony mają wtedy „wychodne”, dlatego żartobliwie określają się mianem „wdów”. Wszyscy mieszkają w luksusowym, zamkniętym osiedlu pod Buenos Aires. Tego dnia jednak wieczór kończy się dramatycznie: ciała trzech mężczyzn zostają znalezione w basenie, czwarty przeżył, ale wrócił do domu roztrzęsiony i z kontuzją, wyraźnie nie chcąc o niczym opowiadać.

Kto jednak liczy na solidne śledztwo, z inspektorami bądź detektywami, przesłuchiwaniami świadków i myleniem tropów – będzie zaskoczony. Bo, owszem, zagadka się wyjaśni, na końcu dowiemy się, co się stało tego wieczora, i jest to rozwiązanie – jak tu nie powiedzieć za dużo – doskonałe. W ten sposób wszystko okazuje się kolejną opowieścią nie tyle o krwawych mordercach czy wielkich namiętnościach, ile raczej o naszych czasach i współczesnym społeczeństwie.

Zanim jednak dojdzie do wyjaśnień, czytelnik cofa się w czasie i zanurza w świecie idealnego osiedla zamożnych i szczęśliwych ludzi, którzy wybierają idyllę podmiejskiego życia wśród równo przyszytych trawników. Piñeiro doskonale portretuje ten zamknięty świat i jego mieszkańców oraz rządzące nim mechanizmy, które wypychają i eliminują to, co do owej rzeczywistości spod klosza zdaje się nie pasować. Oczywiście wszystkim w białych rękawiczkach: nikt przecież otwarcie nie powie, że te nazbyt śniade i czarnowłose adoptowane

■ Piñeiro doskonale portretuje zamknięty świat bogatych przedmieść Buenos Aires. Rządzące nim mechanizmy wypychają to, co do owej rzeczywistości spod klosza zdaje się nie pasować. Oczywiście wszystko w białych rękawiczkach: nikt przecież otwarcie nie powie, że te nazbyt śniade i czarnowłose adoptowane dzieci odstają od swych blond kolegów.

■ „Katedry” to opowieść o religijnym fanatyzmie, zaślepieniu i egoizmie. To także mocny literacki głos przeciw zakazowi aborcji, w Argentynie zniesionemu w 2020 – roku wydania powieści – w wyniku intensywnych protestów społecznych.

dzieci odstają od swych blond kolegów, że zdradzana żona zachowuje się nazbyt historycznie, że dla osób z żydowskim nazwiskiem z jakiegoś powodu raczej nie ma tu domu do wynajęcia. Tu wszystko jest doskonałe.

Takie osiedla rzeczywiście istnieją na obrzeżach argentyńskiej metropolii, nierzadko zresztą – dokładnie tak jak w powieści – sąsiadują z dzielnicami nędzy. Ich mieszkańcy kryją gdzieś w sobie lęk, że pewnego dnia tłuszcza zza między wścieknie się i najedzie ich przestrzeń – ale na razie dostarcza tylko tanich ogrod-

ników i kucharki. Mogłoby się więc wydawać, że rzecz jest bardzo argentyńska, ale to pozor: opisane przez Piñeiro mechanizmy społeczne są uniwersalne.

„Czwartkowe wdowy” to także przykład niesamowitej umiejętności kondensacji: w krótkich rozdziałach, punktowych scenach, pisarka potrafi zawrzeć niesamowicie dużo treści. Jest to nadzwyczaj gęste – kto wie, może to dziedzictwo Borgesa (tak, to nazwisko musi się pojawić w każdym tekście o argentyńskiej literaturze), z którym poza tym niewiele chyba Piñeiro łączy. Choć, gdyby się nad tym dłużej zastanowić, styczną jest właśnie specyficznie pojmowana literatura kryminalna, Borges używał przecież gatunkowych konwencji do swych filozoficznych spekulacji (oraz dla zabawy), Piñeiro zaś zaprzęga je do społecznych analiz, wpisując się w szeroki i stosunkowo mało u nas znany nurt latynoamerykańskiej prozy *neopolicial* (neokryminalnej), w której nie chodzi o to, żeby po raz enty śledzić poczynania seryjnego zbrojcy czy policjanta z problemem alkoholowym, tylko mierzyć się z palącymi kwestiami społecznymi i politycznymi.

Miej oczy otwarte

Konwencję tę stosuje Piñeiro w większości swoich powieści, choć w różny sposób i, zwłaszcza w późniejszej fazie swojej twórczości, coraz wyraźniej skracając w stronę powieści, którą z braku lepszej nazwy określić można jako obyczajową. Tak dzieje się na przykład w „Okruchach szczęścia” (2015, wyd. pol. 2016) – bohaterka wraca po wielu latach do rodzinnej miejscowości, gdzie doszło do tragedii z jej udziałem. Teraz przyjdzie jej zmierzyć się z pamięcią bądź zapomnieniem. Podobnie jest też w „Kłątwach” (2017, wyd. pol. 2019), gdzie zapuszczamy się w świat polityki – i, przy okazji, zbrodni. Podobny punkt wyjścia znajdziemy w „Katedrach” (2020, wyd. pol., 2021), w których śledzimy makabryczne morderstwo sprzed lat – młodziutką dziewczynę znaleziono częściowo spaloną na osiedlowym śmietniku, co staje się okazją do opowieści o religijnym fanatyzmie, zaślepieniu i egoizmie.

To także mocny literacki głos wymierzony w zakaz aborcji (w Argentynie zniesiony w roku wydania powieści, w wyniku intensywnych protestów społecz-

nych). Kryminalną konstrukcję dostrzeżemy także w „Elena wie” (2007), przejmującej historii kobiety dotkniętej chorobą neurodegeneracyjną. Żyjąca w rytmie kolejnych porcji leków Elena musi wyjść do miasta, co jest dla niej prawdziwym wyczynem. A cel jej wyjścia i powiązana z nim prawda o przeszłości odsłaniane są stopniowo – układają się w opowieść o bardzo trudnych relacjach matki z córką.

Czysto kryminalne otwarcie ma także „Betibu” (2011, wyd. pol. 2016). Oczyszczony w wątpliwych okolicznościach z oskarżeń o zamordowanie żony mężczyzna zostaje znaleziony martwy. Sprawą interesują się media oraz trójka bohaterów – być może najwspanialsze trio w całym dorobku pisarki: Nurit Iscar, niegdyś poczytna autorka kryminałów, później skompromitowana nieudaną powieścią romansową, Jaime Brena, dziennikarz kryminalny starej daty, oraz nigdy nienazwany z imienia „chłopak z kryminalnego”, przyuczający się do zawodu.

Intryga jest smakowita, postaci i ich relacje poprowadzone w pogłębiany i intrygujący sposób, do tego dochodzi błyskotliwy i bezlitosny portret tego, co dziś nazywamy dziennikarstwem: Brena powtarza, że prawdy trzeba szukać na ulicy, tymczasem jego podopieczny umie szukać informacji tylko na Twitterze. Ale finał tej powieści – znów nic nie mogę zdradzać poza tym, że przyprowadzi o ciarki na plecach – zmienia się w coś w rodzaju manifestu: jak świadomie szukać prawdy, jak nie dać się karmić propagandą i splaszczoną wizją świata. © TOMASZ PINDEL

Podczas tegorocznej edycji Festiwalu Conrada odbędzie się spotkanie z **CLAUDIA PIÑEIRO**, które poprowadzi **TOMASZ PINDEL**. Będziemy dyskutować o tym, co literatura jest w stanie powiedzieć o dzisiejszej polityce i społeczeństwie. Czy możliwe jest zbudowanie wiarygodnej panoramy, w której wszyscy moglibyśmy się zobaczyć? W jaki sposób proza gatunkowa (choćby kryminał albo thriller) może być krytycznym narzędziem, dzięki któremu lepiej rozumiemy samych siebie?

Przeszłość to obcy kraj

ALICJA URBANIK-KOPEĆ

Daleka jestem od dyskredytowania romansów historycznych, które są doskonałymi wehikułami podniet emocjonalnych, nawet jeśli dzieją się jedynie w dekoracjach Jane Austenland. Przyjemność daje tu obcowanie z wrazeniem przeszłości, ale na tyle zmienionej i bliskiej, by była doskonale zrozumiała.

Jak wyglądała Rzeczpospolita Obojga Narodów w XVII wieku? Była pełna dzielnych wojaków w futrzanych czapach z piórem na przedzie i zamaszystym wąsem. Albo przebiegłych, starych szlachciurów, miłujących się w opowiadaniu dykteryjek przeplatanych łacińskimi sentencjami, pijących miód na litry i zaciekle broniących swojego honoru. I jeszcze pięknych Kozaków o czarnych oczach, którzy grali na bałajace i kochali na zabój. Pojedynek na szable, intryg politycznych, nawróceń religijnych, miłości aż po grób i oczywiście sokołów szybujących nad ukraińskimi stepami. To znaczy, jeśli wierzyć Henrykowi Sienkiewiczowi.

W maju 1882 roku czasopismo „Słowo” wydrukowało pierwszy odcinek powieści „Ogniem i mieczem”. Do 1888 roku publiczność poznała i pokochała pozostałych bohaterów Trylogii (1886 to „Potop”, a 1888 „Pan Wołodyjowski”), a Sienkiewicz został wywinowany na zupełnie nowe wyżyny sławy i chwały. Sukcesy komercyjne kolejnych powieści historycznych potwierdziły jego status gwiazdy literatury polskiej, a Polakom na następne dwa stulecia pomogły utrwalić w kolektywnej pamięci obraz nie tylko polskiego wieku XVII, ale także XV („Krzyżacy”) i nawet starożytnego Rzymu („Quo Vadis”). Sienkiewicz ustanowił tym samym w polskiej literaturze nowy sposób opowiadania o przeszłości – przemycanie mieszanek prawdy i fantazji w wehikule przygodowej fabuły, obficie podlanej romansem, awanturą i heroicznymi czynami. A że prezentującej czasy mi-

nione niekoniecznie zgodnie z prawdą? Cóż, tym gorzej dla czasów.

Nie wszystkim to się jednak podobało. Po kilku latach podziwiania talentu i osobowości Sienkiewicza, Eliza Orzeszkowa zraziła się do niego na fali krytycznych recenzji, które w latach 80. pisał na temat jej twórczości. Sienkiewicz narzekał, że w tekstach Orzeszkowej zbyt wiele jest negatywnych postaci i nieszczęśliwych zakończeń. Orzeszkowa zaś – że Sienkiewicz pisze to, co publiczność chce czytać, nie przejmując się realizmem – że interesuje go tylko wprawienie czytelników w dobry nastrój na swój temat, nieraz wbrew faktom. W liście do T.T. Jeża z 1882 roku krzyczała z kark: „Sienkiewicz kontynuuje swoje »nie ma«! Już ich naliczyłam kilka. I tak: socjalistów Polaków – nie ma! Uliczników – à propos mojej »Sielanki nierózkowej«, wychodzących na złodzieiów i pijaków – nie ma! Chłopów nieszczęśliwych – à propos ludowej poezji Konopnickiej – nie ma! I nie tylko nie ma, ale nawet być nie może. To dopiero położył się na różach – głupiec!”.

Kawa figowa

Sienkiewicz, gdyby przypadkiem przeczytał prywatną korespondencję Orzeszkowej, raczej nie byłby zdziwiony tak karcącymi słowami. Nie ona jedna zarzucała mu brak realizmu i paranie się poślednim gatunkiem literackim, podczas gdy poważni twórcy doskonalili powieść realistyczną i eksplorowali mroki ludzkiej natury w powieści naturalistycznej. W wykładzie „O powieści historycznej” z 1889 roku, Sienkiewicz przywoływał popularny wówczas →

↳ bon mot Georga Brandesa, który nazywał powieść historyczną „prawdziwą kawą figową” literatury: „Równie jak kawa figowa, przez to samo, że jest figowa, nie może być prawdziwą, tak powieść, która z natury rzeczy jest utworem fantazji – nie może być historyczną”.

Pisarz niewiele jednak robił sobie z takich docinków. Nie był też głupcem i nie leżał na różach. Uważał, że zadaniem powieści historycznej nie jest opowiedzieć o tym, jak wyglądała przeszłość (i rozstrzygnąć, czy Podbięta mógł ściąć trzy głowy jednym zamachem krzyżackiego miecza), ale o tym, kim są jej współcześni czytelnicy. Powieść historyczna tak, jak rozumiał ją polski noblista, miała „odtworzyć duszę człowieka lat minionych, jego namietności, sposób myślenia; pokazać nam go nie w mroku grobowej krypty, ale w świetle słonecznym”, a do tego niezbędna była szczypta fantazji. Obecnych na warszawskim odczycie słuchaczy przekonywał, że czytanie fikcji historycznej jest nie tylko przyjemne, ale pożyteczne: „Pojedynczemu człowiekowi wychodzi zawsze na korzyść rozważanie swej przeszłości. Ono wyjaśnia mu liczne zjawiska czasu teraźniejszego; uczy go patrzeć genetycznie na siebie i dostarcza wskazówek na przyszłość; uczy niechać zadań, którym nie sprostą, a podejmować odpowiednie”.

Zadanie rozwiązane, polski noblista powiedział nam, jak traktować fikcję, w której zawarte jest więcej lub mniej prawdy. Kontrowersja, mimo niezachwianej pewności autora „Trylogii”, pozostaje jednak w mocy. Oprócz powieści historycznych mamy dziś też inne sposoby pisania o przeszłości, niekoniecznie obliczone na rekonstrukcję tożsamości narodowej czytelnika. Książki demaskujące, ciekawostkowe, skandaliczne, historie ludowe, kobiece, queerowe, mniejszościowe, zaangażowane politycznie, ostentacyjnie rozrywkowe, ostentacyjnie niezainteresowane realiami, o których piszą, a jedynie dekoracjami, które można z nich stworzyć... Każdy z nich stawia zaś przed czytelnikami inne zadanie.

Czy Lizzie Bennet goliła nogi

Oglądam jeszcze raz trzeci sezon „Bridgertonów”... W jaki sposób kobiety w XIX wieku goliły nogi? A może nie goliły? Czy to było zadanie ich pokojówek, tak jak lo-

Regency romances

to romansidła osadzone w czasach wojen napoleońskich. Tło historyczne jest tam tylko tłem, a na pierwszy plan wybijają się romanse okraszone scenami erotycznymi z użyciem działających na wyobraźnię rekwizytów epoki: gorsetów, pończoch, szpicrut i rozpiętych bryczesów.

Współczesna szkoła stawia przed uczniami korowód królów, bitew i traktatów, utrwalając w nich przekonanie, że przeszłość jest jedynie nudnym, sztywnym spisem politycznych decyzji. Jako dorośli, postawieni przed możliwością dowiedzenia się czegoś nowego i nietypowego o zszarzałych duchach przeszłości, korzystają z niej bez wahania.

kaje golił mężczyzn? – zapytuje w okolicach premiery serialu *margaretrosethography*. Odpowiadają jej liczne głosy zaangażowanych fanek i fanów: „Wydaje mi się, że nie goliły, w końcu nosiły długie sukienki!”, „Po co golić nogi, skoro masz pończochy?”, „Nikt nic nie golił, tylko nosiło dużo perfum, to Europa, jak byłam tam w latach 70. było tak samo”. „Być może wtedy nie goliło się nóg, ale trzeba by sprawdzić u kogoś, kto zna się na rzeczy”.

Atmosferę spekulacji psuje nieco bardziej zniecierpliwiona *jendraberry*:



„Kobiety w Anglii okresu Regencji nie goliły nóg, nosiły zawsze spięte włosy, męzkatki nosiły czepce, kobiety nie jadały same publicznie, nie tańczono walca, sukienki wyglądały inaczej i tak dalej.»Bridgertonowie« to super rozrywka, ale pozwala sobie na wiele zmian w stosunku do rzeczywistości». I jeszcze *learningtomakeafire*: „»Bridgertonowie« mają się do Wielkiej Brytanii czasów Regencji tak jak Śródziemie do współczesnej Walii. I za to ich kochamy”.

„Bridgertonowie” to święcąca sukcesy serialowa adaptacja serii powieści Julii



JOZEF GAIKA & JUSTYNA KRZEPKOWSKA

Agnieszka Latała i Tymoteusz Kutz w stylizowanej sesji kostiumowej Justyny Krzepkowskiej. Kraków, luty 2017 r.

Quinn, opowiadająca o losach wielodzietnej rodziny brytyjskich arystokratów na początku XIX wieku. Powieści te należą do niezwykle popularnego w krajach anglosaskich gatunku *Regency romances*, czyli romansideł osadzonych w czasach wojen napoleońskich. W powieściach tych tło historyczne jest właśnie tylko tłem, a na pierwszy plan wybijają się płomienne romanse okraszone licznymi scenami erotycznymi z użyciem działających na wyobraźnię rekwizytów epoki: gorsetów, pończoch, szpicrut i rozpiętych bryczesów. Całość robi często wrażenie,

jakby autor (czy też raczej autorka, bo to gatunek literacki uprawiany przez kobiety i przez kobiety czytany) wyobraził sobie, co Elizabeth Bennet i pan Darcy robili po zamknięciu drzwi sypialni, a następnie dopisał te fragmenty. W szczególności i z dużą dbałością o detale, uwspółcześniając przy okazji wiele elementów społecznych tak, by bohaterom w ostateczności nie groziła zbyt wielka kara za liczne transgresje (jak na ówczesne standardy) dokonywane w imię wielkiej miłości.

Jeśli więc chodzi o realia historyczne, portret psychologiczny postaci, a także

prawdopodobieństwo przeżywanych przez nich przygód, „Książę i ja” Julii Quinn (tom pierwszy „Bridgertonów”) ma się do powieści Jane Austen tak jak Śródziemie do Walii. Czy też może, jakby powiedział Dawid Lowenthal w książce „Past is a Foreign Country”: „Przeszłość to obcy kraj: tam wszystko robi się inaczej”. Cytat ten jest pierwszym zdaniem powieści L.P. Hartleya „Poślaniec”. To historia mężczyzny, który z dystansu pół wieku wspomina lato 1900 roku na angielskiej wsi, kiedy jako mały chłopiec pomagał →



ANNA BRZEZIŃSKA

(ur. 1971) jest pisarką i historyczką, absolwentką Instytutu Historii KUL oraz mediewistyki na Central European University w Budapeszcie. Trzykrotna laureatka Nagrody im. Janusza A. Zajdla. Debiutowała w roku 1998 opowiadaniem „A kochał ją, że strach”, opublikowanym w „Magii i Mieczu”. Autorka kilkunastu powieści i zbiorów opowiadań, z których najbardziej znane osadzone są w fikcyjnej krainie wzorowanej na renesansowej Italii. Autorka powieści historycznej „Córki Wawelu” (2017), a także zbioru esejów „Zmierzch świata rycerzy” (2023). W tym roku ukazała się kolejna jej powieść łącząca fikcję i historię, „Mgła”.

Strrrasna historia i wielkie skandale

Pierwsza książka, którą samodzielnie przeczytałam od okładki do okładki, to „Ci paskudni Aztekowie” autorstwa Terry’ego Deary. Starsi millennialsi na pewno rozpoznają autora i tytuł serii „Strrrasna Historia”. Te kilkadziesiąt książeczek dla młodszych nastolatków opierało się na prostym pomysle: opisać najdziwniejsze, najbardziej makabryczne i skandaliczne aspekty życia dawnych cywilizacji, okraszając wszystko humorystycznymi komiksami, żartami o wydzielinach ludzkiego ciała i odniesieniami do ciężkiego losu współczesnego dwunastolatka. Opis na tylnej okładce „Tych paskudnych Azteków” głosił: „Książka niepozbawiona strrrasnych momentów! Dzięki niej dowiesz się całej prawdy i tylko prawdy o Aztekach, ich sąsiadach Majach oraz innych krwawych plemionach, których ulubionym hobby było wyrwanie ludziom serc”. Działo świetnie. Pochłonęłam, tak jak tysiące dzieci na całym świecie, wszystkie „Strrrasne Historie”, a następnie zajęłam się historią zawodowo. Żarty, ciekawostki i obrazki z książek Deary’ego zamieszkały zaś w mojej głowie na zawsze. Choć „cała prawda i tylko prawda” o Aztekach, Celtach, Rzymianach i innych niekończąco wyglądała tak, jak myślałam w wieku dwunastu lat.

Książeczki Deary’ego są dobrym, choć bardzo skrajnym przykładem wymiany, na jaką godzi się wielu autorów historycznych książek popularno-naukowych. W zamian za popularność i walory rozrywkowe swojej prozy oddają często nawet pozory naukowości, produkując poczytne, choć zawierające niewiele sprawdzonych informacji „Strrrasne Historie” dla dorosłych. Znamy te książki, uginają się od nich półki w księgarniach. To opowieści o nieślubnych dzieciach królów Polski, wielkich kurtyzanach osiemnastego wieku, tajemnym zlocie Trzeciej Rzeszy, skandalach II Rzeczypospolitej, damach przeklętych, najbardziej ostentacyjnych milionerach międzywojnia i kochankach gwiazd telewizji z PRL. O ile jednak karmienie dwunastolatków opowieściami o wyrwaniu serc przez Azteków i Wikingach, którzy nigdy nie myli brody, jest metodą wciągnięcia ich

→ młodym kochankom w komunikacji. A przynajmniej tak to zapamiętał. Powieść jest rozważaniem o naturze pamięci i ulotności wydarzeń. Lowenthal zaś używa jej, by twierdzić, że literatura i kino historyczne nie są w stanie przynieść nas do przeszłości, a jedynie proponować nam jej „ulotne wrażenie” (*the idea of pastness*). I to tego ulotnego wrażenia poszukujemy, konsumując powieści historyczne.

Jak mówił Sienkiewicz do słuchaczy zgromadzonych na swoim odczycie: „dzisiejszy pisarz może odtworzyć człowieka lat minionych tylko zewnątrz. W piersi takiego utworu, pod średnio-wieczną zbroją, będzie biło nowożytnie serce; w mózgu jego, pod hełmem, będzie myślała nowożytna dusza”. Jednocześnie jednak dodawał, że rolą pisarza jest ożywić bohaterów, dając im duszę, ukazać „ludzi nie w trumnach, ale w czynach, nie ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma i zamkniętymi oczyma, ale ze światłem w źrenicach”.

Dzięki lekturze zdolni jesteśmy odczuwać empatię, a empatia wobec postaci z dawnych czasów jest cenna. Dlatego też daleka jestem od dyskredytowania romansów historycznych,

które są doskonałymi wehikułami podniet emocjonalnych. Owszem, pokazują współczesnych bohaterów, o współczesnych motywacjach, w których bije „nowożytnie serce”, poruszających się w dekoracjach Jane Austenland. To jednak literatura rozrywkowa, która pozwala nam rozkoszować się patrzeniem na to, co jednocześnie obce i odmienne (te kostiumy, sztywne zwyczaje, tańczenie walca!), ale też najbliższe i cielesne, bo opowiadające o emocjach, miłości, cierpieniu i pożądaniu. Przyjemność daje tu obcowanie z Lowenthalowskim „wrażeniem przeszłości”, ale na tyle zmienionej i bliskiej, by była doskonale zrozumiała.

Nie ma więc nic złego ani antyintelektualnego w produkowaniu i konsumowaniu dzieł kultury, które w tej pogoni za emocjonalną bliskością oddalają się znacząco od historycznych realiów. Pamiętać tylko należy, że wobec braku świadomości, z jakiego rodzaju tekstem mamy do czynienia, publiczność może być bezradna wobec informacji (para)historycznych tam prezentowanych. Zawsze jednak znajdują się pomocni użytkownicy *social mediów*, którzy szybko wyjaśniają nieporozumienia.

w świat historii, którą następnie można wyprostować, o tyle zalew rynku czytelniczego historycznymi narracjami ciekawostkowymi dla dorosłych nie daje się tak łatwo uzasadnić pozytywnie.

Fascynacja ciekawostkami historycznymi, niezależnie jak dobrze sprawdzonymi, jest jednak zrozumiała tak w dzieciach pożerających komiksy o brutalnym Neronie, jak i w dorosłych czytających z wypiekami na twarzy katalog nałożnic i bastardów Jagiellonów. Podobnie jak w przypadku amatorów romansów historycznych, czynnikiem zachęcającym jest tu wrażenie połączenia emocjonalnego. Współczesna szkolna edukacja historyczna stawia przed większością uczniów korowód królów, bitew i traktatów, utrwalając w nich przekonanie, że przeszłość jest jedynie nudnym, sztywnym spisem wygranych i przegranych potyczek, koronacji, abdykacji i politycznych decyzji. W dorosłym życiu, postawieni przed możliwością dowiedzenia się czegoś nowego i nietypowego o zszarżalych duchach przeszłości, korzystają z niej bez wahania. Momentem połączenia emocjonalnego jest tu rozpoznanie ich człowieczeństwa, choćby nawet naciąganego. A więc dawni kró-

lowie, politycy i żołnierze także kochali, zdradzali, postępowali nieetycznie, mieli swoje wady i przywary! Trudno odwrócić się z pogardą od tak przyjemnego rozpoznania siebie w innych.

„Prawda” i „fakty”

Czy nie istnieje jednak droga pośrednia? Czy do mówienia o historii możemy wykorzystywać jedynie skrajności, czyli sztywne podręczniki do historii i monografie naukowe z jednej strony, a z drugiej powieści w dekoracjach kostiumowych i katalogi ciekawostek? Ciekawą perspektywę proponuje tu Kamil Janicki w niedawnej „Cywilizacji Słowian”, w której opowiada „prawdziwą historię największego ludu Europy”. Daleko mu jednak do nieomylnego stwierdzania faktów i demaskowania przekłamań, w których tak potrafią lubować się twórcy książek popularnonaukowych. Zamiast tego Janicki omawia różne perspektywy historyczne, konfrontuje ze sobą hipotezy badaczy, akumulowane na przestrzeni wieków. Zamiast przekazywać „prawdę”, przekazuje po prostu to, co możemy wiedzieć na podstawie strzępów wiadomości, pojedynczych artefaktów archeologicznych i dziesiątek idących za nimi hipotez.

Inne metody, stosowane w przeszłości przez polskich i zagranicznych historyków, polegające na wytwarzaniu pojedynczej narracji w oparciu o niewystarczające dane, określa jako „fascynujące i rozbudzające wyobraźnię, ale opierające się na bardzo wątpliwych założeniach”.

Taka strategia w opowiadaniu o historii sprawdza się najlepiej. W opowiadaniu o historii łatwo wpaść w pogoń za „prawdą”, która nigdy nie ukaże nam się w pełni (bo każda metoda naukowa ma swoje ograniczenia). Warto więc szukać alternatywnych dróg przybliżania czytelnikom czasów minionych, zrywając przede wszystkim z przymusem nieomyślności. Zamiast z przekonaniem podsuwać publiczności niesprawdzone czy też niesprawdzalne „fakty”, trzeba raczej dać sobie i innym przyzwolenie na fantazjowanie, spekulację i pozostawianie pytań bez odpowiedzi. A jeśli ktoś zarzuci nam picie „prawdziwej kawy figowej”, można znowu podeprzeć się Henrykiem Sienkiewiczem – jako wystarczająco nobliwym specjalistą od opowiadania historii. On swoim słuchaczom na warszawskim odczycie mówił jeszcze: „Przypuściwszy nawet, że każda powieść zabarwia wypadki dziejowe pewną tendencją, można by zaraz spytać, czy istnieje jeden historyk, a raczej jedna księga historyczna tak przedmiotowa i bezstronna, aby ludzi lub zdarzeń nie przedstawiała w pewnym oświetleńiu? Skoro owe różnice nie uwłaczają powadze historii, tym bardziej pewien osobisty pogląd powieściopisarza na czyny dziejowe nie może służyć za podstawę do orzeczenia, że powieść historyczna musi być z natury rzeczy fałszem”.

A przede wszystkim – o historii warto czytać i opowiadać. Bo inaczej rzeczywistość można już tylko położyć się na różach.

© ALICJA URBANIK-KOPEĆ



ŁUKASZ KOZAK

(ur. 1981) jest mediewistą, badaczem historii kultury, popularyzatorem dziedzictwa kulturowego. Autor książki „With Stake and Spade. Vampiric Diversity in Poland” (2020), a także „Upiór. Historia Naturalna” (2023). Był kuratorem programu muzyki dawnej warszawskiego Festiwalu Nowe Epifanie, a także audycji mediewistycznej „Kryzys wieku średniego” w Programie 2 Polskiego Radia. Laureat nagrody „Nowej Fantastyki” za najlepszą polską książkę (2021).

Podczas tegorocznej edycji Festiwalu Conrada odbędzie się spotkanie z **ANNA BRZEZIŃSKĄ** i **ŁUKASZEM KOZAKIEM**. Podczas dyskusji historyków będziemy się zastanawiać, jak najlepiej opowiadać o przeszłości. Czy w zależności od obranej strategii możemy mówić o różnych poziomach autentyczności? I na czym miałyby ona polegać w przypadku historiografii?

Koniec wolnej amerykanki

JACEK DEHNEL

W ramach Festiwalu Conrada pojawił się pomysł okrągłego stołu, który zbliżyłby do siebie środowiska twórców książek. Dyskusje przerodziły się w organizowany co roku Kongres Książki. Tam powstała koncepcja Konwencji Krakowskiej, wynegocjowanej przez przedstawicieli wydawców, pisarzy i tłumaczy.

Gdybyśmy teraz chcieli sobie kupić płytę... no, dobrze, pewnie byśmy skorzystali z jakiegoś serwisu streamingowego, chyba że ktoś kupuje winyle... a i to raczej online... Ale dobrze: udawajmy, że chcemy kupić płytę CD. Otóż gdybyśmy się dowiedzieli, że w tym celu powinniśmy iść na koronę Stadionu Dziesięciolecia i zaopatrzyć się tam u faceta z wąsem, handlującego pirackimi kopiami z rozłożonej połówki, to mina by nam zrzedła. Rynek muzyczny wygląda dziś zupełnie inaczej niż trzydzieści lat temu. Tymczasem rynek książki pod pewnymi względami zanadto się nie zmienił.

Za PRL-u gra między autorami a wydawnictwami toczyła się według zupełnie innych reguł: istniała nie tylko cenzura państwowa, której podlegały wszystkie publikacje, ale też nieformalne zapisy, „obiektywne trudności z papierem”, które jak na złość dotykały akurat pisarki i pisarzy kontestujących władzę, celowe zaniżanie nakładów, przetrzymywanie rękopisów w oczekiwaniu na mniejszą czy większą odwilż, wydawanie w drugim obiegu. Ale nawet jeśli pominiemy politykę – choć wówczas, rzecz jasna, pominąć się jej nie dało, trzeba się było opowiedzieć, a długotrwałe skutki tego opowiadania się wiszą nad niektórymi biografiami do dzisiaj – to relacje w świecie książki nie były porządkowane przez kapitalistyczną logikę zysku. Wystarczy przeczytać „Lektury nadobowiązkowe” Wisławy Szymborskiej i jej narzekania na pożądane książki, które trafiały na rynek w ilościach śladowych i kupowało się je „spod lady”, podczas gdy wysokonakładowe albumy o rocznicy rewolucji październikowej bez końca stały na półkach. Zasadniczo jednak autorzy wiązali się z wydawcami na długo: podpisywali trwałe umowy, ko-

lejne dodruki przynosiły im dochód wedle tych samych kontraktów.

Wilczy kapitalizm

Ale przewrót roku 1989 zmienił wszystko, w tym również rynek książki. Wielkie – i nierentowne – domy wydawnicze PRL-u wpadały w kłopoty, wylatywały na margines, walczyły o przeżycie, podczas gdy nowe firmy wyrastały jak grzyby po deszczu (i często równie szybko znikwały). Przemiany technologiczne zlikwidowały zawód zecerów, a przemiany społeczno-gospodarcze wyrzuciły ogromną część redaktorów, korektorów i innych pracowników z etatów na niepewne freelancerstwo. Rozproszeniu ulegały nie tylko profesjonalne zespoły, działające razem od dekad, ale też archiwa i składy.

Rozpoczęły się czasy wolnej amerykanki, tak zwanego wilczego kapitalizmu lat 90., który na długi czas zadecydował o kształcie relacji pomiędzy różnymi grupami twórców książek: pisarkami, tłumaczami, wydawczyniami i dystrybutorami. Do dziś opowiada się anegdoty o firmach, które nieoczekiwanie się zamykały, nie zostawiając po sobie ani numeru telefonu, ani faksu, ani świstka z rozliczeniami. Albo o tłumaczach, którzy stawiali do konkursu i dostawali do przełożenia „próbkę” – tyle że każdy dostawał inny fragment, a wydawca wszystko to scalał i wydawał pod zmyślonym nazwiskiem. Równocześnie upadek cenzury pozwolił sprowadzić do Polski rozmaite hity wydawnicze, których tłumacze byli jeszcze wynagradzani według dawnych zasad, to znaczy z tantiemami od sprzedanych egzemplarzy – szybko się z tym uporano i tantiemy zaczęły zniknąć z umów.

Cały bowiem ten okres cechował głęboki przechyl w stronę wydawców, którzy zaczęli dyktować warunki; auto-

rzy słyszeli, że to „standardowe zapisy umów i wszyscy takie podpisują”. Równocześnie działalność dawnych stowarzyszeń twórczych wyraźnie osłabła i oto rozproszone grono twórców książek stało się naprzeciwko prężnych przedsiębiorstw z ich profesjonalnymi działami prawnymi. I choć po pierwszej eksplozji wiele małych, niepewnych firm upadło i rynek nieco się ustabilizował, wyłaniając nowych ważnych graczy, to w kwestii umów wolna amerykanka miała się nadal znakomicie.

Twórcynie i twórcy literatury, czy to zajmujący się pisaniem, czy przekładem, podpisywali nierzadko bardzo niekorzystne umowy (na przykład przenoszące prawa autorskie albo z bardzo nierównym podziałem zysków z praw zależnych, czyli tłumaczeń i adaptacji, w skrajnych przypadkach – z całkowitym zrzeczeniem się takich zysków). Sporo kontraktów zawierało wprost paragrafy nielegalne w polskim systemie prawnym – ale, podobnie jak w przypadku kredytowych umów frankowych, było to tak powszechne, że traktowane jako legalne „z obyczaju”.

Co więcej, nawet te – często tak niekorzystne – umowy były łamane i obchodzone. Nierzadko poważne wątpliwości budził – i nadal budzi – system rozliczeń pomiędzy wydawcami a autorami. Nie znaczy to, rzecz jasna, że za nieprawidłowości odpowiedzialni są tylko wydawcy; pisarzom i tłumaczom również zdarza się niedotrzymywanie terminów, niedostarczanie tekstów, na które otrzymało się zaliczkę, znikanie bez śladu i tak dalej. Istniały też – i nadal istnieją – wydawnictwa dotrzymujące wysokich standardów. Jednak problem był systemowy: szok lat 90. kompletnie przebudował cały rynek i gwałtownie wzmocnił jedną stronę transakcji (podobnie jak równo-



GABRIELA BARAN / KBF

Magdalena Dębowska, Jacek Dehnel, Urszula Chwalba i Agnieszka Rasińska-Bóbr.
Kongres Książki na Festiwalu Conrada, październik 2022 r.

legle wzmocnił dystrybutorów kosztem wydawców i księgarzy-detalistów).

W krótkiej, „wilczej” perspektywie było to opłacalne; ale w długiej – szkodliwe dla całego rynku. Jasne, część relacji między twórcami a wydawcami to przeciąganie jednej kołderki, gra o sumie zerowej: gdzie jedna strona traci, druga zyskuje, i odwrotnie. Ale bardzo duża część tej współpracy wcale taka nie jest; przy książce pracują różne grupy zawodowe i każde z tych ogniw jest nieodzowne, jeśli chcemy dostarczyć czytelnikom wartościowe treści. Kiedy znikają wzajemny szacunek i zaufanie, cały proces ulega osłabieniu, ze szkodą dla wszystkich. O ile w innych krajach autorzy nierzadko przez całe życie publikują w jednej firmie, a wydawcy mają swoje „stajnie” nie tylko pisarzy, ale również tłumaczy, redaktorów i korektorów, o tyle w Polsce wszystko to jest płynne i niepewne: ludzie przechodzą z wydawnictwa do wydawnictwa, działają jako freelancerzy, wolne elektryki, od okazji do okazji. Tak być nie powinno.

Nowe otwarcie

Przedstawiciele mojego pokolenia, którzy wchodziłi na rynek po roku dwutysięcznym, coraz częściej uświadamiali sobie, że cały ten system jest niesprawiedliwy i dysfunkcyjny.

Na szczęście ostatnie lata przyniosły istotne zmiany na mapie polskich stowarzyszeń twórczych – właściwie w każdej dziedzinie, gdzie dotychczas trwały (niekiedy siłą bezwładu) dawne związki, pojawiły się ich nowsze odpowiedniki, tworzone przez nowe pokolenie na zupełnie innych zasadach. W literaturze szlaki prze-

tarło Stowarzyszenie Tłumaczy Literatury, powstałe w 2010 roku, a w ślad za nim – gromadząca pisarki i pisarzy Unia Literacka, założona jesienią roku 2017, która od początku blisko współpracuje z STL.

Powstały umowy modelowe: najpierw dla tłumaczy, potem dla pisarzy (których napisanie sfinansowało Krakowskie Biuro Festiwalowe). STL i UL przeprowadziły badania umów, podpisywanych na polskim rynku książki (zarówno jeśli chodzi o tłumaczenia, jak i dzieła własne). Wreszcie pojawił się pomysł stworzenia w ramach Festiwalu Conrada okrągłego stołu, który zbliżyłby do siebie środowiska twórców książek i pozwoliłoby znaleźć jakieś rozwiązanie: kodeks dobrych praktyk, z biegiem czasu te dyskusje przerodziły się w organizowany co roku w ramach programu Kraków Miasto Literatury UNESCO Kongres Książki. Tam właśnie narodziła się koncepcja Konwencji Krakowskiej, wynegocjowanej przez przedstawicieli trzech środowisk: wydawców, pisarzy i tłumaczy.

Wymiana postulatów i oczekiwań, a potem długie negocjacje nie tylko pozwoliły nam zrozumieć argumenty wydawców, ale też wypracować kompromisowe rozwiązania w zakresie konstrukcji umów, wynagrodzenia oraz widoczności wszystkich partnerów. Może się to wydać banalne, ale uznaliśmy, że warto podkreślić, iż współpraca pomiędzy twórcami i wydawcami powinna opierać się na zasadach szacunku, lojalności, szczerości i transparentności, a także wzajemności i symetrii w relacjach.

Warto dodać, że znaczna część zapisów Konwencji wynika po prostu z ist-

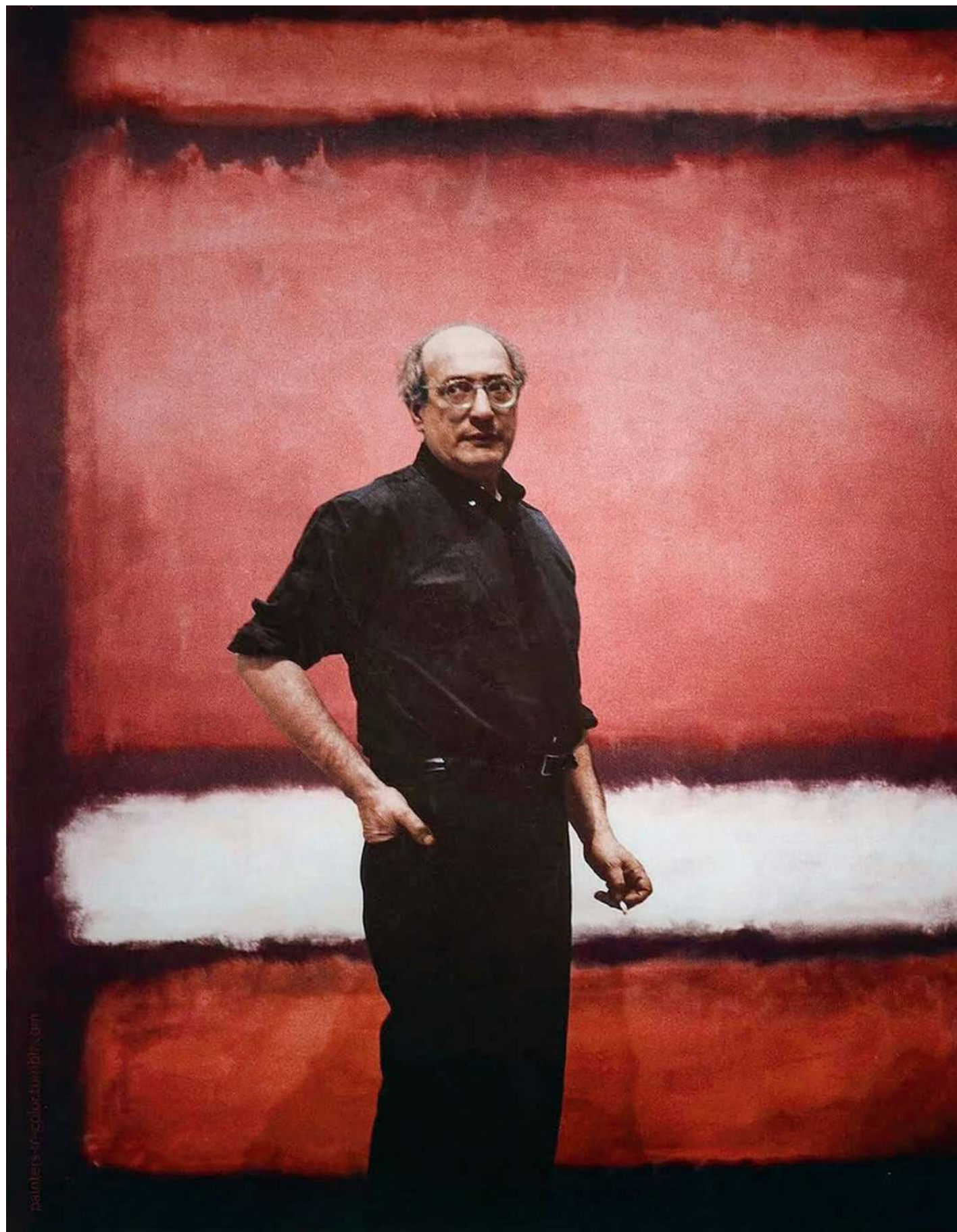
niejących już przepisów obowiązującego prawa, którym nadaje konkretną, praktyczną interpretację. Inne natomiast wspomagają proces wydawniczy, nie generując dodatkowych kosztów, tylko na zasadzie wzajemnej pomocy.

W ślad za Konwencją powstał Wydawniczy Znak Jakości, którym mogą posługiwać się wszyscy sygnatariusze. Czytelnicy, którzy kupują książkę opatrzoną takim znakiem, powinni wiedzieć, że powstała ona przy zachowaniu standardów opisanych w Konwencji. Konwencję Krakowską podpisało już ponad dwudziestu wydawców. Wierzymy, że będą do nich dołączać kolejni.

Sama forma Konwencji jest potencjalnie otwarta: będzie ją można rozszerzyć o zapisy dotyczące innych środowisk: ilustratorów, redaktorów, korektorów czy księgarzy, jeśli ich przedstawiciele usiądą do stołu negocyjnego. Wiemy też, że takie dokumenty – podobnie jak umowy modelowe – nawet jeśli obowiązują tylko sygnatariuszy, to oddziałują na cały rynek, popularyzując właściwe rozwiązania.

Wokół samej Konwencji powstało różnorodne, ale blisko ze sobą współpracujące środowisko, które może inicjować zmiany legislacyjne, lobbować za nimi lub szybko reagować, jeśli jakieś koncepcje reformy pojawiają się w dyskursie publicznym. Zważywszy, że weszliśmy wszyscy w okres intensywnych przemian prawnych i technologicznych, porozumienie to może się okazać kluczowe dla rozwoju – lub przynajmniej powstrzymania upadku – polskiego rynku książki. O tym wszystkim trzeba rozmawiać, a służy temu właśnie Kongres Książki. ©

W tym roku, podobnie jak w latach ubiegłych, w ramach Festiwalu Conrada organizowany będzie **KONGRES KSIĄŻKI**. Stanowi on platformę dialogu dla różnych podmiotów działających na rynku książki: twórców, wydawczyń, księgarzy, bibliotekarek oraz promotorów literatury. Ich przedstawiciele spotykają się w Krakowie, aby porozmawiać o najważniejszych wyzwaniach dla branży (regulacje rynku, prawa autorskie, sztuczna inteligencja). Kongres jest także okazją do przybliżenia czytelnikom rozmaitych aspektów funkcjonowania rynku.



CZTERDZIEŚCI ZASŁON

Jego malarstwo przeżywa się jednostkowo i tłumnie zarazem.

Mark Rothko wart jest mszy.

Wkroczyliśmy do świątyni, zostaliśmy ochrzczeni, każdy sobie i wszyscy razem.

Co zrobić z tym namaszczeniem?

MAREK BIEŃCZYK

ZNANY PISARZ FRANCUSKI YANNICK Haenel opublikował niedawno książkę napisaną po nocy spędzonej sam na sam z płótnami Francisca Bacona. Poprosił dyrekcję Centrum Pompidou, by zechciała zamknąć go na nocne godziny w sali wystawowej. Pisarz miał nadzieję, że samotne spotkanie z Baconem zaprowadzi go tam, gdzie zderzy się twarzą w twarz z ostatecznością i zobaczy, co z tego wyniknie. Zagrajmy w to: Bacon i tylko ja.

Idea Haenela wydaje się mocno niemądra i podsyta wysokim mniemaniem o własnej wrażliwości. Jednak kiedy staje się przed płótnami Marka Rothki, mając wokół dziesiątki innych osób, tych kopii siebie samego, tak jak samemu jest się ich kopią, pragnienie podobnie intymnego, „nocnego” spotkania – ależ to mogłaby być jazda! – z tymi dziełami budzi się błyskawicznie. I błyskawicznie umiera jako całkowicie nie-realne i co więcej – nieuzasadnione. Już nigdy nikomu nie uda się stanąć samotnie wobec kolorowych plam Rothki, by przeżyć intymne olśnienie, doznać prywatnego objawienia. Należy więc myśleć o nich w takim kolektywnym otoczeniu, a nie tylko w perspektywie ewentualnej osobistej rewizji, jakiej nas poddają.

Mark Rothko, 1961 r.

Lecz przecież tak ma być, taka jest ostateczna konsekwencja artystycznej idei Rothki. Choć sam gwałtownie protestował przeciwko zbiorowej konsumpcji sztuki, przyznawał: „maluję dawne świątynie”. A kto by chciał, by jego świątynie stały puste? I ostatecznie zgodził się na postawienie w Houston tak zwanej Rothko Chapel, świeckiej, otworzonej już po jego śmierci kaplicy w kształcie ostroboku, której ściany pokryły płótna artysty. Dzisiaj jest ona miejscem pielgrzymek i cieszy się mało powabnym i irytującym określeniem „ekumeniczna”. To już bym wołał „mistyczna”.

W świątyni

Od wejścia do paryskiej Fondation Louis Vuitton na retrospektywę Rothki, najgłośniejszą i najbardziej obleganą wystawę na świecie w roku 2024, pojawia się myśl, że to masowa obecność widzów spełnia paradoksalnie intencję tego malarstwa, mającego wywołać przecież głębokie doświadczenie wewnętrzne. Istnieje tylko jedna przestrzeń, w której doświadczenie o takiej sile może dokonać się indywidualnie i zbiorowo razem; w której to drugie nie przeczy temu pierwszemu, a wręcz je wzmacnia: jest to przestrzeń sakralna.

Nie ma wątpliwości, Mark Rothko wart jest mszy. Wymaga mszy. I w takiej mszy uczestniczymy.

Jego malarstwo przeżywa się jednostkowo i tłumnie zarazem; wkroczyliśmy do świątyni, zostaliśmy ochrzczeni, każdy sobie i wszyscy razem. Co zrobić z tym namaszczeniem? Konieczne staje się powtórzenie na inną skalę zakładu Pascala: wierzyć czy nie wierzyć? Nieskończoność pustych przestrzeni mnie przeraża; czy zatem warto pozostawać w wierze? Przyjmować jej łaskę? Pascal odpowiada, że warto założyć istnienie Boga; to się ostatecznie najbardziej oplaca. Nieskończoność barwnych plam Rothki zbija mnie z pantafelku, wnosi we mnie kosmiczny niepokój; czy warto wierzyć w ich mowę do mnie skierowaną? Brać absolutnie na serio te kolorowe natręctwa? Nie uznawać ich za kolejny humbug sztuki nowoczesnej? Sam idę za głosem Pascala.

Najbardziej żarliwi wierzący – nazwijmy ich mistykami wiary w Rothkę – nie mogą wręcz własnej żarliwości okiełznać. Znana artystka-performerka Marina Abramović opowiadała – jej konfesja zdołała jedną ze ścian paryskiej wystawy – że w Rothko Chapel nie umiała powstrzymać się od szlochów.

„Tym konam, że umrzeć nie mogę”, wołała święta Teresa, tęskniąca w historycznych płasach za spotkaniem z Bogiem. Fizjologiczne reakcje na obrazy Rothki – on sam cenił taki płacz – mówią w istocie coś podobnego: ➔



MATERIAŁY PRASOWE FUNDATION LOUIS VUITTON

→ siły świętego doznania, czymkolwiek miałyby być, nie da się wytrzymać; odpowiedzią jest konwulsja. Sama wiara wówczas nie wystarczy, musi dojść do eksplozji. Dlatego odbiór wielu wiernych jest ekstazy; tak trudno pomieścić się w sobie, gdy na wyciągnięcie dłoni i zarazem w niedostępnej odległości pojawia się brama wejściowa, brama wkroczenia, brama być może ostateczna; nie będzie stąd odwrotu i nie chce się, żeby taki był.

Można się dziwić przesadzie, lecz nie należy jej piętnować. W zamiarze Rothki leżało w końcu wywołanie głębokiego zmysłowego przeżycia ze strony widza, reakcji tu i teraz na to, co tu i teraz się dzieje. Mało które nowoczesne malarstwo tak dosłownie spełnia słynne określenie Paula Klee: „Sztuka nie odtwarza widzialnego. Ona wytwarza widzialne”. Bo też malarstwo Rothki miało się wciąż wydarzać. Być plazmą, która ożywa w chwili, gdy spada na nią spojrzenie i żywi się nim, aby nam, widzom, ujawniać w zamian to, co dotąd niezobaczone. Obliczam pierwszy etap wpatrywania się w monochrom Rothki na czterdzieści – zaraz wyjaśnię dlaczego – minut. Albo na czterdzieści mgnień oka. Kolejny etap jest już niewymierzalny; czas wycofał się na zewnątrz.

Pojęcia „intensywności” w akcie twórczym i w akcie jego odbioru wciąż u Rothki powracają. Również słowo „ekstaza”. Ma być radykalnie, do końca. Emocje w *crescendo*; liczy się siła doznania, nie tylko kierunek. Tak jak w zestawie piorunów, które rąbnęły w jego wrażliwość: Nietzsche, Dostojewski, Kafka, Proust. I Mozart. Zestaw, patrząc dzisiaj, cokolwiek ograny, prymusowski. No ale chociażby ze względu na same biografie twórców istotnie mówiący o życiu artysty jako życiu bez pardonu. Więc Rothko chce tworzyć bez pardonu i widzowie mają temu świadczyć bez pardonu; mają nie rozważać, niuansować, certolić się – Rothko nie znośił jakichkolwiek komentarzy na swój temat – lecz bez pardonu wdać się przez jego obrazy w siebie, a raczej w nieodkrytą w sobie możliwość. Nie, lepiej powiedzieć: wdać się w nie-siebie, tak jak w nie-siebie wdaje się Rothko, który jest jak najdalej od tego, co określamy jakże często i banalnie „wyrażaniem przez artystę własnego ja”.

A to wszystko przez zaborcze zawładnięcie przestrzenią. Rozmiar jest istotny. To, co uznaje się za tego Rothkę, czyli monochromy z lat 50. i kawałka lat 60. (funkcjonuje pojęcie „klasyczny Rothko”), wymaga przestrzeni; z czasem obrazy rozrastają się, zagarniają całe ściany, stają się miejscem. Napiszę to dużą literą: Miejscem. Bo też do klasyków Rothki się przychodzi, żeby tu być; żeby – powtórzę – tu wejść, przekroczyć próg Miejsca i wyjść poza euklidesową przestrzeń. Inaczej trudno sobie wyobrazić nawiązanie

z nimi kontaktu. Musi być ogrom, tak jak ogromem – dla każdego z nas – jest nasze własne życie. Wkraczamy do ogromu ze wszystkim, co mamy i kim jesteśmy, gotowi, żeby to wszystko w jednej chwili wziąć w nawias.

Można też mówić o środowisku. W miejscu Rothki ma być tylko Rothko; to życzenie artysty nie wywodzi się z narcystycznej zazdrości. Płótna Rothki rozproszone wśród innych – można było tego doznać na wystawie warszawskiej sprzed kilkunastu lat – tracą na hipnotyczności. To jasne; nie można bilokować wiary, jeśli jej łaska nas dotknęła, w świątyni buddyjskiej klękać przed ołtarzem Pana, w kościele siadać w pozycji lotosu, obok obrazu Rothki powiesić obraz Warhola czy Pollocka.

Hamulce ekstazy

Droga Rothki wydaje się typowa dla wielu artystów pierwszych dekad XX wieku: od malarstwa figuratywnego do tego, co zostanie nazwane – sam Rothko tego pojęcia nie znośił – malarstwem abstrakcyjnym. To chociażby droga Pieta Mondriana. Nie przestaje zadziwiać, że w przypadku Rothki okres figuratywny trwał blisko ćwierć wieku. Dłużej niż okres abstrakcyjny, który przyniósł nam jego klasyki, a jemu sławę. Przez dwadzieścia lat Kafka zdążył napisać wszystko, co istotne, Mickiewicz podobnie, i tak dalej. On się dopiero rozpędzał.

Jako malarz figuratywny Rothko, urodzony w 1903 r., pozostałby jednym z wielu. Artystą ciekawym, lecz niefa-



Najciekawsze tematy
nowego numeru „Tygodnika”
w prasówce Radia 357 – środy o 8.30.

Stuchaj na żywo lub w podkastach na Radio357.pl

scynującym. Ciekawym, gdyż, jak się okazuje, u niego nawet delikatne pastele mogą być depresyjne; kolorystyka tych obrazów z pierwszego okresu jest nieprzyjemna, obłą, ich nastrój podle egzystencjalistyczny, niesprzyjający. Widać już skłonności do rozsiewania kolorowych plam; one jedne przejdą ewolucyjnie dalej. Reszta: twarze mające coś z cyrkowo-monstrualnych oblicz Ensora i z kwadratowych mechanicznych fizysów oraz sylwetki, którym jest niewygodnie we własnym istnieniu na tle nieprzyjemnych miejskich przestrzeni, znikną nagle – cezura jest wybuch drugiej wojny światowej – z malarstwa Rothki.

Ale to jeszcze nie koniec myślenia figuratywnego. Odpowiedzią na echa wojny będzie krótki okres mitologiczny z silnymi wtrętami surrealistycznymi. Jak odważam się sądzić, najgorszy etap w malarstwie Rothki, szczęśliwie najkrótszy. Poszukiwanie w obliczu wojny odwiecznych mitów przemocowych, ich nieczytelne defiguracje, poplątana wielopostaciowość, mówiły, owszem, o kresu mniej lub bardziej tradycyjnego malarstwa, lecz w przypadku Rothki były raczej wyrazem impasu niż nowej zdobyczy. I znowu tylko barwne plamy na tych przegadanych obrazach jakby dalej szukały swojego miejsca.

Aż wreszcie – jest sam koniec lat 40. – swoje miejsce znalazły. Pojawiają się pierwsze abstrakcje i to już one wypełniają dzieło aż do samobójczej śmierci malarza w roku 1970. Powiada się, że były to najbardziej niepodrabialne płótna na świecie. Nie tylko dlatego, że Rothko sam komponował farby, lecz przede wszystkim dlatego, że jego klasyki mogą mieć nawet po czterdzieści nałożonych na siebie warstw. Efektem jest nie tyle faktura i sam kolor, ile światło, jakie zeń promieniuje.

Czy to właśnie świetlista hipnoza stawia dzieło Rothki na samym czele malarstwa abstrakcyjnego? Być może. Jedno mogę powiedzieć z większą pewnością: możliwości wnikięcia w drugą stronę, czymkolwiek miałyby być, przynosi w malarstwie niewyrazistość, rozmycie konturów. Ani Malewicz, ani Mondrian ze swoimi ostrymi kątami takiego przejścia, czy takiej iluzji przejścia, nie otworzą. U Rothki wszystko jest lekko rozmazane, choć nie całkiem bezformenne; kontury i geometryczne kąty kiedyś tu były, lecz pozosta-



LUC CASTEL / GETTY IMAGES

wyły po sobie już tylko wspomnienie, zacierający się ślad. Okazuje się raz jeszcze, lecz teraz dobitniej (mówię o własnych doznaniach), że na ostrych liniach aż tak daleko się nie zajędzie; że niewyrazistość jest tą kategorią estetyczną, która najszybciej albo w najlepszy sposób staje się kategorią metafizyczną. Ale też – nie miejsce tu o tym mówić – kategorią etyczną.

Stąd znaczenie malarstwa Williama Turnera (1775-1851). Ładna zbieżność: w tym samym czasie co retrospektywa Rothki, Paryż uświetniały wystawa Theodora Rousseau (szkoła Barbizon) i wystawa poświęcona początkom impresjonizmu. Na każdej z nich pojawia się dzieło Turnera jako fundamentalny punkt odniesienia. Rothko głęboko je przemyślał. W chwili gdy jego malarstwo w latach 40. doszło do kresu drogi i szukało nowych szlaków, Rothko wiele pisał o dziejach sztuki. To niezwykle istotne. Więc Turner – tak. A po Turnerze najważniejszy malarz – Claude Monet, również wielbiciel Anglika. Nie Cézanne, oczywiście też dla Rothki wielki, lecz nie tak bliski; za mało mglistego rozmazania.

Wspominam o tych odwołaniach, gdyż są one jak balast obciążający balon. Albo jak hamulce ekstazy. Przy czym mówię o nich pozytywnie; to jest dobry balast, to są dobre hamulce. Zwłaszcza wówczas, gdy skłonni jesteśmy w Rothkę wierzyć. Antoine Artaud tworzył w latach 30. „teatr-dżumę”, teatr porywający widza i zarażający go wirusem ekstazy. Jeśli coś z takiej demonicznej (czy serafickiej) mocy przypisać naszemu malarzowi, należy

Powyżej i po lewej:

Na wystawie malarstwa Marka Rothki
w Fondation Louis Vuitton.
Paryż.

natychmiast dostrzec jego pamięć o malarstwie geście poprzedników; widzieć, że jego malarstwo rozwija możliwość zawartą w dziełach przeszłości. I że nic tu nie powstaje *ex nihilo*, w nagłym rewolucyjnym uniesieniu, zrywającym z twórczą pamięcią.

Ekstazy nie da się oddzielić od namysłu, to jedna z lekcji Rothki; jest ona tylko bardziej energetycznym wcieleniem długiej medytacji nad historią sztuki. Miniemy się z Rothką, jeśli nie prześleźdzymy, w jaki sposób jego monochromy dojrzewają, i nie dojrzymy, że są efektem głębokiej estetycznej, sięgającej w przeszłość refleksji.

Resztki mesjańska

Pierwszych dziesięć lat życia Marcus Rothkowitz spędził w Dyneburgu na Łotwie. Rodzina wyemigrowała w roku 1913, obywatelstwo amerykańskie otrzymał w roku 1929 i dopiero wtedy stał się Markiem Rothką. Miałem okazję parokrotnie przez to miasto przejeżdżać i jako wyznawca geopoetyki, to znaczy przekonania o istotnym wpływie miejsca, w którym się dorastało, na późniejsze estetyczne wybory, stawiałem sobie – jak wielu innych – pytania o dzieło Rothki. Ale to za daleka droga skojarzeń; nie wiem, czy sztetl, edukacja w jeshiwie, a później świadomość pochodzenia i ewentualnie związane z nią traumy (nieobecność ojca) →



LUC CASTEL / GETTY IMAGES

Rzeźby Alberta Giacomettiego i obrazy Marka Rothki z serii „Black on Grey” podczas wspólnej retrospektywy w Fondation Louis Vuitton. Paryż.

→ miały decydujący wpływ na estetykę tego malarstwa. Być może tak, być może nie; kwestia nie wydaje się aż tak istotna. Nawet jeśli. Pociągała go duchowość jako taka; samo pojęcie „religijności” sztuki, jego sztuki, było mu bliskie; tego musimy się trzymać. Przy czym religijności niedoprecyzowanej, Rothko jest czytelnikiem obu Testamentów. Nie sytuował siebie w jakimś konkretnym wyznaniu; zapewne był – gdyby postawić twarde pytanie rodem z kwestionariusza – ateistą.

Czterdzieści mgnień oka. Podróż spojrzenia przez umownych czterdzieści warstw nie zna celu ani kresu. Każdą z nich wyobrażam sobie jako zasłonę albo jako prześwit prowadzący do kolejnej zasłony, do kolejnego prześwitu: zaszliśmy Bóg (?) wie gdzie, zeszliśmy głęboko, lecz niczego tu nie dotkniemy. Poza wspaniałością światła oraz miejsca, niczego – nikogo – tu nie ujrzymy; nic się nam nie objawi poza naszym wyjściem z doraźności, które ani nie może się wycofać, ani posunąć dalej.

Niekiedy interpretuje się malarstwo abstrakcyjne – tworzone przez artystów żydowskiego pochodzenia – jako radykalną ekspresję świata po odejściu Boga; świata Boga skrytego. Boga nieprzedsta-

wialnego, lecz zwłaszcza wycofującego się z wszelkiej widzialności. Lecz pozostawiającego świetliste ślady swojej dawnej obecności. Wybitny komentator dzieła Rothki, Irańczyk Youssef Ishaghpour, decyduje się po głębokim namyśle na użycie kabalistycznego pojęcia Ein Sof. Czyli Nie-skończone; albo Niezamieszkanie Boga w świecie; albo Boska otchłań – w zależności od formuły rozwijającej to określenie. Coś, czego w odróżnieniu od wszystkiego innego nie da się wypowiedzieć w słowie „substancja”, w słownictwie aktu i czynu, ani w kategoriach czasu i przestrzeni. W wypowiedziach Rothki pojawia się pojęcie „pierwotnej ciemności”, lecz ani słowa o tym więcej; również Ishaghpour woli niczego nie dopowiadać. Jedno wiemy: na obrazach jest światło i jest to ciemność, to przejrzystość; a za nimi jest nowa jasność i nowa ciemność. Czy można zaryzykować słowo: malarstwo mistyczne?

W każdym razie mistyczna aura nie ma u Rothki żadnej atrybucji, nie da się jej przypisać do jakiegoś konkretnego systemu, konkretnego nazwiska, dajmy na to Mistrza Eckharta czy Izaaka Lurii. Muszę jednak przez chwilę o tej aurze mówić, gdyż najważniejsza nauka wy-

niesiona z paryskiej wystawy brzmi: istnieje coś takiego jak wrażliwość kabalistyczna i ta wrażliwość istotnie wpływa na dzieło Rothki, ale też na kształt sztuki i na kształt literatury u wielu twórców.

Nie chodzi jednak o dosłowną mistyczną wiarę, o znajomość oraz o przemyślane i przemyślane stosowanie kabali, albo na przykład o wierność wobec takiego czy innego jej nurtu. Przez wrażliwość kabalistyczną rozumiałbym zew odejścia i powtórzenia zarazem; powtórzonego oddalenia się. Ani poczucie nicości, ani pogoń za absolutem; odejście dające nadzieję, którą ukonkretnia tylko kolejne odejście. A czym jest odejście? Jest porzuceniem życia danego, niczym niepowstrzymanego, nagiego w swej biologicznej oczywistości i jest krokiem dezercji, na wzór dezercji boskiej, w nieokreśloną stronę. I wtedy pojawia się cień jakby nadziei, choć nie do wypowiedzenia jakiej i na co. Resztki mesjańskiej, by użyć sformułowania w duchu kabalistycznym.

Tak to zobaczyłem przez czterdzieści zasłon Rothki. Można było zrozumieć, że żadna warstwa koloru/światła nie powstaje w geście dodawania, lecz odejmowania. Gdyby Rothko był pisarzem, dążyłby do milczenia; jednak nigdy by nie



Mark Rothko „Ochra, czerwień na czerwieni”, 1954 r., Phillips Collection. Waszyngton.

mogło paść ostatnie słowo, bo też ostatniego słowa nie ma.

Czarne na szarym

Czy to się mogło dobrze skończyć? Nigdy nie należy wnikać w powody samobójstwa. Korciłaby, owszem, myśl o samobójstwie filozoficznym Rothki, skoro za życia artystycznego dalej niż (kolejne) odejście nie daje się odejść. Lecz zostawmy to. Zadam tylko pytanie: co byłoby punktem kulminacyjnym w dziele Rothki? Co można zrobić, gdy w każdym klasycznym obrazie od początku zawierało się szczęśliwe nieszczęście, świadomość, że musi nastąpić jego przekrocze-

nie w obrazie nadchodzącym i już zwiastowanym przez ten obecny. I tak od nowa. Wspaniale i strasznie.

Po figuratywnym, następnie mitologicznym, następnie monochromatycznym (klasycznym) przychodzi okres czwarty. W tej samej monochromatycznej poetyce, lecz przez zmianę barw, przez użycie innych technik, jakby odrębny. Chodzi o serię obrazów-murali przeznaczonych dla Rothko Chapel w Houston. Nie ma już czerwieni najdalej wychylonych ku świetlistemu nienazwanemu; ciągniemy ku fioleto-
tom i chyba maleje poczucie ich wielo-
warstwowej głębi. Być może to te wła-

śnie obrazy są najbardziej ze wszystkich abstrakcyjne: w takim oto sensie, że nie sugerują żadnych przeżyć, prześwitów, lecz tylko trwanie, powielanie obecności, która jest tyleż święta, co domknięta i melancholijna. Mistyczna nie przez otwarcie ciągu przeżyć, lecz – co jest może dojrzalsze – przez wzmocnienie dosłownego tu i teraz; oko nie tyle wkracza w obraz, co się nim nasycza. Godzimy się na to, co jest, lecz to, co jest, wbija w nas świętą pieczęć.

Do końca życia i do końca dzieła nie zostało już dużo. Ostatnie płótna, czyli seria „Black on Grey”, łączą dwa pola, dwie barwy, czern i stalowa szarość, i wystawiane są niekiedy, jak sobie Rothko życzył, wspólnie z kilkoma rzeźbami Giacomettiego. Powracają ostrzejsze kąty, w odbiorze obrazy stają się bardziej „płaskie”, domknięte.

Giacometti, wiemy, uszczupla konieczność, również odejmuje, jakby rządził nim impuls anoreksji; jesteśmy w tej samej zmysłowej rodzinie. Niektórzy twierdzą, że „Czernie na szarym” są pierwszymi obrazami Rothki prawdziwie, dosłownie depresyjnymi – w istocie malarz w tym czasie na depresję cierpiał. Nie sądzę jednak, by o depresji warto tu było mówić. Trzeba mówić o drodze artysty.

Ishagpour dostrzega w tych ciemnych barwach, w tej czerni pozbawionej blasku narastające poczucie wygnania. Nie ma już boskiego chwalebnego światła, błakamy się po pustyni. Już nic więcej poza ostatecznym wejściem w czern nie jest możliwe; nie ma już miejsca na żaden nowy obraz, droga dobiegła kresu.

Być może tak; ale kiedy patrzy się na te ostatnie obrazy Rothki i stojące przed nimi postacie Giacomettiego, przychodzi myśl o *late style*, późnym stylu artysty. Chwili, kiedy – pomyślnie o późnym Różewiczu albo o późnym Picassie chociażby – twórca w taki czy inny sposób zrywa ze swoim dominującym stylem, wydobywa się niejako z dotychczasowego siebie. I wówczas te „Czernie na szarym” zaczną mówić o nieco czymś innym. O uspokojeniu, rezygnacji i akceptacji życia w jego podstawowym, szczupłym wymiarze: nic więcej, niż jest, żadnych wypraw przez zasłony, żadnych sakralnych pieczęci. Zwyczajny krok sylwetki, zwykłe położenie farby na płótnie, dekoracja dnia.

© MAREK BIEŃCZYK



MAGDA HUECKEL / MATERIAŁY PRASOWE TEATRU STAREGO

Scena ze spektaklu „Mała apokalipsa 20XX”, reż. Waldemar Raźniak. Kraków, 7 czerwca 2024 r.

W międzyczasie

DARIUSZ KOSIŃSKI

Odchodzącą dyrekturę w Narodowym Starym Teatrze trzeba docenić, bo choć nie otworzyła nowych perspektyw, zamknęła czas wielkiej smuty.

MIJĄCY SEZON TEATRALNY BYŁ SŁABY. Nie sposób dziś rozstrzygnąć, czy to jakaś trwalsza zapaść, czy tylko chwilowy kryzys. Odejście ekipy niesławnej pamięci ministra Piotra Glińskiego i następujące potem kilkumiesięczne zamieszanie i zawieszenie, stosunkowo niedawno wyjaśnione ministerialną nominacją dla Hanny Wróblewskiej, potęgowało powszechne poczucie niepewności.

Teatr, tak jak i cała sfera polskiej kultury, przyjął strategię wyczekiwania, co wraz z widocznym od kilku sezonów procesem wyczerpywania się dotychczasowych źródeł energii doprowadziło do wyraźnego osłabienia jego impetu. Przy wszystkich fundamentalnych różnicach pokusiłbym się nawet o analogię między dzisiejszą słabością a potężnym kryzysem, jaki diagnozowano (mimo wielu świetnych przedstawień legendarnych reżyserów) w latach 90. ubiegłego stulecia, gdy teatr, przez dekadę poprzednią zaangażowany w walkę ze stanem wojennym

i jego konsekwencjami, stracił na długo busołę i impet po jej wygraniu. Nie ma już mocnego ośrodka władzy dzielącego środowisko na opozycyjną wobec niego większość i mniejszość sprzyjającą mu ideowo lub korzystającą z okazji. Trudno się dziwić, że w tej sytuacji dominuje niepewność, co robić dalej, wzmacniana oczywiście trudnościami finansowymi.

Historia uczy jednak, że wcześniej lub później pojawiają się nowe napięcia albo inne pola działań. Wiadomo, że powiększy się grono teatrów współprowadzonych przez Ministerstwo, co może oznaczać kontynuację polityki recentralizacji zainicjowanej przez ekipę Glińskiego, a popieranej przez większość władz samorządowych, które nie wiedzą, co zrobić z teatrami i chętnie się ich pozbędą (ale jak? ale kiedy?). Wiadomo, że raczej wcześniej niż później nastąpi przełomowa zmiana na stanowisku dyrektora artystycznego Teatru Narodowego (ale jaka? ale kiedy?). Od dawna mówiło

się też o zmianach (ale jakich?) w Teatrze Polskim we Wrocławiu, a kilka dni temu, wobec śmierci jego dyrektora artystycznego Jana Szurmieja, stało się to wręcz oczywistością. Doszło też do wydarzenia wręcz nieprawdopodobnego – po wielu latach z kierowania Teatrem Modrzejewskiej w Legnicy zrezygnował Jacek Głomb. Skoro takie potężne i mocno wrośnięte w grunt filary zostały poruszone, to kto się ostoi?

Pytań jest wiele, plotek też, ale odpowiedzi wciąż mało. Jedna z nich jest bardzo ważna, bo dotyczy nowej dyrekturki Narodowego Starego Teatru w Krakowie. Od jesieni kierować nim będą Dorota Ignatiew (dyrektor naczelna) i Jakub Skrzywanek (dyrektor artystyczny). Jestem bardzo ciekaw konsekwencji tej zmiany, a nie ukrywam, że czekam na nie ze sporymi nadziejami. Ale w tej chwili jest raczej czas na podsumowanie dyrekturki Waldemara Raźniaka, który na jej finał zdecydował się wprowadzić na jeszcze kierowaną przez siebie scenę Starego własny spektakl.

Zgoda ku spokojowi

Każdy, kto objąłby kierownictwo Narodowego Starego Teatru po akcji planowego zniszczenia wszystkiego, co udało się wypracować za dyrekturki Jana Klaty, byłby w sytuacji fatalnej. Przyjmując nominację z tych samych rąk, które tę równie haniebną, co głupią likwidację kierowały, Raźniak, chcąc nie chcąc, znaleźć się musiał w jej cieniu i już na starcie,



JAKUB PORZYCKI / AGENCIA WYBORCZA.PL

Waldemar Raźniak, obecny dyrektor Teatru Starego w Krakowie. Kraków, 13 września 2022 r.

zanim jeszcze sam cokolwiek zrobił, był naznaczony piętnem tamtej sytuacji.

Jest to oczywiście krzywdząca niesprawiedliwość, że sprawcy działający w sposób jawny na szkodę Starego Teatru i polskiej kultury wyszli z tej awantury bez szwanku, a chyba nawet z bezzelownym a nieświadczącym dobrze o ich świadomości i etyce przekonaniem, że niczego nie mają sobie do zarzucenia. Nie dziwię się i niczego nie spodziewam po politykach, którzy szkodząc na większą skalę i w dziedzinach bardziej bezpośrednio i dosłownie związanych z kwestiami decydującymi o życiu, niezmiennie zachowują dobre samopoczucie i pewność siebie, ale w tak zwanej komisji konkursowej i w całej „aferze Klaty” były też czynne osoby spoza polityki, w tym nawet takie, które mienia się intelektualistami i ludźmi kultury. I oni też udają, że nic wielkiego się nie stało.

Cień i piętno na nich! A względnie spokojny i nieuprzedzony sąd każe przyznać, że trudna do podjęcia, a bardzo łatwa do skrytykowania decyzja Waldemara Raźniaka, by w 2020 r. (Kłata musiał odejść w 2017 r.) przyjąć ofertę Ministerstwa Kultury i podjąć się ratowania Starego, przyniosła dobre efekty. Podkreślić przy tym trzeba, że ówczesny prorektor Akademii Teatralnej w Warszawie, jako reżyser i aktor może nie bardzo znany, ale i tak mający pełne ręce roboty, liczne kontakty międzynarodowe oraz aktywne i satysfakcjonujące życie zawodowe, wcale

nie musiał się na ministerialną propozycję zgadzać. Człowiek o mniejszej ambicji lub chęci wypełnienia misji (któż odróżni jedno od drugiego?) pewnie wybrałby wygodne i wolne od trosk warszawskie życie, a nie narażał się na rozliczne kłopoty i nieprzyjemności, jakie czekały pod Wawelem.

Jak sądzę, jednym z powodów, dla których Raźniak się zgodził, był fakt, że należy do głosicieli mitycznego „rzemiosła teatralnego”, szanuje wartość tradycji i wcale nie uważa, że teatr musi się wtrącać w coś poza nim samym. Na takiej właśnie płaszczyźnie można było nawiązać porozumienie i z zespołem, który (przynajmniej w sporej a wpływowej części) wcale aż tak bardzo nie tęsknił za burzliwymi latami Klaty, i z Ministerstwem śniącym o „normalnym” teatrze.

Oceniając jego krakowską dyrekturę, trzeba pamiętać, że w dzisiejszym Narodowym Starym Teatrze dyrektor musi się dzielić władzą z Radą Artystyczną, a więc zespołem, który ma w tym układzie o wiele mocniejszą pozycję. Raźniak rozumiał to i akceptował od początku, bo też konsekwentnie prowadził swoją dyrekturę jako pracę na rzecz odbudowy zerwanych mostów. Z jednej strony przywrócił i wprowadził na stałe do repertuaru głośne przedstawienia Jana Klaty na czele z „Weselem” i „Wrogiem ludu” (choć próbą odnowienia współpracy z samym reżyserem zakończyła się spektakularną eksplozją wzajemnych preten-

sji). Z drugiej – zapewnił powrót na Jagiellońską wciąż liczących się w krakowskim światku postaci, które demonstracyjnie zerwały współpracę ze Starym w protestie przeciwko programowi i decyzjom dyrektora Klaty. Udało się także nawiązać względnie stałą współpracę ze znanymi osobami reżyserskimi, reprezentującymi kręgi niewzbudzające entuzjazmu teatralnych konserwatystów (Krzysztof Garbaczewski, Anna Smolar), jak również zaprosić do reżyserowania artystów i artystki, którzy i które wcześniej w Starym nie pracowali, a należą jeśli nie do czołówki, to w każdym razie do osób wyróżniających się w teatralnym świecie (Ewelina Marciniak, Katarzyna Kalwat, Jędrzej Piaskowski). W końcu pojawiły się nowe nazwiska, spośród których co najmniej kilka już zdobyło sobie spore uznanie (Katarzyna Minkowska, Wojciech Rodak, Mira Mańka).

Zmierzch długiego dnia

Każdy historyk teatru wie jednak aż za dobrze, jak złudne są takie wyliczanki. Tak jak w piłce nożnej, tak i w teatrze – nazwiska nie grają. Z jakiegoś nie do końca dla mnie jasnego powodu spora część realizacji przygotowanych w ostatnich latach nawet przez cenionych od dawna artystów nie stała się prawdziwymi wydarzeniami. Nie żeby były to kłeski, ale zdecydowana większość premier ani nie zachwycała, ani nie oburzała, wzbudzając emocje raczej letnie.

Nie oburzy też zapewne zamykająca kończącą się dyrekturę adaptacja „Małej apokalipsy” Tadeusza Konwickiego, którą Waldemar Raźniak przygotował ze swoim zastępcą do spraw artystycznych i dramaturgiem Beniaminem Bukowskim (premiera 7 czerwca). Przez cały okres swej czteroletniej kadencji dyrektor Starego z rozmysłem rezygnował z reżyserowania na kierowanych przez siebie scenach. Dopiero na finał złamał tę zasadę, tworząc (choć chyba nieświadomie) symptomatyczne przedstawienie podsumowujące jego dyrekturę. Oglądając je, nie mogłem się opędzić od skojarzenia ze słynnym dzięki Walterowi Benjaminowi obrazem Paula Klee „Angelus novus”. Tak jak on, wszyscy tworzący ten spektakl wydali mi się zwrócić całymi sobą w stronę przeszłości, starając się ze wszystkich sił nie dostrzegać tego, że wiatr wiejący w kierunku przeciwnym niesie ich coraz dalej →

→ od niej. Czułem się, jakbym wrócił do wspomnianych już lat 90., gdy część reżyserów nadal rozgrzebywała przekłete problemy polskich inteligentów, nie dostrzegając, że ci w międzyczasie ochoczo stali się „klasą średnią”.

Doprawdy nie wiem, skąd u twórców młodszych ode mnie o pokolenie, a nawet dwa ta potrzeba powrotu do przeszłości, ale mnie to przedstawienie strasznie zmęczyło. Wszystko w nim wydało mi się irytująco anachroniczne i do bólu znane: od ostrożnego rozwodnienia wszelkich potencjalnych aktualności, przez banalnie „postpunkową” scenografię i nerwowo „eksperymentalną” muzykę, po nagromadzenie wszelkich manier najbardziej zmanierowanych aktorów Starego wybranych (chyba nie złośliwie?) do obsady. Jedynym nieanachronicznym, ale za to w dwójnasób irytującym elementem tego przedstawienia były bezsensowne mikroporty nagłaśniające (na Scenie Kameralnej!) każde przełknięcie śliny dumnych ze swego „rzemiosła” (a więc chyba i emisji głosu?) pedagogów i pedagogów Akademii Sztuk Teatralnych.

W spektaklu jest też sporo ech krakowskich spektakli Luka Percevala, uważanych za największe wydarzenia i sukcesy artystyczne dyrekcji Waldemara Raźniaka. „3 siostry” i „Pewnego długiego dnia” wzbudziły u wielu krytyków prawdziwy entuzjazm, co – nie ukrywam – nie przestaje mnie dziwić. Jednym z wyjaśnień tego zaskakującego zasmakowa-

nia w odgrzewanych za ciężkie pieniądze starawych kotletach może być polski prowincjonalizm. Trudno wszak wątpić, że gdyby te same przedstawienia zrealizował jakiś rodzimy twórca niedysponujący międzynarodową marką, ci sami krytycy nie obdarzyliby go nawet dziesiątą częścią zachwyty, jakie spadły na Percevala.

Wyjście z klubu wellness

Ale prowincjonalizm nie tłumaczy wszystkiego. Bardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem zachwyty nad krakowskimi spektaklami flamandzkiego reżysera wydaje mi się to, że jego przeestetyzowana medytacja nad wszechniemożliwością znakomicie wpisywała się w fantazje teatralnych konserwatystów. Sztuka, która markując głębię i wytwarzając nadmiar estetyczny, usprawiedliwia przekonanie, że nic się zrobić nie da, więc trzeba dać sobie spokój z wszelką zmianą, znakomicie odpowiadała na ich oczekiwania.

Dla porównania warto sobie uświadomić, że w tym samym czasie będący kiedyś dumą i królem Starego słynny i doświadczony polski reżyser toczy z tymi samymi słabościami dramatyczną walkę, którą rodzime środowisko przyjmuje na ogół ze wzruszeniem ramion lub otwartą drwiną. Trudno chyba o lepszy dowód na to, że wychwalając Percevala, apoteozuje się rezygnację i uspokojenie, wielbi prerafinowany gest estetyzowanej niemocy. Skoro nic się nie da zrobić i dzieje się tak wiele, co nie zależy od nikogo, pozostają

celebrowanie wypalenia i nadzieja, że gdzieś indziej, w jakimś wymarzonej „Kijowie”, eksploduje tak bardzo nieobecna na scenie Starego energia.

No i eksplodowała! Tyle że nie w „Kijowie”, ale w obrębie tych samych murów miejskich. Ku zaskoczeniu Rady Artystycznej, całego słynnego zespołu i jego wiernych kibiców, wiecznie drugi Teatr Słowackiego stał się w ostatnich latach pierwszą sceną nie tylko Krakowa, ale i Polski. Nie stało się to przypadkiem, ale jest wynikiem odmiennej od przyjętej na Jagiellońskiej polityki realizowanej od pewnego momentu świadomości przez Krzysztofa Głuchowskiego.

Dyrektor Teatru Słowackiego zaryzykował i politycznie, i artystycznie, a choć spotkały go za to różne nieprzyjemności, to zdecydowanie wygrał u publiczności, a w końcu zatryumfował nad przeciwnikami (właśnie umorzono postępowanie o jego odwołanie, a słynny musical „1989” z powodzeniem pokazano w TVP). Rzecz tym bardziej znamienita, że sukces przyniosła Głuchowskiemu i jego zespołowi właśnie rezygnacja ze znanego i cenionego, wyjście z klubu *wellness*. Okazało się, że to wyzwania (nawet takie, którym do końca nie udaje się sprostać) wzbudzają energię po obu scenach rampy, podczas gdy konserwatywne baśnie o teatrze kulturalnych przyjemności prowadzą do dormitorium. W końcu i w Starym to zrozumiano i podjęto decyzję, by jednak się obudzić.

© DARIUSZ KOŚCIŃSKI

Lato z „Tygodnikiem”

TYGODNIK
POWSZECHNY

38% TANIEJ

za 62 dni nieograniczonego dostępu
49,90 zł zamiast 80 zł!

Kup na powszech.net/lato

WIĘCEJ
INFORMACJI



OFERTA WAŻNA
DO 31 SIERPNIA 2024



MATERIAŁ PRASOWY MAX

Julio Torres w serialu „Fantasmas”, Max, 2024 r.

Warsztat komedii

MONIKA OCHĘDOWSKA

Serial „Fantasmas” to szalona baśń, która frustrujące pozwala zamieniać w zabawne.

WYOBRAŻ SOBIE KRÓLOWĄ NOSZĄcą pelerynę tak długą, że na jej końcu znajduje się inna królowa. Brzmi jak początek nowej baśni? A może symbol stosunków międzynarodowych, dobitnie ilustrujący, dokąd naprawdę sięga władza? A potem zastanów się, dlaczego nie wymyślono dotąd transparentnej kredki? Przecież nie wszystko, co nas otacza, jest w kolorach dyktowanych przez tęczę. Jak narysować wspomnienia, zapachy, przestrzeń między ludźmi? „Kolorowanie na przezroczysto to redefiniowanie kolorowania” – czy nie brzmi to jak doskonały slogan reklamowy, dzięki któremu po raz kolejny kupimy coś, czego nie potrzebujemy, ale dzięki czemu wydamy się sobie bardziej nowocześni?

Istnieje ktoś, kto potrafi złożyć cały świat z tego typu pomysłów. Co więcej – dostał właśnie możliwość zrobienia autorskiego serialu w serwisie Max (do niedawna HBO) i zagrał w nim główną rolę, wykorzystując formułę telewizyjnego talk-show oraz stand-upu.

Julio Torres ma 37 lat i pochodzi z Salwadoru, ale od ponad dekady mieszka w Stanach Zjednoczonych. Jako komik i aktor znany był przede wszystkim jako scenarzysta popularnego programu „Saturday Night Live”, będącego humo-

rystycznym komentarzem bieżących wydarzeń. Część SNL nieodmiennie stanowią fabularyzowane skecze – to właśnie za nie odpowiadał Torres. Zdarzało mu się wystąpić przed kamerą, więc niebawem powstał godzinny autorski stand-up „Moje ulubione kształty” (także dostępny w serwisie Max).

Co się w nim dzieje? Na obrotowej taśmie, jaką znamy z lotnisk, pojawiają się kolejne niewielkie obiekty, o których opowiada ubrany w błyszczące kimono, posypywany brokatem Torres. Scenografia doskonale definiuje zarówno jego show, jak i dzisiejszą kulturę. Mówi: „hej, to wszystko jest na sprzedaż i szybko przemija, nie przegap, ale i nie przyzwyczajaj się”.

Jeden z amerykańskich krytyków napisał, że Torres „filtruje w ten sposób koncepcję stand-upu przez teatralny kalejdoskop”, i coś w tym jest – wszystko się tu mieni i miesza, a ostatecznie – bawi, choć jest to rozrywka, za którą stoi tradycja awangardy. Tytułowe kształty przywodzą na myśl kategorię „formy”, ważną m.in. dla twórców słynnej grupy OuLiPo (skrót od: Warsztat Literatury Potencjalnej), której chodziło o to, by narzucić sobie sztywną formę artystyczną. Ograniczając – stawała się ona generatorem nowych pomysłów. Pasuje to do Torresa, który sam

siebie nazywa tego typu „robotem” albo „maszyną”.

Dla przedstawicieli OuLiPo twórczość była jak laboratorium, w którym badano tkankę języka, jego materialność i możliwości. Ważniejsza od skończonego tekstu była refleksja nad tym, jak się on rodzi i jakie struktury wyobraźni angażuje. Podobne kwestie interesują Torresa, który oprócz języka (często wraca w swoich skeczach do liter, ich kształtów i kolejności w alfabecie) próbuje w ten sposób badać idee, postaci popkultury albo własne wspomnienia.

W serwisie Max możemy obejrzeć dwa sezony serialu „Los Espookys”, w którym Torres, jako jego współtwórca, połączył historie przygód ekipy wzorowanej na kreskówce „Scooby Doo” z wyobraźnią Almodóvara. Jeżeli jednak Fred, Daphne, Velma i Kudłaty rozwiązywali zagadki kryminalne, w które zamieszani byli przestępcy przebrani za duchy, to w „Los Espookys” bohaterowie są tymi właśnie przestępcami. Oto bowiem grupa czworga przyjaciół zamiast wyjaśniać tajemnice nawiedzonych domów, czyni je nawiedzonymi „na zamówienie” właścicieli.

Ekipa Espookys proponuje swoje usługi księdzu, marzącemu o przeprowadzeniu udanych egzorcyzmów na oczach wiernych, pomaga ożywiać kosmitów albo wymyśla sny dla pacjentów cierpiących na bezsenność. To wszystko rozgrywa się w scenografii i klimacie rodem z melodramatów Almodóvara, w którym osobiste perypetie bohaterów służą prześmianiu drobnomieszczańskiej moralności.

Po dwóch sezonach serialu o duchach, Torres ugruntował swoją reputację twórcy nowatorskich, absurdalnych skeczy. Ale to, z czym powraca właśnie na kanał Max, jest jeszcze bardziej zakręcone – artysta łączy tu bowiem swój awangardowy stand-up z historiami o duchach. Dość powiedzieć, że Tilda Swinton gra u niego rolę wody, a Steve Buscemi literkę Q. Serial „Fantasmas”, którego pierwsze odcinki można już oglądać w sieci, oferuje coś, co zwykle dają baśnie, ale jest także pomysłem na to, jak frustrujące zamieniać w zabawne. No dobrze, ale jak to możliwe, że coś tak szalonego możemy oglądać w komercyjnej telewizji? Wedle samego twórcy – pytanego o reakcję decydentów stacji – „oni tego w ogóle nie widzieli”.

©P

Horror na wrotkach

ANITA PIOTROWSKA

Oto dreszczowiec usytuowany w nieoczywistej dla gatunku scenerii, do złudzenia przypominającej sklepy koncernu Ikea.

Z PUNKTU WIDZENIA STRAŻNIKA NOC- nego to banda dzieciaków, które z nudów (albo dla fejmu) robią demolkę w masowo uczęszczanym wielkopowierzchniowym sklepie z wyposażeniem mieszkań. Rozrabiacze mają co prawda na sztandarach ratowanie lasów deszczowych, dobrostan zwierząt hodowlanych, przerabianych na popularne klopsiki, względnie interesy drobnych rzemieślników wypieranych z rynku przez meblowego potentata, ale z początku jakoś trudno im kibicować. Młodzi ekoaktywiści z filmu „Wake Up” nakładają zwierzęce maski i po godzinach hakują przyjazny swoim klientom przybytek konsumpcji, transmitując całą akcję w mediach społecznościowych. Greta Thunberg lubi to? Niekoniecznie. Najnowsze dzieło kolektywu RKSS to przykład filmowej partyzantki, która w imię gatunkowej frajdy wylewa obiecujące dziecko z kąpielą. Ale może właśnie na tym polega zakładana wywrotowość?

Upłynie trochę czasu, zanim aspołeczny Kevin (w tej roli Turlough Convery) i jego brat Jack (Aidan O'Hare), obaj w uniformach z napisem „Security”, odkryją za sprawą monitoringu, co się dzieje w sklepowych alejkach. Aktywiści zdążyli wyjść ze swoich kryjówek (spod łóżek,

z wysokich palet, ze skrzyń pełnych pluszaków) i przy pomocy sprzętu do paintballa zamieniają przytulne wnętrza Idea House w pobojozisko, upstrzone budzielielskimi hasłami. Pech chciał, że nie trafili na zwykłych strażników. Jack podczas nocnej zmiany nadużywał alkoholu, a Kevin z powodu nadgorliwości może być za chwilę na wylocie – bracia mają wiele do stracenia. Toteż muszą wziąć sprawy w swoje ręce, spacyfikować intruzów skutecznie i bez rozgłosu. Tak rozpoczyna się zamknięte w sklepowych labiryntach polowanie na dzieciaki, w którym cały społeczny czy polityczny potencjał szybko i bezpowrotnie zamienia się w morderczą walkę o przetrwanie.

I nie ma w takim wyborze niczego złego, jakkolwiek po drodze „Wake Up” uruchamia tyle ciekawych znaczeń, że aż szkoda, iż ich nie rozwija. Oto nastolatki Ethan, Grace, Yasmin, Karim, Tyler, Emily, czyli „ostatnie pokolenie” walczące radykalnymi metodami o bardziej sprawiedliwy i zrównoważony w rozwoju świat. Zaś Kevin i Jack to biali mężczyźni w średnim wieku, przedstawiciele niższej klasy społecznej, wykonujący mało prestiżową profesję „ciociów” na służbie u wielkiego kapitału. Rozstawienie obu tych grup po przeciwnych stronach barykady mogło przynieść intrygujące napięcie, przy okazji dobrze ilustrując dramat dzisiejszej lewicy, zajętej na frontach ekologii i mniejszościowych tożsamości, a niezdolnej do nawiązania dialogu z warstwami nieuprzywilejowanymi społeczno-ekonomicznie.

Na nieszcześnie (również dla filmu) Kevin stanowi przypadek ekstremalny

– jest sfrustrowanym surwiwalistą, człowiekiem z wyraźnym zaburzeniem, który wierzy już tylko w tępy siłę i własny, „zwierzęcy” spryt. W pierwszej scenie widać, jak zastawia okrutną, własnoręcznie skonstruowaną pułapkę na szczury. Za chwilę zobaczymy w nim miłośnika prymitywnej, jaskiniowej broni i tego rodzaju zachowań. A umiejętności spod znaku „zrób to sam” bardzo mu się przydadzą w ściganiu niezbyt praktycznych małych. Jak na ironię, użyje do tego przedmiotów domowego użytku, wziętych wprost ze sklepowych półek. Wszecność kamer, tych przemysłowych i tych smartfonowych, bynajmniej nie ułatwi ściganym ucieczki. Będzie ciemno, bezwzględnie i pierwotnie.

W ten sposób, w klaustrofobicznych wnętrzach odciętego od świata i coraz bardziej dewastowanego sklepiszcza, twórcy „Wake Up” mogliby problematyzować idee powrotu do natury czy sprzeczności społecznych interesów, jednakże bardziej interesuje ich zabawa gatunkiem, jakim jest rozpuśczone, ociekające posoką *slasher*. Już w swych wcześniejszych filmach kanadyjskie trio RKSS wykazywało się twórczym podejściem do popkulturowych schematów. W „Turbo Kid” przerabiali kino superbohaterskie i postapokaliptyczne na ejtisową nostalgię. Z kolei „Lato 84” łączyło swojskie klimaty dorastania z rozwiązywaniem tajemnic mrozących krew w żyłach, przypominając pod tym względem serial „Stranger Things”. Niedawne „We Are Zombies” przeniosło na ekran serię komiksową, by po swojemu parodiować horrory o nieustraszonych pogromcach żywych trupów.



RADIO KRAKÓW

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
głoszą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



ISAAC PLANELLA / MATERIAŁY PRASOWE KINO ŚWIAT

WAKE UP

– reż. RKSS.

Prod.

Kanada/Francja

2023.

Dystryb.

Kino Świat.

W kinach

od 21 czerwca.

RKSS (skrót

od Roadkill

Superstars)

to niezależny

kanadyjski

kolektyw filmowy

w składzie:

François Simard,

Anouk Whissell,

Yoann-Karl

Whissell. Istnieje

od 20 lat, zaczynał

od amatorskich

krótkometrażówek,

z czasem jego

twórczość coraz

bardziej się

profesjonalizowała.

Dziś ma na koncie

takie tytuły, jak

„Turbo Kid”

(2015), „Lato 84”

(2018) i „We Are

Zombies” (2023).

Na zdjęciu:

kadr z filmu

„Wake Up”.

W najnowszym filmie Kanadyjczycy skorzystali z pomocy włoskiego scenarzysty Alberta Mariniego, specjalisty od różnej maści kina grozy („Słodkich snów”, „Syn zemsty”). Efektem jest dreszczowiec dość oczywisty w swoich krwawych absurdach, aczkolwiek usytuowany w nieoczywistej dla gatunku scenerii, do złudzenia przypominającej sklepy zbudowanego w Szwecji koncernu z żółto-granatowym logiem. W pewnym momencie mruga się nawet do nas okiem, gdy uwięzieni w pułapce ekopartyzanci muszą – oczywiście za karę – złożyć jedną z tamtejszych szaf według firmowej instrukcji. Dla wielu z nas to również mógłby być temat na film z dreszczykiem.

Sam pomysł ze sklepem zresztą nienowoty, patrz: filmowa „Nocturama” (2016) Bertrand Bonella czy bliższa w stylistyce powieść „Horrorstör” Grady’ego Hendriksa. I czy rzeczywiście należało się spodziewać czegoś więcej? „Kiedy większość naszych przyjaciół pracowała, żeby wyjechać na wakacje, my braliśmy urlop z pracy, by kręcić swoje filmy” – mówią o sobie członkowie grupy RKSS, podkreślając przede wszystkim filmową, a nie społecznikowską pasję. Łatwo też, projektując nasze wysublimowane czy zaangażowane wizje na kino cieśzące się po prostu samym sobą, ulec snobizmowi i malkontenctwu. Ten jednak film, trwający godzinę z kwadrans, rozgrywający się w ciągu jednej nocy i w jednym miejscu, nie daje się tak łatwo odstawić na półkę z napisem „brutalna i bezpretensjonalna rozrywka”. W końcu tytuł „Wake Up” także zobowiązuje.

Tyle że nie bardzo wiadomo, do czego mielibyśmy się pod wpływem tego filmu przebudzić. Do bardziej świadomej postawy konsumenckiej? Ekranowe, słabo zindywidualizowane dzieciaki na wrotkach, udające dzikie zwierzęta i mieszające misję z destrukcyjną zabawą, raczej nie przekonują. A może do sprzeciwu wobec nadużywania siły – tej fizycznej (ochroniarze) i tej systemowej (Idea House)? Niestety, w roli Złego mamy do czynienia nie z żadnym antysystemowcem, ale z niebezpiecznym psychopatą. Wypada zatem potraktować ów tytuł bez ideologicznych zobowiązań: trzymamy stronę ściganych i masakrowanych, bo tak zazwyczaj bywa przy tego rodzaju filmach, niezależnie od ich ukrytego bądź domniemanego przekazu. Czyżby więc jedynie kino miało tutaj jakąś rację? Pewnie tak, choć i pod tym względem udaje mu się wykrzesać z siebie trochę za mało. ©

Lektor: Pod znakiem wirusa



■ Anthony Passeron

UŚPIONE

Przełożył

Jacek Giszczak.

Wydawnictwo Czarne,

Wołowiec 2024, ss. 200

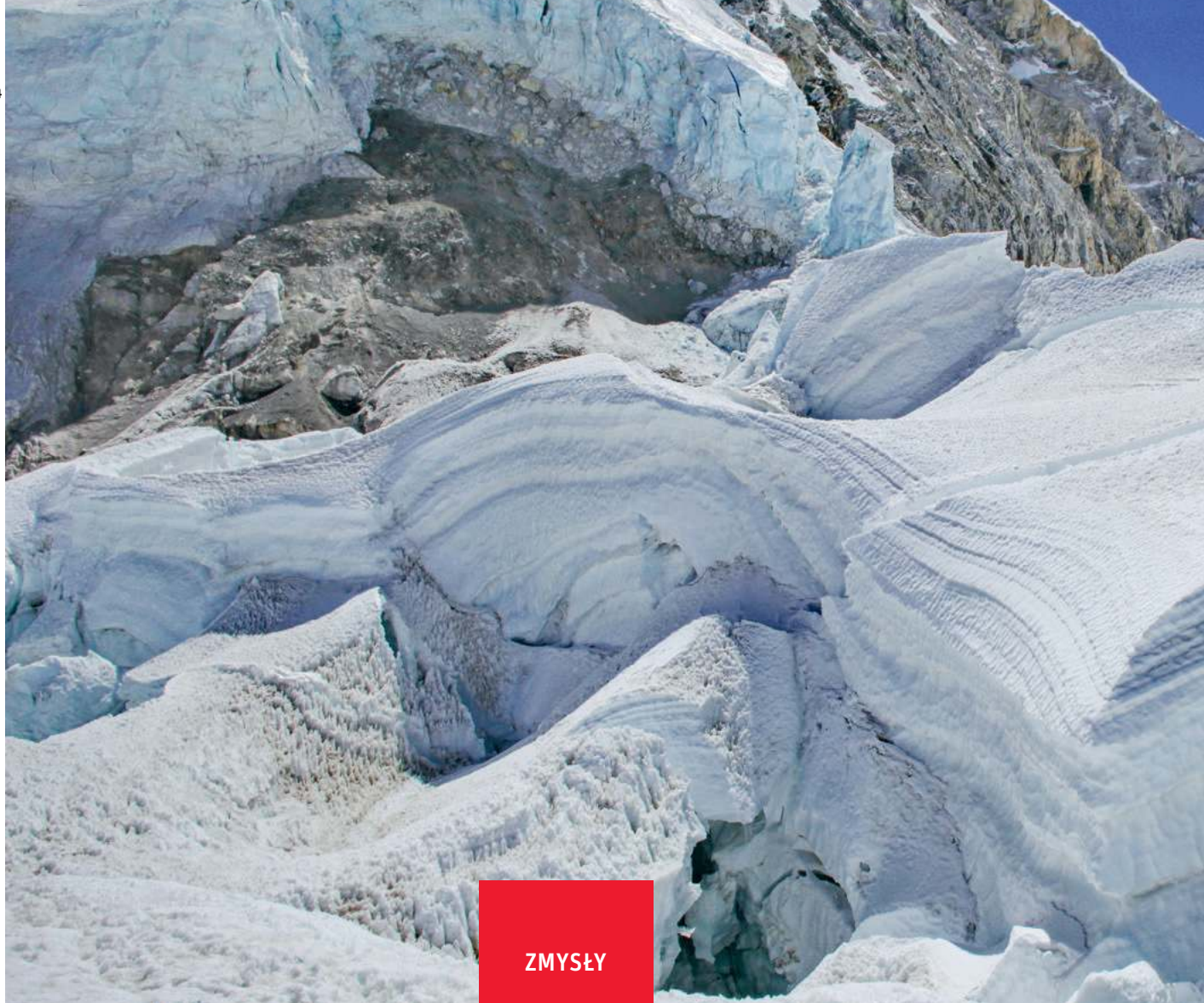
33 LATA MINĘŁY OD CHWILI, GDY W AMERYKAŃSKIM biuletynie epidemiologicznym („Morbidity and Mortality Weekly Report”) pojawiła się informacja o przypadkach pneumocystozy, rzadkiego zapalenia płuc, u młodych mężczyzn o orientacji homoseksualnej. Willy Rozenbaum, szef oddziału chorób zakaźnych paryskiego Szpitala Claude’a Bernarda, abonent i czytelnik „MMWR”, trafił na podobny przypadek. Zaczęła się nowa pandemia – pandemia AIDS.

Historia badań nad wirusem HIV i nad AIDS, prowadzonych równocześnie we Francji i w Stanach Zjednoczonych, to jeden z równoległych wątków tej bardzo poruszającej, choć oszczędnie dawkującej emocje i powściągliwie napisanej książki. Wątek drugi jest osobisty – Francuz Anthony Passeron rekonstruuje rodzinny dramat, przemilczany i otoczony tajemnicą. To historia jego stryja Désiré, jednej z ofiar AIDS. A właściwie więcej: historia upadku pewnej społeczności.

Rodzinne miasteczko autora położone jest w podalpejskiej dolinie blisko granicy Włoch, a rodzinnym biznesem była masarnia, obsługująca całą okolicę. Reguły gry były znane, role rozdane. Désiré próbował się wyrwać z zamkniętego świata prowincji, co przyniosło katastrofę. Nie, nie był gejem, ale wyprawa do Amsterdamu stała się początkiem uzależnienia od heroiny. Wirus zabił zarówno jego, jak i jego żonę Brigitte; ich córka Émilie zmarła w wieku 10 lat. Narkomania stała się częścią prowincjonalnej rzeczywistości.

Autor, urodzony w 1983 roku, stryja prawie nie pamięta. Imienia Désiré w rodzinie się nie wspomina, choć jego matka Louise trwała przy nim heroicznie. Powrót do tamtego dramatu odsłania całe pokłady bólu, zakłamania, wzajemnych pretensji i bezskutecznych prób racjonalizacji tragedii. I jeszcze – przerażającej samotności. Czy ta odważna wiwisekcja cokolwiek oczyści? Świat pozostał na zawsze skażony, relacje między bliskimi zniszczone.

W ubiegłym roku Czarne wydało książkę Bartosza Żurawieckiego „Ojczyzna moralnie czysta. Początki HIV w Polsce”. Krytyk filmowy i prozaik, starszy o dekadę od Passerona, patrzy na tamte wydarzenia z perspektywy geja, któremu świadomość zagrożenia towarzyszy od młodości. I z perspektywy kraju, w którym z jednej strony zagrożenie to bagatelizowano, z drugiej zaś – chorych najchętniej stygmatyzowano i usuwano na margines. Warto przeczytać obie te książki. ©®



ZMYSŁY

EVEREST ALL INCLUSIVE

Zaryzykowałem, choć nie miało być za to nawet nagrody, po którą zmierzali tu prawie wszyscy: zdjęć na szczycie, lajków na Instagramie i chwały zdobywcy Dachy Świata.

Choćby nie wiem jak zdewaluowanej.

TEKST I ZDJĘCIA **BARTEK DOBROCH**

ICE FALL JEST JAK LODOWY LABIRYNT; KONSTRUKCJA, JAKA ZIMĄ budowana jest z lodowych bloków w którymś z zimowych kurortów na uciechę rodzin z dziećmi. Lodospad Khumbu nawet nie próbuje podważyć tego skojarzenia. Choć sam jest przecież dziełem niehumanitarnym, a jedynie droga przez płataninę jego lodowych korytarzy to efekt człowieczej inwencji i pracy. Wyjść z labiryntu w jedną czy drugą stronę można tylko po rozciągniętych na prawie całej jego długości linach poręczowych. Jest kwiecień, nie ma jeszcze tłoku. Ale w maju na Ice Fallu będzie tłoczno jak w lodowym lunaparku.

Wieńcząca go ściana seraka ma kilkanaście metrów wysokości i lekko odchyła się od pionu. Choć fakturą przypomina powierzchnię gargantuicznej bezy, jest bardziej solidna i trwała niż wszystko, pod czym i nad czym wcześniej kazał przechodzić lodospad. Z góry zwisają liny poręczowe. Bez nich zdecydowana większość idących na Everest nie dotarłaby nawet w to położone trzy kilometry poniżej szczytu miejsce. Znajdujący się na stanowisku nad serakiem szerpowie – przewodnicy i tragarze, z reguły, choć nie zawsze etniczni Sierpowie, czyli pisani z wielkiej litery mieszkańcy górskich dolin u stóp najwyższych



Przejdzie pod wiszącym serakiem w górnej części Ice Fallu na szlaku na Mount Everest. Nepal, kwiecień 2024 r.

szczytów świata w Nepalu – pomagają swoim klientom. A na wolnym kawałku sznurka wisi on.

Z akcentu Amerykanin. Trzyma kurczowo jumar, cudowny przyrząd zaciskowy, bez którego wejście na Everest pozostawałoby dla wielu odległym marzeniem. Jumar składa się z rękojeści i zapadki zaciskającej się pod obciążeniem na linie jak szczeka, ale swobodnie prześlizgującej się po niej w czasie podchodzenia. Przy czym podchodzenie, czyli użycie własnej siły, jest nadal warunkiem skutecznego działania urządzenia. Trzeba zrobić krok do góry, wbić raki w lód i dopiero podciągnąć jumar wyżej na linie.

Kilka tygodni wcześniej obserwowałem rezusy wspinające się na stupę Swajambhu górującą nad Katmandu. Większość z nich wciągała się po rozwieszonych na niej flagach modlitewnych, a tylko nieliczne wybierały trudniejszą drogę, szukając małych chwytów w obłej i wygładzonej fakturze białej kopuły. Podobnie wygląda współczesny himalaizm. Polega na małpowaniu, w podwójnym tego słowa znaczeniu – wciągania się na linie i powtarzania drogi, kroków, ruchów poprzedników. W istocie jest więc wysokogórską gałęzią darwinizmu. Z małpy powstałeś, do „małpy” – to także jedno ze środowiskowych określeń na jumar – powrócisz.

Amerykanin najwyraźniej nie odwiedził świątyni małp, pominął też lekcję obsługi swojej „małpy” w drodze na Everest. Wisi bezradnie trzy metry nad podstawą seraka. „Mój jumar nie działa!” – woła w narastającej panice. Prosi, by go stamtąd ściągnąć, aż w końcu wybucha płaczem. To nie jest dobry moment na wywiad, choć w głowie już układała mi się lista pytań. Czemu chcesz wejść na Everest? „Bo jest” – jak odpowiedział George Mallory? Ale są też przecież niezliczone niższe szczyty na świecie. Bo Everest jest wyzwaniem? W pewnych okolicznościach większym wyzwaniem może być nieprzekraczająca dwóch tysięcy metrów Góra Waszyngtona. Albo Rysy zimą. Czemu Himalaje, a nie Góry Kaskadowe, Nadbrzeżne, Appalache? Czy spełniasz marzenie swoje, czy kogoś z bliskich? Ile byłbyś w stanie poświęcić dla Everestu?

By móc zadać te pytania wiszącemu na linie nieszczęśnikowi, przynajmniej część musiałbym zadać też sobie. Choć wcale nie wchodzę na Dach Świata. Uczestniczę w wyprawie, jakich na Evereście niewiele. Takiej, w której droga jest równie ważna jak cel.

Fascynacja i przerażenie

Mateusz Waligóra, któremu towarzyszę, wyruszył na najwyższy szczyt globu na rowerze znad Zatoki Bengalskiej, by osiągnąć go z poziomu morza. Nie jest pierwszy. Australijczyk Tim Macartney-Snape przeszedł podobną drogę pieszo w 1990 r. Szwed Göran Kropp wyjechał pięć lat później na rowerze ze swojego domu w Sztokholmie, a Austriak Geri Winkler wyruszył znad Morza Martwego z najgłębszej geograficznej depresji na Ziemi. Nie przystaje to do czasów, w których większość próbuje skrócić możliwie aklimatyzację i drogę na szczyt, sypiając w domu w namiotach hipoksyjnych i latając w tę i w tę w smigłowcami.

Pewien młody Anglik trafił do bazy pod Everestem po zaledwie 48 godzinach od wylotu z Londynu. Kilka dni później ustawił rotację – czyli wyjście do wyższych obozów w celu aklimatyzacji i poznania drogi – pod swoje urodziny, które chciał spędzić w bazie z dostępem do internetu. Amerykanin z Nowego Jorku z wejściem na szczyt musiał zdążyć przed weselem siostry. Everest z celu wyprawowego stał się urlopowym. Bywa, że nie da się już na nim nie otrzeć choćby o wycieczkę – i to w opcji *all inclusive*. Ale można próbować.

Przez Ice Fall i dalej aż nad obóz II mogę iść dzięki pozwoleniu na Nuptse, jeden z trudniejszych sąsiadów Everestu [każdy szczyt w Nepalu wymaga wykupienia pozwolenia na wejście; najdroższy Everest kosztuje 11 tys. dolarów, a od przyszłego roku 15 tys. – red.]. Mogę, ale nie muszę. Dwa dni temu łączyłem się na wideo z domem i świętowałem urodziny małego syna, a teraz ryzykuję na Ice Fallu. Choć nie będzie za to nawet „nagrody”, po którą idą prawie wszyscy. Zdjęcia na szczycie, lajków na Instagramie, chwały zdobywcy Dachy Świata, choćby nie wiem jak zdewaluowanej, to jednak ciągle w oczach ogółu stanowiącej najwyższy wyczyn.

Zamiast tego mam widok niewidocznej ani z bazy, ani niemal znikąd ściany Lhotse oblanej złotem o zachodzie słońca. Stąpienie po bardzo zimnym w nocy, a nagrzewającym się w słoneczny dzień jak na palniku Kotle Zachodnim, w którym nigdy nie stanął przecież autor jego oryginalnej nazwy Western Cwm (czytaj: kum, po walijsku dolina), George Mallory. Podążanie ➔

→ po śladach pionierów himalaizmu i bohaterów górskiej literatury – choć nie do końca „po śladach”, bo przecież Ice Fall stale się zmienia. Te same były tylko kiedyś i dziś emocje towarzyszące jego przechodzeniu. Mieszanka fascynacji i przerażenia.

Papieros, który ocala

Ten lodowiec właściwie nie należy do świata przyrody nieożywionej. Jest żywym organizmem. Ciałem olbrzyma, który choć drzemie, nieustannie się porusza. Jego ruchy są szybsze, dużo bardziej nieskoordynowane niż ruchy lodowców spływających dolinami. Za trzy tygodnie będzie wyglądał inaczej. Szczeliny, jak pory w jego skórze, się porozszerzają.

Od zawsze jest scenografią zbudowaną z chaosu, torem przeszkód najeżonym pułapkami i wypadkami, które tylko czyhały, żeby się wydarzyć. Największy miał miejsce dziesięć lat temu, gdy w wyniku obrywu wiszącego tuż ponad nim monstrualnego, splekanego seraka zginęło 16 Szerpów. Tragedia wydarzyła się w tym samym miejscu, co wypadek z 1970 r., który pochłoniął życie sześciu.

W całej historii Lodospad Khumbu przerwał życie co najmniej 40 osób. Najczęściej Szerpów, bo też i oni najwięcej razy przechodzili przez ten labirynt. Ale wśród ofiar był też np. młody Australijczyk Tony Tighe, uczestnik kierowanej przez Chrisa Boningtona pierwszej brytyjskiej wyprawy mierzącej się z południowo-zachodnią ścianą Everestu, który zginął, wracając w ostatnim dniu zwijania bazy, gdy zawałiła się na niego ściana seraku. Wiedziałem o tym wszystkim, czytałem pod Everestem książkę Boningtona, oglądałem wcześniej dokument o Szerpach i wypadku w 2014 r. wyreżyserowany przez Jennifer Peedom. Ale zmroziła mnie dopiero historia Lakpy Sonama. Szerpy, który idzie z nami przez Ice Fall.

Rok wcześniej schodził nim w sześciuosobowej grupie. Dwójka poszła szybciej, ich czterech zostało z tyłu. Lakpa, nałogowy palacz, zatrzymał się jednak tuż za Polem Futbolowym, jak nazywane jest wcale nie tak płaskie, ale bezpieczne wypłaszczenie w sercu Lodospadu Khumbu. Zdażył odpalić zapalniczkę, gdy lodowa ściana runęła na idących niedaleko przed nim przyjaciół. Mimo szybko rozpoczętych poszukiwań, nie odnaleziono nawet ciała.

Lakpa jest jednym z nielicznych, który *bon mot* „palę, bo papierosy uratowały mi życie” może obronić. Pali nawet na ponad 6,5 tysiącach metrów, gdzie niepalący po kilkunastu krokach dostają zadyszki. Papierosy może i ratują czasem życie, ale nie zdrowie. Lakpa cierpi na bóle brzucha, ma ziemistą cerę, przed wejściem na lodospad wymiotuje. Choć po Ice Fallu stąpa pewnie, a po rozpiętych nad szczelinami drabinach kroczy wręcz nonszalancko, w jednej ręce trzymając na gimbalu telefon z włączoną kamerą, to w środku musi podgryzać go stres. Kiedyś kochał wspinaczkę, teraz chodzi na Everest, żeby utrzymać rodzinę. Niczego innego nie umie, praca w agencji wyprawowej, zwłaszcza na Evereście, jest jednym z bardziej atrakcyjnych finansowo zajęć, których można podejmować się w Nepalu.

Kopalnia złota

Najbardziej pracowity przewodnik na Evereście zarobił w zeszłym roku 19 tys. dolarów. Sam bonus dla przewodnika w napiwkach od zdobywcy szczytu wynosił co najmniej półtora tysiąca. Dlatego Lakpa Sonam w ubiegłym roku stawał na szczy-

cie aż trzykrotnie. W tym roku podczas drugiej próby bolący brzuch zmusił go do zawrócenia, a Mingma G, szef agencji Imagine Nepal, dla której pracował, wysłał go do szpitala.

Everest stał się nepalską kopalnią złota i nepalskim snem. Nikt nie umie powiedzieć, kiedy to się stało, choć przyczyniło się do tego na pewno trzęsienie ziemi w 2015 r., które zmieniło Nepal, oraz pandemia, która zmieniła świat. No i światowy sukces, którym było pierwsze zimowe wejście na K2. Nepalczycy, głównie Szerpowie, przejęli większość udziałów w biznesie, czy już raczej przemyśle turystyczno-wyprawowym w swoim kraju, wypierając zachodnich operatorów. Często droższych, bo uzależnionych i tak od nepalskich pośredników. Najmocniejsi miejscowi przewodnicy i tragarze wysokościowi chętniej zatrudniają się w prowadzonych przez rodaków agencjach, które płacą więcej, w terminie, gwarantują ubezpieczenia, a w sytuacjach losowych nie porzucają pracowników i ich rodzin, co w przeszłości często zdarzało się zachodnim operatorom. Wielu z tych, którzy wprowadzali marzycieli z dalekiego Wschodu i Zachodu na najwyższe szczyty świata, zamiast z zasłużoną emeryturą, kończyło przewodnicką karierę w biedzie, inwalidztwie i frustracji.

Dziś prowadzący Imagine Nepal Mingma G, współautor i inspirator tamtego sukcesu na K2, mówi otwarcie, że w himalajskim sezonie bardziej boi się o pracujących w górze Szerpów niż o swoich klientów. – Z wami poznaję się w bazie. Z wieloma z nich znam się od dziecka, są moimi krewnymi. Pochodzą z mojej wioski, znam ich matki, żony, dzieci – tłumaczy.

Spora część Szerpów, którzy dla niego pracują, wywodzi się z Rolwalingu, doliny, w której dorastał Mingma. Jej nazwa widnieje na agencyjnych namiotach, choć brak perspektyw i ubóstwo zmusiły większość mieszkańców do wyprowadzki. Najczęściej do Katmandu, w którym tworzą trzymającą się razem emigrancką wspólnotę. Ostatniej zimy w całej dolinie pozostało jedynie trzech mieszkańców. Pochodzący z niej także Furtemba, kierownik bazy Imagine Nepal, podobnie jak Mingma licencjonowany przewodnik międzynarodowy IFMGA, między wiosennym a jesiennym sezonem w Himalajach wyjeżdża do pracy w Norwegii. Prowadzi ludzi po tamtejszych lodowcach. Na ośmiotysięczniki już nie wchodzi, czasem prowadzi jeszcze na niższe sześciotysięczne szczyty. W przeciwieństwie do Mingmy, który jak dowódca polowy towarzyszy czasem jeszcze swoim klientom w drodze na szczyty, albo czeka na nich w obozie IV na Przełęczy Południowej.

Z kolei szef jednej z dwóch największych agencji wyprawowych 8K, także Lakpa, niczym reżyser, w czapce z daszkiem i w wielkich okularach słonecznych zasiada między namiotami na rozkładanym krześle i za pomocą radia oraz telefonu satelitarne przewodzi akcji górskiej. Polemizuje też z pomysłami rządu Nepalu, który chce ograniczyć panujący w bazie pod Everestem luksus i ruch śmigłowców, zwłaszcza w słoneczne dni po okresie niepogody zamieniający to miejsce w heliport z trzema lądowiskami. – Mam klientów, którzy są bogaczami, takich, którzy wspinają się dzięki sponsorom, i takich, którym brakuje pieniędzy. Jedni płacą mi 100 tys. dolarów, inni 35 tys. Tym pierwszym zapewniam lepsze jedzenie, lepsze namioty, licencjonowanych przewodników, transport śmigłowcem – broni wolnorynkowych zasad na Evereście. Niektórzy zarzucają Szerpom, że przerobili góry na maszynki do zarabiania pie-



Szerpa Lakpa Sonam nad szczeliną na Ice Fallu.

niędzy. Ale komercjalizacja himalaizmu była dziełem ludzi Zachodu. Zatrudniani przez nich wcześniej nepalscy wyrobnicy byli tylko pilnymi uczniami.

Pringlesy i latte

Media chętnie podchwytują opowieści o wykwintnych potrawach i trunkach, które serwowane są pod Everestem, ale wystarczającym świadectwem nadmiaru są paczki Pringlesów w obozie II na 6400 m i stojące w bazie namioty kopułowe rodem z mody na *glamping*. Bywa, że zamiast na materacach, odpowiednio majętni klienci śpią w nich w łózkach. Ale najczęściej spełniają one funkcje mes, czyli jadalni i kawiarni. Ekspresy ciśnieniowe i latte pita na pufach zaskakują nawet tych, którzy zdobywali Everest zaledwie kilka lat temu, a dziś czekają na okno pogodowe do ataku na pobliskie szczyty. Korona Himalajów i Karakorum, która dwie dekady temu była wyzwaniem dla najlepszych, dziś jest rozpisany na kilka lat planem finansowo-treningowym.

Planem natrafiającym na przeszkody, bo ośmiotysięczniki zamykane są dziś jak parki rozrywki. W Nepalu – gdy warunki uniemożliwiają doprowadzenie na szczyt poręczówek. W Chinach – z niewyjaśnionych powodów. Ceną uniknięcia korków, które w tym roku pojawiły też na drodze na szczyt od strony nepalskiej, było podporządkowanie się chińskim zakazom ograniczającym nawet możliwość samodzielnych spacerów z bazy po północnej stronie góry do najbliższej wioski czy klasztoru Rongbuk.

Nakaz używania butli z tlenem wprowadzony przez Chińczyków po tybetańskiej stronie Everestu ma w najbliższej przyszłości objąć nawet najniższy z ośmiotysięczników – Sziszapangmę. Tak oto na najwyższych szczytach kończy się himalaizm. Nawet Szerpowie w Nepalu coraz mniej chętnie widzą na Everescie wyczynowców, niekorzystających z ich asysty czy właśnie z butli, które w niedalekiej przyszłości miałyby być dostarczane do wyższych obozów przez testowane już w tym celu drony.

Wejście na 8848 m n.p.m. bez tlenu z butli jest nadal poważnym i obciążonym wielkim ryzykiem wyzwaniem. Beztlenowa mniejszość stanowi procent lub jego ułamek w ogólnej liczbie zdobywców. W tym roku w taki sposób szczyt osiągnęły i wróciły z niego trzy osoby: Pakistańczyk Sirbaz Khan, Polak Piotr Krzyżowski, który dwa dni wcześniej także bez tlenu z butli stanął na Lhotse, oraz Słowaczka Lenka Poláčková. Dla trzech innych osób – spośród ogółem ośmiu ofiar – taka próba skończyła się tragicznie. U góry śmierć jest namacalna. Czasem owinięta w worek, innym razem ukryta za szybami wyłaniających się spod śniegu gogli albo wyznaczona linią pęknięcia nawisu na grani, z którym na chińską stronę spadł omijający zator szerpa z klientem.

Miasto na lodowcu

W bazie śmierci nie ma. Jest pogłoską. Mogłaby zepsuć nastrój, nadgrzyć morale. Czasem tylko ktoś szepnie, że przelatujący właśnie śmigłowiec transportuje podjęte z góry ciało.

Położona na lodowcu baza jest miejscem życia. Przypomina nawet nie wioskę, ale małe miasto. Bossowie agencji już snują wizję przeniesienia jej poza teren topniejącego szybko lodowca, dla którego jest środowiskowym obciążeniem, choć dzięki nieźle zorganizowanej gospodarce komunalnej nie wygląda jak śmietnisko położonego na Przełęczy Południowej obozu IV. W środku sezonu baza liczy nawet dwa i pół tysiąca mieszkańców, choć większość stanowią ludzie pracujący na marzenia, które chce spełnić 450 ich klientów.

Choć nie zawsze to one pchają tam ludzi. – Everest nie był nigdy moim wielkim marzeniem – deklaruje po zejściu ze szczytu spieszący się na wesele Amerykanin. Czasem to tylko aspiracje albo niezdolność lekkość zbyt majątnego życia. Siostra i rodzice młodego Anglika, którzy wpadli do niego śmigłowcem z godzinną wizytą, biorą współczesne wyprawy na Everest w nawias jak z montypythonowskiego skeczu. Matka przymiera do zdjęcia maskę do aparatu tlenowego. Ojciec paraduje po lodowcu w tweedowej marynarce, nie tak grubej jak te na ramionach brytyjskich himalaistów z 1924 r.

Nie wszyscy też wchodzą na Everest uczciwie. W środku maja, w dniu ataku szczytowego, pewien Indus z Australii wsiada do śmigłowca, aby omijając Ice Fall, wylądować w obozie I. Droga na skróty skończy się dlań ewakuacją z wyższego obozu. „Z punktu widzenia alpinisty trudno sobie wyobrazić straszniejszy widok niż to, co ujrzeliśmy” – bywa, że słowa Mallory’ego, który sto lat temu zginął na Everescie, zyskują tu całkiem nowy kontekst.

© BARTEK DOBROCH

Mateusz Waligóra 21 maja wszedł na Everest, autor tekstu dotarł do wysokości ok. 6800 m n.p.m.

OLGA

Drenda:

Nie bój żaby



JEŚLI MIAŁABYM POWIEDZIEĆ, CO OSTATNIO robię najczęściej, to zapewne odpowiedziałabym, że konfrontuję się ze strachem. Chwalę sobie i doceniam, że dostałam w podstawowym oprogramowaniu raczej niski poziom lękliwości; mie-

wam różne rozterki, ale dobry los oszczędził mi skłonności do międlenia zmartwień. To nie znaczy oczywiście, że aż taki ze mnie chojrak. Nie znoszę nagrań typu „jumpscare”, patrzenia w pusty szyb windy, a przez większą część życia dokuczała mi prawdziwa fobia na tle ciem oraz niespodziewanych połączeń telefonicznych, co prowadziło do scen godnych dobrego komediodramatu.

Teraz sama zdecydowałam się uwzględnić w moim życiu kilka elementów, którym strach towarzyszyć jak najbardziej może. Jednym z nich, który zapewne najłatwiej sobie wyobrazić (i przeżyć w wyobraźni chwile grozy), jest nauka nowego sportu zupełnie od zera w wieku dorosłym. Na naukę jest czas za młodu, myśli pewnie niejeden. Wtedy mamy czas i opiekę menedżerską w osobach rodziny i kadry pedagogicznej, mniejszą podatność na urazy i mniejszą złą samoświadomość – tę, która podpowiada, że czeka nas niechybna kompromitacja – za to silniejszy odruch zabawy. Dajmy na to sportowa kontuzja: dla młodzieży to obok wszelkich nieprzyjemności czasami przewrotna przyjemność z dodatkowych wakacji (jeśli oczywiście obrażenia nie są zbyt groźne) albo okazja do zbierania autografów na gipsie. Dla dorosłego – kombinowanie, kto nas może zastąpić w pracy i rodzinie, składanie pism do ZUS-u i dojmujące poczucie, że kości i stawy już nie te. Albo (wersja dla

tych, których nęka w dzień i nocy tzw. Uogólniony Inny) świdrujące oczy innych zawodników, przypominające, że nie tylko jesteśmy początkujący, ale też, by łagodnie to ująć, dojrzały. Strachów jest tu cała moc, a co najgorsze, przecież to po człowieku dorosłym świat się spodziewa, że będzie pomocnym ramieniem.

A jednak działam (i tu spieszę potwierdzić, że kontuzje są realne, a złośliwy Uogólniony Inny to na szczęście jedynie przykry lokator naszych głów). To zapewne brzmi komically, ale lubię powiedzieć sobie poważnie: „powstrzymuje mnie bariera psychologiczna” – czuję się wówczas jak Smerf Ważniak. Ale też wtedy ta bariera wydaje się mniej serio i spieszno mi do tego, żeby ją sforsować. Obserwowanie tego, jak znikają niepewność i obawa, to prawdopodobnie jedna z najbardziej syćących rzeczy, jakich można doświadczyć. Teraz odwagę ćwiczę i ja, i mój nowy kot, bo choć defekt łapki mogą naprawić ludzkie ręce, to śmiałości, by skakać i się wspinać, musi on już nabrać sam. Mam poczucie, że im bardziej ja się staram, tym więcej będę mieć cierpliwości, żeby rehabilitować tego puchatego nieszczęśnika.

Ze słowem „odwaga” spotykam się ostatnio głównie w specyficznym kontekście. Często słyszy się o odważnym wyznaniu, o odwadze powiedzenia czegoś na głos. Przypadło nam żyć w czasach, w których wiedza psychoterapeutyczna i związane z nią metody – nawet jeśli nie zawsze doświadczane na spotkaniach twarzą w twarz, to zapośredniczone przez wywiady, książki czy filmy dokumentalne – docierają do ludzi, którzy dotychczas byli z różnych przyczyn poza jej zasięgiem. To sprawia, że więcej osób czuje, iż może powiedzieć otwarcie, że np. czegoś się boi, czy opowiedzieć o czymś zupełnie neutralnym, czego akurat wyjątkowo się wstydzi. Obserwowanie tego, jak opuszcza ich dotkliwy ciężar, jak przeżywają katharsis, jak doświadczają przełomu czegoś ewidentnie dobrego, chwili pocieszenia, nawet jeśli dzieje się to tylko na skalę komentarza w internecie – to coś poruszającego i niesprawiedliwy jest ten, kto uważa te przeżycia za błahę.

Ale ulga płynąca z możliwości bycia szczerym czy własne zadziwienie faktem, że posiada się uczucia – to tylko część drogi. Opowiedzenie o swoim osobistym bagażu czy dotarcie do przyczyn tego, co nas boli, jeszcze nie wyposaża w metodę radzenia sobie z nim ani nie pozwala jakoś łżej go znosić. Jeśli ktoś wpadnie z taką delikatną materią w nieodpowiednie ręce, bagaż może jeszcze urosnąć albo przykleić się do pleców na dobre.

Coraz częściej myślę ostatnio o tym, jak dobrze jest powiększać w sobie miejsce dla odwagi, jak dobrze jest zyskiwać pewność. Strach traktuję jako przykrą część doświadczenia ludzkiego, jak fakt, że paznokcie wymagają obcinania, a zęby mogą się zepsuć. Nie jest to coś, czego można pozbyć się raz na zawsze; to irytujący, lecz niestety regularny pasażer. Mało jest jednak równie budujących doświadczeń jak świadomość, że można przesunąć strach na drugi plan – i skupić się po prostu na czymś ciekawszym.

©

Sprawność
godna
wiewiórki nie
spada sama
z nieba.



OLGA DRENDA

PAWEŁ

Bravo: Wszystkiego za dużo



SIEDEMDZIESIĄT SZEŚĆ HOT DOGÓW. NIE ZJADAM TYLE NAWET W ROK, CHOĆ NIE POGARDZĘ DOBRYM SERDELEM, A TYMCZASEM JEST CZŁOWIEK, KTÓREMU WYSTARCY NA TO DZIESIĘĆ MINUT. Czy jest opcja wege? Jest, na przykład 140 jajek na twardo. Albo 12,5 kilo smażonych

główek szparaga. To tylko trzy spośród trzydziestu paru rekordów epickiego czempiona Ameryki w zjadaniu na czas, który od parunastu lat wygrywa każdy możliwy konkurs. 5,5 kilo szarlotki w dziesięć minut? Proszę bardzo, Joey Chestnut (czyli po naszymu Ziutek Kasztan) jeszcze okruszki zdąży zliżać.

W gargantuicznym portfolio konkursów wielkiego żarcia zarządzanym przez Major League Eating – ligę wzorowaną na NBA, najważniejsza data to święto 4 lipca, kiedy na plaży Coney Island na skraju Brooklynu odbywają się transmitowane na cały kraj zawody w jedzeniu hot dogów marki Nathan's (tak w ogóle, to hot dogi narodziły się właśnie w budkach przy tej plaży, a pan Nathan Handwerker przybył wprost z Narola w powiecie lubaczowskim). Na miesiąc przed tegorocznym festynem gruchnęła wieść, że Chestnut został wykluczony, bo ma kontrakt reklamowy z konkurencyjną marką. Nikt nie ma pretensji, że dorabia, monetyzując swą twarz (np. reklamuje proszki na zgagę). Ale cudze hot dogi to już za dużo. „To tak, jakby Michael Jordan przyszedł do szefów Nike i powiedział, że chciałby dorobić parę groszy u Adidasa” – tłumaczył mediom prezes ligi.

I to jeszcze jak cudze! Chestnut związał się z marką Impossible Meat. To udane zamienniki mięsa, które wreszcie nie smakują jak nasączona glutaminianem tektura. Nowa kampania wegeburgerów przemawia do mięsożerców z humorem i bez wyższościowego moralizowania. Zamiast „jak wy możecie jeść zwierzątka, podłe potwory?!”, mówi mniej więcej: „słuchaj, Ameryko, świat nam mówi, że z mięsem jest jakiś problem, więc zamiast jeść mniej, będziemy jeść go jeszcze więcej, tylko że roślinnego”. Ten numer by w Europie nie przeszedł, bo branża wylobbowała zakaz mówienia „roślinne mięso” albo „roślinne mleko”. Cóż, jest w tym jakaś semantyczna racja, ale walenie paragrafami w obyczaje jest żałosne. Zresztą Europejczycy aktywniejsi prozwyerzy też najchętniej by załatwili wszystko zakazami.

Pomyśl z zatrudnieniem hotdogowej ikony, bo taka postać będzie wiarygodna dla mięsożerców, mieli jednak nie zawodowi naprawiać świata, tylko producenci. Tacy ludzie widzą

Tygodnik Smaków – co piątek w Twojej skrzynce
przepisy na Tygodnikowy
lunch, deser, obiad.
Zapisz się na
powszech.net/tygodnik-smakow



swój interes nie w tym, żeby planeta stała się zieleniejsza, tylko żeby sprzedać swój towar na trudnym, zatłoczonym od nadmiaru wszystkiego rynku. Kupiecki pragmatyzm nie nadaje się na wytrych do każdego problemu sfery publicznej, ale zawsze warto spróbować. Zresztą – robimy to. Nasi politycy gadają jak księgowi, tylko nieco nieśmiało i obłudnie – w odróżnieniu od Amerykanów wstydzimy się tępego „materializmu” i jarmarczności.

Przy tym jarmark i odpust to nie są wstydlive, ciemne kąty amerykańskiej tożsamości. O awanturze wokół Chestnuta dowiedziałem się z dwóch gazet, które uchodzą tam za najpoważniejsze. „Washington Post” drukuje nawet eleganckie wykresy z paróweczkami, gdzie z największą powagą analizuje się, jak od lat 80. rosła liczba hot dogów zapewniających rekord, i rozważa w punktach, jakie warunki cielesne pozwalają wygrywać najlepszym oraz na czym polega trening. Nie będę wam tego referował, brzuch boli na samą myśl – chyba że moją rubryczkę zasponsoruje Herbol.

Patrzę na filmiki z zawodów u Nathana i nie skleja mi się to w całość. Naród tak bezczelnie ludyczny, uwielbiający tandetę i przesadę (przesada w jedzeniu to zapewne ślad po karnawałach i mięsopustach z dawnych czasów głodu).

A z drugiej strony wiedzie prym w każdej możliwej nauce i daje nam wielu najsubtelniejszych artystów. Wszystko na maksa – i w kiczu, i w wyrafowaniu. A może wszyscy, jednostkowo i w naszych wspólnotach, jesteśmy pod spodem jarmarczni, żądni tandety, słodkiej waty, kapiszonów i różowego jednoróżca? Różnica jest taka, że Amerykanie tę energię bez zenady do głosu dopuszczają, mają zatem więcej siły. I dlatego to my się trzęsiemy ze strachu na myśl o ich wyborach w listopadzie, a nie na odwrót. ©P



Kto z nas nie chwalił się nigdy, że w tłusty czwartek wciągnął cztery pączki? Obżarstwo skomercjalizowane w oprawie patriotycznej to grzech przeciw bliźnim i występki przeciw ciału. Ale za alibi weźmy fakt, że nawet w Buckingham Palace jadają czasem efekciarsko i na pokaz. Taki jest bowiem – moim zdaniem – przepis na ulubione risotto króla Karola. Siekamy drobno czerwoną cebulę, dusimy pomalutku na paru łyżkach oliwy na dużej patelni, dodajemy 300 g ryżu, prażymy, delikatnie mieszając, podlewamy białym winem, a kiedy odparuje – wrzucamy bulionem mięsnym. W połowie gotowania dodajemy namoczone w wodzie parę słupków szafranu i dwie łyżki gorgonzoli, a gdy się rozpuści, dokładamy jeszcze łyżkę pasty truflowej. Kiedy ryż dojdzie, gasimy ogień i wkręcamy energicznie 50 g zimnego masła i jeszcze trochę gorgonzoli oraz szczodłą garść parmezanu. W kuchni pałacowej sypią na koniec wiórki z trufli. Jeśli was stać, nie żałujcie – ale i bez nich w tym daniu jest wszystkiego za dużo.

STANISŁAW

Mancewicz:

Od ucha do ucha



NASZ WRODZONY A SZALONY OPTYMIZM KAŻE nam mniemać, że oto przed nami rok bez kampanii wyborczej. Ale to nie wszystko, bowiem mroczny pesymizm nabyty przez lata rozczarowań o różnej etiologii kieruje nasze myśli ku krakaniom, że oto w Polsce

nie ma już takich przerw. A jednak – popatrzmy – rodzaj starszej trzpiotowatości podpowiada nam, że musi być wesoło, że brak kampanii czy jej trwanie nie mają dla tutejszego nastroju zgoła większego znaczenia, że jednak kraj nasz ma w swój prastary korzeń wszczepiony uśmiech. Od ucha do ucha. Może nie być wesoło, bał, nie może być wesoło, ale będzie. Bo musi. Ten paradoks jest endemiczną cechą tutejszości.

Chemia organiczna, ale i nieorganiczna, fizyka doświadczalna, ale i teoretyczna, każde zdarzenie w Polsce, każdą tutejszą myśl, pomysł, czyn i beczyn, te wspaniałe królowe nauk przemieniają w serdeczny słoneczny uśmiech. Rozciąga się on na polskim firmamencie od nieistniejących fabryk aut elektrycznych, wytwórni szczepionek, poprzez pszeniczne łany porastające Centralny Port Komunikacyjny, po przeciętą jakby szabłą Mierzęę Wiślaną. Tylko cudzoziemiec z bardzo daleka, nierozumiejący wyrazu naszych twarzy, niemający klucza do tutejszego kodu kulturowego i języka ciała, może mniemać, że się czymś troskamy, czymś martwimy, o coś niepokoimy, gniewamy, że coś budzi nasze wątpliwości. „Nic podobnego!” – chciałoby się krzyknąć, ale nie krzyczymy, bo oczywiście każda reguła ma swoje wyjątki.

Zdarza się od czasu do czasu brak uśmiechu i życzliwości. Złe miny towarzyszą zawsze sytuacjom trudnym dla ogółu. Jest dziś jedna taka sprawa, budząca powszechny gniew, wy-

wołująca uczucie ponownego, tradycyjnego skrzywdzenia, tradycyjnie przez ludzi z obcego nadania, narzucających Polsce przemocą niepolskie regulacje i obce obyczaje rodem ze zdeprawowanego świata Zachodu. Ten wielki temat mieści się dziś w małym przedmiocie, a jest to zakrętka. Od kilku miesięcy przyczepiona na stałe do plastikowej butelki – na przykład – wody mineralnej.

Nie mamy wątpliwości, że gniew polski bywa, owszem, straszny, ale bywa – rzadko, bo rzadko – jeszcze straszniejszy. Oto właśnie teraz mamy do czynienia z takim przerażającym gniewem, a jest on na dodatek – bogato ilustrowany. Oglądaliśmy – i doprawdy, nie szkoda nam było na to czasu – dziesiątki filmików na temat owej zмовы przeciw wolności i komfortowi. Zakrętka butelki stała się w tych ekranizacjach powodem rozległych analiz mikro- i makropolityki, gospodarki nie tylko odpadami, monologów i dialogów o moralności i etyce, i przemocy. Zakrętka rani w przenośni i dosłownie, kobiety i mężczyzn. Dzieci. Uszkadza nosy i policzki, jest napaścią na polską wolność od ucha do ucha, jest atakiem na prostotę, tradycję, na uśmiech człowieka właśnie, na cokolwiek, oczywiście także na tzw. „dorobek”. Doprawdy, przyczepienie zakrętki do plastikowej butelki wywołało tu rozległy kryzys tożsamości europejskiej i poczucia przynależności do świata kultury łacińskiej, bowiem – co wiemy – Polacy z jakiegoś powodu uwielbiają łacinę. Łacina jest w Polsce magicznym parametrem istnienia i przynależności, choć władających tym językiem można zapewne szybko i łatwo policzyć.

Wracając do zakrętek – można by rzec przewrotnie – mała rzecz, a cieszy. Jeżeliby Polska miała wystąpić z Unii Europejskiej z powodu przyczepienia jej do butelki, to warto zaiste poświęcić życie na badanie istoty uśmiechu i gniewu w tej części świata. Skoro już wiemy, co ludzi potwornie wkurza, to warto przy okazji, na koniec, zapytać, co ich nie wnerwia, a cieszy, co im się podoba. Odpowiedź jest wbrew pozorom bardzo łatwa: oto tysiące ludzi zaaprobowało obecność kryminalistów na listach wyborczych, zachwyceni nimi oddali na nich setki tysięcy głosów. Na regularnych przestępców bądź domniemych. Jest to osobliwość i bezwstydną upodobanie raczej jedyne w tej skali, w skali globu ziemskiego. Znowu jesteśmy pierwsi. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ





Pomagam.pl

Sytuacja mnie do
tego zmusza, **choć tak**
bardzo mi wstyd ...

Głupio mi i **wstyd**
prosić o pomoc, ale
jestem pod ścianą...

Tak mi **wstyd** prosić
o pomoc, ale to nasza
ostatnia deska ratunku...

Jutro to mogę być ja
i poproszę o pomoc
bez wstydu.

Nie oceniam.
Pomagam.

Prośbienie o pomoc bywa trudne.
Jeśli się wahasz, przypomnij sobie to
uczucie szczęścia, gdy pomagasz innym.

Wejdź na [Pomagam.pl](https://pomagam.pl) i stwórz darmową zbiórkę pieniędzy
na to, co ważne: dla siebie, bliskich i na inicjatywy bliskie
Twojemu sercu.

33. Festiwal Kultury Żydowskiej w Krakowie



33.JEWISHFESTIVAL.PL



23.06–
30.06.2024

33. FKŻ jest współfinansowany
ze środków Miasta Krakowa
oraz ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego,
pochodzących z Funduszu

Promocji Kultury - państwowego
funduszu celowego, w ramach
programu Muzyka, realizowanego
przez Narodowy Instytut Muzyki
i Tańca.

REKLAMA



RP

Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy

Media

wyborcza.pl

Radio Kraków

Radio Kraków
Kultura

Kraków Culture
KARNET

TYGODNIK
POWSZECHNY

Partnerem 33. FKŻ jest Województwo Małopolskie

MAŁOPOLSKA

MAŁOPOLSKA
wizytówka